

Edmund Niziurski

Sekret panny Kimberley

Duch zamku i prawo Archimedesesa

Mój brat Emeryk, czyli Emuś, czyli Ęsio jest niecałe dwa lata młodszy ode mnie, ale robi wrażenie zupełnego mikrusa; mały, drobny, szczuplutki. Choć nie jesteśmy do siebie podobni, mamy tę samą grupę krwi - „0”, jakoby dość rzadką.

Doktorzy powiedzieli, że w razie nieszczęśliwego wypadku możemy sobie nawzajem oddawać krew... Ja już mu dałem, wtedy gdy TIR uderzył w autobus szkolny i Emuś został ciężko ranny. Wciąż jeszcze lekko utyka i ma bliznę na głowie. Gdy jestem na niego zły (co zdarza się nader często), ubliżam mu od „stukniętych” w mózdzek.

Fakt, że mnie potwornie drażni. Szczeniak wie, ile mi zawdzięcza z powodu tej krwi, ale wdzięczność objawia w raczej męczący sposób. Jak uczepli się jakiejś myśli, to potrafi obnosić się z nią całymi dniami i zanudzać wszystkich dookoła... pytaniami. (Muszę przyznać, że nie są to łatwe pytania.) Po prostu maniak! Wiem, że nasi rodzice poważnie martwią się, czy on z tego wyrośnie i wybierają się z nim do psychologa. Bezustannie chodzi za mną i stara się powstrzymać mnie od wszelkiego złego. Bez przerwy udziela mi rad, o które nie proszę tudzież uszczęśliwia mnie tysiącem przestróg i pouczeń, których nie znoszę organicznie.

Ostatnio stał się szczególnie uciążliwy, bo bawi się w fizyka i prowadzi doświadczenia. Pół biedy jeszcze, kiedy demonstrując zjawisko Tyndalla w zaciemnionym pokoju, obserwował wpadającą przez szparę wiązkę promieni słonecznych i widoczne w niej (nie do uwierzenia) ultramikroskopijne cząsteczki koloidalne w postaci zawieszonych w powietrzu pyłków... To było nawet ciekawe. Pół biedy, gdy z wielkich arkuszy papieru wycinał spirale, przyczepiał do drutu, podgrzewał je świeczkami od dołu i demonstrował, jak prąd ciepłego powietrza wprawia je w ruch wirowy i unosi aż pod sufit. Było to efektowne, ale na dłuższą metę męczące, gdyż pokazy te, oczywiście, urządzał w naszym wspólnym pokoju. Nazywał je „seansem tańczących węży” i spraszał na nie dzieci z całej okolicy.

Gorzej poszło mu z próbą elektrolizy wody. Uległ porażeniu prądem (na szczęście niezbyt groźnie) i jeszcze teraz chodzi z obandażowaną ręką. Nie zniechęcił się tym, jak tłumaczył, małym błędem w sztuce; przerzucił się na optykę i w czasie upałów czerwcowych prowadził na balkonie doświadczenia z lusterkiem wklęsłym, skupiającym promienie słoneczne. Eksperyment powiódł się nadszpiewanie.

Manipulując zwierciadłami niczym współczesny mistrz Twardowski, Ęsio skupił promienie do tego stopnia, że dokonał skutecznego zapłonu... spodni naszego sąsiada pana Alfonsa Mamisia, które po wypraniu w benzynie wietrzyły się w jego części balkonu. Ogień przerzucił się szybko na firanki i sytuacja stawała się groźna. Szczęściem nasz tato przybiegł w porę z gaśnicą piankową i ugasił pożar w zarodku.

Emeryk wprawdzie porzucił (chwilowo, jak zapewniał) optykę, ale za to zaczęła go interesować energia fizyczna, a w szczególności zamiana energii cieplnej na kinetyczną. W celu zbadania zagadnienia nasadził na czajnik, a ściślej na jego dziobek długą rurkę plastikową i zatkał jej wlot korkiem, po czym zaczął podgrzewać nieszczęsne naczynie, by wodę zamienić w parę. Ale wodzie nie odpowiadał lotny stan skupienia i wkrótce po zagotowaniu zrobiła brzydki kawał eksperymentatorowi. Napierająca para spowodowała efekt kinetyczny szybciej, niż Ęsio się spodziewał. Z obrzydzeniem wypłuła korek, którym ją dławiono. Korek ten z hukiem podobnym do wystrzału ugodził Ęsia prosto w czoło i zamroził na parę chwil, zostawiając mu na czole okrągłe czerwone piętno. Biedak długo chodził napiętnowany, a ludzie z sąsiedztwa pokazywali go palcem. Rozeszła się plotka, że Ęsio próbował strzelić sobie w łeb z powodu okropnego traktowania go przez rodziców, zwłaszcza sadystycznego ojca. Tato dostał wezwanie do stawienia się na policję, a pod nasz blok podjechała karetka kliniki psychiatrycznej, żeby zabrać Ęsia na badania. Ale ukryliśmy Ęsia w dużej szafie pod ciuchami mamy i karetka odjechała pusta.

Tak, Ęsio to był nasz rodzinny problem, a także moje osobiste zmartwienie i zadra! Ostatnio sprawa znów stała na tapecie, a to z powodu wujka Markowskiego, zamku w Melsztynie i Soni. Dwa miesiące temu wujek Markowski, znany konserwator zabytków i dzieł sztuki, został kustoszem historycznego zamku w Melsztynie oraz jego ciekawych zbiorów, no i oczywiście przeniósł się tam z całą rodziną: z ciocią, z bliźniętami Cyrylem i Damianem oraz z córką Sonią, o rok młodszą ode mnie, z którą wspaniale spędzałem wszystkie wakacje nad morzem w Ustce.

Od początku wujek obiecywał, że jak tylko jako tako zagospodaruje się na zamku, zaprosi nas do Melsztyna na weekend oraz pokaże wszystkie jego cuda. I rzeczywiście, w ten poniedziałek tato wrócił z biura z ekscytującą wiadomością:

- Jedziemy do Melsztyna! Był telefon od wujka. Oczekują nas w czwartek wieczorem. Wszystkich! Całą rodzinę.

W pierwszej chwili podskoczyłem z radości jak szczeniak, ale zaraz zasepiłem się.

- Tato, czy to znaczy, że Emeryk też pojedzie z nami?

- A nie chciałbyś? - tato spojrział na mnie przykro zaskoczony.

- Ależ tato, on nas ośmieszy, skompromituje! Jest teraz w stanie silnego pobudzenia, w niebezpiecznym stanie maniakałnym. Pan Tybura z trzeciego piętra mówi, że to się nazywa paranoja...

- Dosyć - przerwał mi ojciec. - Nie używaj słów, których nie rozumiesz!

- Zobaczysz, tato - sapałem. - On nas wszystkich urządzi. Będziesz gorzko żałował! Na pewno dojdzie tam do nowego wypadku! Nie doceniasz Emusia, on wysadzi w powietrze cały Melsztyn razem z wujkiem Markowskim! Powinieneś najpierw iść z tym smarkaczem do psychologa. Naprawdę myślisz, że z nim wszystko w porządku?

Tato chrząknął.

- Emuś ma dociekliwy umysł i szeroką skalę zainteresowań. To może drażnić i niecierpliwic, ale jest normalny i mieści się całkowicie w parametrach zdrowia psychicznego, nie mówiąc już o tym, że jest bardzo zdolny. Powinieneś być zadowolony i dumny, że masz brata o wysokim ilorazie inteligencji. Owszem, jest nerwowy i anemiczny, ale taki wyjazd dobrze mu zrobi... Tym bardziej że Sonia...

- Co Sonia? - nastroszyłem się.

- Sonia specjalnie zamówiła sobie Emeryka.

- Specjalnie zamówiła?! - spytałem przykro dotknięty.

Okazało się, że od paru miesięcy są w bliskiej komitywie. Urządzali sobie długie rozmowy telefoniczne (stąd te wysokie rachunki) i wymieniali listy...

- Sonia i Emuś - zajęczałem. - To... to niesłychane.

- Właśnie. Rzadka rzecz w tym wieku, Emuś najpierw zainteresował się nią z powodu Brazylii, gdzie wujostwo Markowscy przebywali dwa lata jako konserwatorzy osiemnastowiecznych zabytków z czasów kolonialnych i Sonia uczyła go portugalskiego, a potem zbliżyła ich... fizyka!

- Co takiego?!

- Przez ten pobyt w Brazylii Sonia opuściła się w nauce i Emuś podobno wyjaśnił jej kiedyś jeden z problemów maszyn prostych, które wcale nie wydawały jej się takie proste... Od tego się zaczęło. Sonia twierdzi, że tylko Emuś potrafi zrozumiałe wytłumaczyć jej ten przedmiot.

Przygryzłem wargi, teraz już naprawdę boleśnie urażony. Skoro nie rozumiała fizyki, dlaczego nie zwróciła się do mnie? Nie, to już zakrawa na zdradę.

Naprawdę dziwię się Soni. Dziewczyny coraz bardziej wydają mi się niepojęte. „Zbliżyła ich fizyka!” Też coś! Mam w to uwierzyć?!

Przez cały dzień dręczyła mnie ta sprawa, a potem wzięłem się w garść. No, coż... skoro Sonia maczała w tym palce, moje protesty zdadzą się psu na budę! Proszę bardzo! Niech Ęsio jedzie! To może nawet lepiej, że pojedzie! Gdy Sonia pozna bliżej jego obsesje tudzież natręctwa, na pewno wkrótce będzie go miała po uszy; przekona się, że na dłuższą metę jest nudny i męczący. A naprawdę jedynym prawdziwym, atrakcyjnym mężczyzną, na którego może liczyć, jestem ja!

Wyruszyliśmy więc w komplecie całą rodziną - mama, tata, Emeryk i ja - pociągiem i pod wieczór zajechaliśmy do Melsztyna. Tu przed małą stacyjką czekali na nas wujek Markowski i Sonia w mikrobusie z napisem Zamek Melsztyński Muzeum. (Okazało się, że stąd do zamku jest jeszcze pięć kilometrów.) Oczywiście - najpierw były wylewne powitania i wymiana prezentów, a potem dużo serdecznego gadulstwa. Co do mnie, zachowałem się dość powściągliwie i unikałem rozmowy z

Sonią, natomiast zająłem się przeglądaniem pracy naukowej wujka (którą dostałem w prezencie) pod tytułem „Melsztyn, jego historia i zabytki”. Od czasu do czasu rzucałem kąsek spojrzenia na Sonię, ale ona, jakby mnie na złość, cały czas paplała z Esiem o... prawie Archimedes! (Też sobie znaleźli temat konwersacji!) Właśnie wyprzedziliśmy dwie grubaski na rowerach, pedałujące w poście czoła, a Emeryk z Sonią, oglądając się za nimi, zastanawiali się głośno, ile ważyłaby ciecz wyparta przez te grubaski, gdyby kapały się jak Kleopatra w kozim mleku i co by się zmieniło w rachunku, gdyby z łakomstwa podczas kąpieli wypłyły czwartą część tego apetycznego mleka. Oboje pokładali się przy tym ze śmiechu, nic sobie nie robiąc z karcących spojrzeń wujka Markowskiego i taty.

Ja osobiście znosiłem zachowanie Esia i Soni z największym trudem; raz po raz nachodziła mnie ochota przymknąć Esiowi pyszczek chwytem podszczękowym (moja specjalność), ale łobuz miał szczęście. Gdy już przymierzałem się do zabiegu, usłyszałem słowa wujka:

- Witamy serdecznie na zamku! Okazało się, że jesteśmy na miejscu.

Rozglądałem się z ciekawością dookoła. Zamek robił ponure, przygnębiające wrażenie. Kamienią szarość dziedzińca ożywiały tylko rząd nowo posadzonych malutkich świerków i rabata z cheralawymi różami pod murem.

Wujek Markowski pokręcił głową z irytacją.

- Znów nie podlane! Odkąd Januszek jest w szpitalu, nie ma się nimi kto zająć.

Januszek to nasz chłopak do wszystkiego - wyjaśnił. - Stróż, ogrodnik, mechanik, złota rączka, tylko popijał za dużo piwa przy robocie, a od piwa głowa się kiwa.

No i spadł, biedak, z drabiny, gdy naprawiał dach gołębnika. Biedne róże...

Ale moją uwagę zwróciło już coś innego.

- Czy w zamku przechowuje się wino? - zapytałem. - Stoją tu pod ścianą jakieś duże beczki.

- Beczki! Ach, te - wujek roześmiał się - to beczki do kwaszenia kapusty. Mój kolega, konserwator, magister Laluch, potrafi konserwować nie tylko zabytki, lecz także ogórki, groszek i kapustę. Ma ogrodnicze hobby. Razem z Januszkiem hodują w dawnej fosie przy zamku różne warzywa na potrzeby naszej kuchni. Najlepiej im się udaje kapusta, kwaszą ją na zimę, a jest jej tak dużo, że kilka beczek sprzedają do stołówki szkolnej i lekarzom z ośrodka zdrowia. Ostatnio spóźniliśmy się z dostawą z powodu wypadku Januszka, ale jutro Januszek ma już wrócić i zawiezie te beczki.

- A te, które stoją pod rynnami? - indagowałem. - Pełno w nich brudnej wody z glonami, z rzęsą wodną. Czy to też do kapusty?

- Skądże! Jak cała okolica, cierpimy tu na niedobór wody, toteż pod wieżą i pod każdą ścianą zamku, gdzie są rynny, ustawiamy takie beczki, żeby nałapać deszczówki. Przydaje się do celów gospodarczych, do podlewania roślin, na przykład. Ale zostawmy te beczki i obejrzyjmy lepiej zamek, ma ciekawą architekturę. W środku jest spore muzeum. Są tam obrazy, historyczne stroje, parę prawdziwych zbroi rycerskich z różnych czasów, wspaniałe okazy broni, srebrne sztuce, pozłacana zastawa stołowa i dużo zabytkowej porcelany.

Mimo spóźnionej pory oprowadził nas po ciekawszych salach. Niestety, nie do wszystkich mogliśmy wejść. W niektórych trwał remont; pracowali w nich różni rzemieślnicy. Najdłużej zabawił się w bibliotece. Było tam tyle starych i nowych książek, różne encyklopedie i mapy... Najbardziej zainteresował nas siedemnastowieczny wielki globus, jeszcze bez Australii i z błędnym zarysem kontynentów Afryki i Ameryki. A z portretów - wizerunek posepnego władcy zamku z czternastego wieku, rycerza Jana Albrechta.

Na koniec wujek zabrał nas do swojej pracowni na drugim piętrze wieży, gdzie zajęła się nami jego asystentka, panna Zuza, ładna dziewczyna, podobna do Kristel z serialu Dynastia, tylko znacznie młodsza. Zuza pokazała nam eksponaty, które właśnie znajdowały się w pracowni.

Najcenniejszym z nich była wielka patera, podtrzymywana dziobkami przez dwanaście gołąbków, oraz komplet dwunastu pucharów, również z gołąbkami zamiast zwykłych nóżek. Zuza powiedziała nam, że choć patera i puchary są zrobione ze srebra i tylko pozłacane z wierzchu, to mają olbrzymią wartość muzealną i artystyczną.

Nazajutrz wuj Markowski pojechał do urzędu gminnego załatwiać różne sprawy.

Ciotki też nie było, jako nauczycielka musiała towarzyszyć swojej klasie w wycieczce w Sudety. Mogliśmy więc poszaleć sobie dowoli, ślizgając się po lustrzanych posadzkach, a potem bawiąc się w chowanego. Fantastyczne warunki!

Tyle schowków! Można było kryć się w antycznych szafach, za kotarami, w niszach, za regałami w kątach, w rycerskich zbrojach... Na godzinę zapomniałem nawet, że mam programowo dąsać się na Sonię. O jedenastej Sonia powiedziała, że już jest dość zmęczona fizycznie, a teraz idzie pomęczyć się umysłowo, bo musi przygotować się do sprawdzianu z fizy. Czas także wyprowadzić na dwór psa Pieszczocha. No i poszła, biedna kujonka, a my dla odmiany zaczęliśmy zjeżdżać po poręczach z drugiego piętra. Bawiliśmy się aż do obiadu, ale gdy zegar na wieży wybił dwunastą, zaraz się zrobił ruch na schodach; najpierw zbiegła na dół do telefonu asystentka Zuza, potem zaczęli schodzić po skończonej robocie rzemieślnicy. Wkrótce Zuza wróciła do pracowni, a zaraz za nią na schodach pojawił się wujek. Był już na drugim piętrze, gdy z pracowni wyjrzała zdenerwowana Zuza.

- Panie kustoszu, proszę szybko! Stało się coś strasznego!

Wuj Markowski pobiegł, my za nim, ale zatrzaśnięto nam drzwi przed nosem.

Usłyszeliśmy gwałtowną rozmowę, w chwilę później z pokoju wyleciała zapłakana Zuza, a za nią wyłonił się zdenerwowany wujek. Poprosił nas do pracowni i oznajmił, że cenna patera i puchary, które wczoraj oglądaliśmy, zostały skradzione wraz z futerałem. Stało się to między godziną dwunastą, a dwunastą piętnaście, kiedy Zuza pobiegła odebrać telefon. Dzwonił Januszek ze szpitala. Miał mnóstwo spraw i próśb, zanudzał ją przez dobry kwadrans, a kiedy Zuza wróciła do pracowni, z przerażeniem stwierdziła, że zabytkowe srebra zniknęły.

- Wiem, że cały czas bawiliście się tutaj. Czy nie widzieliście kogoś, kto wychodził z pracowni z dużą paczką?

Potrząsnęliśmy przecząco głowami.

- Nie patrzyliśmy na drzwi - powiedziała Sonia. - A schodami nikt podejrzany nie schodził, tylko rzemieślnicy w niebieskich dzinsach, każdy z dużą torbą...

Chyba że to któryś z nich...

- Powinien wujek jak najszybciej zawiadomić policję - rzekłem.

- Wolałbym tego nie robić - odparł. - Ze względu na Zuzę. Naruszyła przepisy, które nakazują zamykać w kasie pancernej eksponaty, kiedy się opuszcza choćby na chwilę pracownię. Zuza w pośpiechu zamknęła na klucz tylko drzwi do pracowni. To poważne zaniedbanie i na pewno zostałaby zwolniona za to z pracy. Na mnie też spadłaby część odpowiedzialności, bo dostała tę pracę z mojego polecenia. Dlatego postanowiłem, że nim wezwiemy policję, sami przeszukamy zamek. Jestem przekonany, że złodziej nie wyniósł jeszcze tych sreber za bramę, tylko ukrył je gdzieś tu i czeka na specjalną okazję...

- Skąd ta pewność? - zapytałem.

- Wyjście stąd prowadzi tylko przez bramę, a tam jak wiecie, trzeba przejść przez kontrolę strażników. Mam stuprocentowe zaufanie do tych ludzi. Są skrupulatni i bezwzględnie uczciwi.

- To co chcesz, wujku, zrobić?

- Sami przeprowadzimy skrupulatne śledztwo - odparł wujek. Chciał sobie nalać wody z karafki i przewrócił szklanke. Widać było, że puściły mu nerwy.

Od razu pomyślałem: No, to koniec przyjemności. Zaczną się gorączka, irytacja, bulwersacje, przesłuchania i podejrzenia... Nas też nic nie ominie. Byliśmy wtedy w pobliżu, wiedzieliśmy, że w pracowni są te cacuszka. Mogliśmy się złakomić, czemu nie?

Ogólne zdenerwowanie udzieliło się również kucharce. Kotlet był z jednej strony twardy jak podszwa, a z drugiej przypalony. W jadalni prócz dymu z kotleta poczułem zapach dymu papierosowego. To wujek Markowski wrócił do palenia, które niedawno rzucił.

- Nikotyna wisi w powietrzu i truje! - odezwał się Emeryk, wkraczając z książką do sali. Była to niewątpliwie niestosowna uwaga, ale Emuś nie dbał o takie subtelności; wpatrując się z ciężkim wyrzutem w kopającego wujka zaczął kaszleć nieprzyjemnie, a potem ostentacyjnie otworzył okno, bredząc coś o potrzebie silnej woli, zwłaszcza u ważnych ludzi na stanowiskach, z kustoszami włącznie i niełamania się byle przeciwnościami.

Tego było już wujkowi za dużo. Trzasnął talerzem o stół i wbił resztę papierosa w przypalony kotlet.

- To nie są byle jakie przeciwności! To jest poważna kryminalna sprawa, która dotknie również wielu niewinnych ludzi! - zagrział basem i wyszedł z jadalni.

Nasz tato, zaskoczony całą sceną, dopiero teraz zareagował:

- Emeryku, co ci strzeliło do głowy?! Jak mogłeś wygadywać takie rzeczy! Jak mogłeś tak się zachować wobec wujka, który ma wielkie zmartwienie! Wstań i natychmiast go przeproś.

- Zaraz, tato - odparł ęcio - po co ten pośpiech. Jak wujek trochę ochłonie, to na pewno przyzna mi rację i...

- Nie kombinuj-przerwał mu tato. - Przeprosisz wujka zaraz!

- W tej chwili naprawdę nie mogę, tato, chyba wiesz, że żyję według planu. Na tę godzinę zaplanowałem zbadanie parcia...

- Parcia? Jakiego parcia?!

- Parcia cieczy na dno tutejszych beczek. Zaobserwowałem, że są w oplakanyim stanie. Grozi rozpad klepek i groźny wylew...

- Nie zawracaj głowy jakimis klepkami! - krzyknął tato.

No, właśnie - pomyślałem ze złą satysfakcją - oto cały ęcio!

W takiej chwili będzie badał parcie! Spojrzałem na Sonię. Też wydawała się niemile zaskoczona. Zdaje się, do jej świadomości dochodziło powoli, że wybrała niewłaściwą osobę do towarzystwa i źle ulokowała swoje sympatie.

- Nie pójdziesz teraz do beczek i nie będziesz zajmował się głupim parciem cieczy, zrozumiano?!

- sapał coraz bardziej rozsierdzony tato.

- Parcie cieczy nie jest głupie, tato. Ono jest ważne... ono jest groźne - wymamrotał ęcio i dał dyla z jadalni.

- Stój! - krzyknął tato i rzucił się za nim.

- Stój! - zawołały bliźnięta i rzuciły się za tatą, a za nimi wybiegła mama.

Na miejscu zostaliśmy Sonia i ja. Sonia odezwała się pierwsza:

- Tak mi przykro z powodu tej kradzieży. Że też akurat coś takiego musiało się przydarzyć w czasie waszego pobytu. Zupełnie fatalna historia, popsuty nastrój, wszyscy zdenerwowani. A mogło być tak wspaniale.

- No cóż, złodziei nie sieją - powiedziałem - a że ten ich wyczyn przytrafił się, akurat kiedy przyjechaliśmy, to przypadkowy zbieg okoliczności. Myślę, że z pewnych powodów został zaplanowany na dziś, to znaczy na piątek.

- Feralny piątek - mruknęła Sonia.

- Oby taki okazał się dla złodzieja.

- Ty przeczuwałeś, że coś się stanie - rzekła niespodziewanie, przyglądając mi się uważnie - ty wiedziałeś!

- Ja?! - zaskoczyła mnie, ale opanowałem się szybko. Coś podkusiło mnie, żeby grać rolę tajemniczego Jamesa. - Po czym poznałaś? - zapytałem, oglądając sobie paznokcie.

- Od początku byłeś spięty, prawie nie odzywałeś się do mnie - odparła. - Nawet podczas zabawy zaprzętała cię jakaś myśl. Nie wiedziałam, co ci jest... to znaczy... o co właściwie chodzi, dopiero teraz, po tej kradzieży zrozumiałam! Twój szósty zmysł alarmował cię, nie dawał ci spokoju. Twój wspaniały zmysł detektywa, który podziwialiśmy zeszłego roku w Ustce! Mój Boże... Od razu pomyślałam, że mógłbyś powtórzyć swój sukces u nas na zamku...

Sukces? W głębi duszy uśmiechnąłem się gorzko. Ja jeden wiedziałem, że to, co zdarzyło się nad morzem w zeszłym roku, naprawdę było po prostu tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności i z moimi „talentami” detektywa nie miało zgoła nic wspólnego. Byłem akurat w Ustce na pływackim obozie szkoleniowym dla ratowników. Grasował tam złodziej zwany Kostiumologiem, ponieważ kradł suszące się w oknach, na płotach i balkonach damskie kostiumy kąpielowe, doprowadzając do rozpaczki okradzione panie i dziewczyny. Jednego dnia wcześniej rano wracał w stanie niezupełnie trzeźwym, lecz z bogatym łupem, gubiąc po drodze kolorowe części kostiumów. Szedł z przepelnionym plecakiem i z wędką na ramieniu.

Zataczając się na chodniku nie zauważył, że haczykiem wędki ściągnął z wysokiego parkanu suszące się prześcieradło i pomaszerował z nim jak z białą flagą - znak, że chce się poddać, aczkolwiek nie było wiadomo, w jakich bojach brał udział i przed kim kapituluje.

Akurat wracałem z nocnego alertu, który zafundował nam kapitan Donda, niestrudzony komendant obozu i zobaczyłem pogubione i walające się na chodniku kolorowe ciuchy. Idąc ich śladem łatwo dotarłem do na pół zamrozonego Kostiumologa. Wziąłem go mocno pod rękę i pomogłem mu utrzymać zachwianą równowagę.

- Ten pan wywiesił białą flagę i poddaje się - powiedziałem do zaspanego policjanta na rogu ulicy. - Proszę mu to zaliczyć jako okoliczność łagodzącą - dodałem, przekazując Kostiumologa w ręce władzy.

Jeszcze tegoż poranka rozeszły się po miasteczku plotki, że dzielny pływak junior Zenon Bum wytropił niezwykle dokuczliwego złodzieja kostiumów plażowych, odzyskał skradziony łup i posłał złoczyńcę za kratki. W ciągu jednego dnia nagle stałem się sławny. Podejrzewam, że maczał w tym palce sam Donda, nagłaśniając mój „wyczyn” i rozdmuchując propagandowo aferę, by podnieść prestiż naszego obozu.

Komplementy, które zewsząd zebrałem, zachwyty i pochwały, których się nasłuchałem, zrazu zenowały mnie tylko, ale potem zaczęły mnie przerażać.

Okazało się, że w sezonie nad morzem jest wielkie zapotrzebowanie na detektywów, także tych z bożej łaski, i miałem duże trudności, żeby się wymigać od prac śledczych, które mi chciano powierzyć. Nie błyszczę specjalną inteligencją, nie bryluję zdolnościami, ale nie jestem znów takim głupcem, żebym dał się nakłonić pochlebstwami do podjęcia nieodpowiedzialnych detektywistycznych akcji. Nie czułem się w tej dziedzinie kompetentny i wiedziałem dobrze, iż były nie na moje siły.

Na szczęście wakacje się właśnie kończyły, trzy dni później likwidowaliśmy obóz i udało mi się bez uszczerbku dla mojego honoru i detektywistycznej sławy opuścić Ustkę.

A teraz Sonia! Nie zapomniała tamtego wydarzenia i uznała za zupełnie normalne, że powinienem zostać detektywem zamkowym, włączyć się do śledztwa i wykryć złodzieja tu, w Melsztynie, równie łatwo i szybko jak wtedy nad morzem... A niech ją Czajdusza dręczy! Oczywiście należało wyprowadzić ją z błędu, wytłumaczyć, jak naprawdę sprawa się miała z tym Kostiumologiem w Ustce i sprowadzić całą aferę do normalnych rozmiarów, ale... ale zabrakło mi odwagi. Wyobraziłem sobie, jak wiele straciłbym w oczach Soni. Prawdopodobnie przestałbym się jako chłopak w ogóle liczyć w jej dziewczęcym rankingu.

Zapytałaby, i słusznie, dlaczego nie sprostowałem tych przesadnych opinii od razu wtedy nad morzem, lecz z miną zadowolonego fałszywego idola-kabotyna odbierałem niezасłużone hołdy i pochwały. Poczułaby się oszukana, straciłbym ją, a w każdym razie jej sympatię i zaufanie.

Stchórzyłem więc i tylko próbowałem wykręcić się od roli detektywa bez uszczerbku dla mojego image, czyli wizerunku.

- Oczywiście, rozumiem tę piekielną sytuację - powiedziałem - chciałbym wam pomóc, obawiam się jednak, że nie na wiele się przydam. Zachodzi pewna komplikacja...

Sonia zmarszczyła brwi.

- Boisz się, że sprawa tym razem jest trudniejsza?

- Na pewno tak, ale rzecz w czym innym. Chodzi o to, że mój szósty zmysł, jak to ładnie nazwałś, jest... - gorączkowo szukałem jakiegoś wytłumaczenia - jest chimeryczny - dokończyłem zadowolony ze słowa, które mi wpadło do głowy.

- Chimeryczny? Co to znaczy? - zapytała Sonia.

- To znaczy: kapryśny, zmienny, niestały, grymaśny... Właśnie teraz przeżywam przejściowy, mam nadzieję, spadek formy - oznajmiłem. Ale jeśli myślałem, że to oświadczenie zniechęci Sonię, to myliłem się gruntownie. Jej wiara we mnie była naprawdę niezachwiana. Wzruszyła tylko ramionami i powiedziała nader swobodnym tonem:

- Pal sześć szósty zmysł! Tobie wystarczy pięć zmysłów zwykłych, a nawet trzy! Plus twoja inteligencja! Najważniejsze, że masz wszystko dobrze poukładane w głowie...

- Posłuchaj... - chciałem jej przerwać, ale mi nie pozwoliła.

- Tylko nie mów, że nagle stałeś się matosem, bo i tak nie uwierzę. Domyślam się, że od tamtego czasu jesteś rozrywany i masz po uszy takich spraw jak ta.

Wiem, że przyjechałeś tu, żeby spędzić spokojnie weekend, odprężyć się i oderwać od wszystkiego, a ja cię pakuję w tę okropną historię, ale... pomyśl o biednej Zuzie, o tej asystentce taty. To taka miła, naprawdę z gruntu uczciwa dziewczyna, a spotkało ją podobne nieszczęście. Jeśli nie złapiemy złodzieja i nie odzyskamy tych sreber, to wszystko skrupi się na niej, do akcji wkroczy policja. Zuzi zdaje sobie z tego sprawę i jest zupełnie załamana. Boi się, że ją aresztują, wyrzucą z pracy i na całe życie będzie miała zszarganą opinię! Więc jak? Pomożesz, Zenuś? - uśmiechnęła się i pocałowała mnie. - No, kochany?...

Doprawdy nie wiem, co mi się stało, że zupełnie straciłem głowę. Czyżby wystarczył ten uśmiech i pocałunek? Przypuszczam, że tak. Znalazłem się jakby pod wpływem silnego narkotyku i w stanie półprzytomności obiecałem Soni zająć się całą aferą.

- Jaką zastosujesz metodę?- zapytała z miejsca nader rzeczowo.

- Metodę? - nie bardzo zrozumiałem.

- Emeryk mówi, że w tego rodzaju sprawach metoda jest konieczna.

Znów ten Emeryk! Do licha z Emerykiem! - pomyślałem, ale postanowiłem podjąć grę i popisać się własnymi mądralizmami.

- Osobiście stosuję metodę trójfazową - powiedziałem strzepując pyłek z rękawa. - Metoda trójfazowa jest niezbędna w każdym dochodzeniu...

- W dochodzeniu?

- Do prawdy obiektywnej... nie chciałbym cię zanudzać, ale jeśli cię interesuje...

- O tak - zapewniła skwapliwie.

- No więc to wygląda tak:

Pierwsza faza: inspekcja, wizja lokalna i obdukcja.

Druga faza: introspekcja, analiza i indukcja.

Trzecia faza: dedukcja i złapanie złodzieja za frak. Sonia słuchała z podziwem.

- I ty to wszystko potrafisz? Masz to w głowie?

- W małym palcu u nogi - odparłem niezbyt skromnie. - Oczywiście do obdukcji w fazie pierwszej potrzebny jest trup - wyjaśniłem. - Ponieważ trupa na razie nie ma...

- Na razie! - przestraszyła się Sonia. - Sądziś, że w dalszej fazie śledztwa...

- Możemy natknąć się na trupa - dokończyłem. - W każdym razie musimy być przygotowani na to, ale nie bój się, tobie ani wujkowi nic nie grozi. Mój nos detektywa podpowiada mi, że zagrożenie śmiercią dotyczy innych osób; was nie sprzątną.

- Nas nie? Czemu?

- Sprząta się niewygodnych świadków, a wy nie byliście świadkami.

- Ale Zuza... Złodziej może podejrzewać, że ona widziała. Myślisz, że grozi jej... sprzątnięcie?

- Jeśli coś ukrywa przed nami lub kogoś osłania... Czy nie przyszło ci do głowy, że ona może znać złodzieja albo nawet... być jego współniczką?

- Co ty, Zenku! Ona współniczką?! Ręczę za nią! To wspaiała, niezwykle sumienna dziewczyna...

- Która zostawia bez zabezpieczenia antyczne srebra i wychodzi sobie z pracowni - pozwoliłem sobie na drwiącą nutę.

- Każdemu może się zdarzyć, że w pośpiechu coś zapomni... Wzywano ją do telefonu.

- Tylko że nikt jej przy telefonie nie widział. Ale załóżmy, że faktycznie w czasie kradzieży nie było jej w pokoju. To wcale nie czyni jej mniej podejrzaną. Mogła umyślnie wyjść, żeby zostawić wolne pole dla złodzieja.

- Ależ, Zenku - wykrzyknęła przykro zaskoczona Sonia - ty przecież masz bronić Zuzy, a zachowujesz się jak prokurator!

- Nie zachowuję się ani jak prokurator, ani jak jej adwokat. Chcę po prostu odkryć prawdę i dlatego rozważam różne możliwości, ale na wnioski jeszcze za wcześnie - odparłem z urzędową miną.

- Najpierw musimy przeprowadzić inspekcję.

Zacniemy od wieży i strychów. Podobnie jak twój tata, jestem zdania, że skradzione puchary i patera wciąż jeszcze są na terenie zamku. Będiesz mi towarzyszyć? - uśmiechnąłem się do Soni.

- O... oczywiście - odparła przejęta.

- Zatem do roboty.

Poszukiwania przebiegły sprawnie i były bardzo dokładne dzięki Soni, która znała w zamku każdy kąt. Niestety, choć przetrząsnęliśmy wszystkie zakamarki od szczytu wieży do piwnic, nigdzie nie trafiliśmy na najmniejszy ślad sreber. Podobnie nic nie dało wypytywanie wszystkich osób, które aktualnie przebywały na zamku. Nikt niczego podejrzanego nie widział ani nie słyszał. Portier w holu głównym potwierdził tylko, że istotnie był telefon w tym czasie. Dzwonił Januszek do asystentki Zuzy; portier zawiadomił ją przez sprzątaczkę Krysię, która akurat szła na górę, ale czy Zuza zeszła odebrać telefon, nie wie, bo wyszedł na pięć minut-jak powiadał - „ochrzanić i popędzić do pracy przed drzwiami wejściowymi robotników, którzy zamiast reperować schody, raczyli się pi-

wem". Ale kiedy wrócił, słuchawka była już z powrotem „na widełkach”, więc może jednak faktycznie Zuza była na dole.

Tak więc ani inspekcja, ani wizja lokalna pracowni konserwatorskiej niczego definitywnie nie wyjaśniły. No i co dalej, przygłupie? - zadałem sobie rozpaczliwe pytanie. Nie miałem przecież żadnego pomysłu. Czuję, że dałem się wmanewrować w niewygodną, mówiąc delikatnie, sytuację. A wszystko przez moje zarozumiałstwo i tę zgubną (!) słabość do Soni. Jestem zgrywus i blagier...

Fikcja, blaga i bajer - to tylko potrafię i dlatego nędznie skończę. Czekam mnie nieuchronnie upokorzenie i kompromitacja. Wyjścia dobrego nie ma, można tylko od razu przyznać się do klęski, albo jeszcze nadrabiać miną i bajerując beczelnie odwlec kompromitację na godzinę lub dwie...

Z tchórzostwa wybrałem to drugie i brnąłem beznadziejnie dalej.

- Spokojna głowa! - powiedziałem do Soni. - Dokonałiśmy inspekcji i wizji, mamy załatwioną pierwszą fazę...

- Ale to przecież nic nie dało - zauważyła markotnie Sonia.

- Nie wiadomo, moja droga - zrobiłem tajemniczą minę. - Nie znaleźliśmy wprawdzie skradzionych rzeczy, ale w pierwszej fazie to zdarza się wyjątkowo.

Zaobserwowaliśmy za to mnóstwo szczegółów... niektóre z nich mogą mieć kapitalne znaczenie dla sprawy, trzeba tylko mądrze przeprowadzić selekcję...

- Naprawdę myślisz, żeśmy coś ważnego zaobserwowali?

- Owszem - zełgałem beczelnie.

- Co, na przykład?

- Jak bardzo to jest ważne, będę mógł powiedzieć po zakończeniu fazy drugiej, w której dokonam introspekcji, analizy i indukcji.

- A analizy i indukcji?

- Przecież mówiłem ci... Czekam mnie teraz „godzina myśli”, jak wielkiego poetę Juliusza Słowackiego, który dużo i skutecznie myślał. Myślenie miało i mieć będzie dużą cenę, Soniu, myślenie ma kolosalną przyszłość - plotłem, by pokryć własną bezradność i brak jakiegokolwiek pojęcia, jak dalej prowadzić sprawę. „Królestwo za pomysł!” - chciałem wykrzyknąć, ale wiedziałem, że mury zamku pozostaną głuche. Odchrząknąwszy więc powiedziałem tylko:

- A zatem wybac mi, Soniu, ale muszę się skupić; w samotności.

- Ależ tak... to... to jasne - odrzekła trochę oszołomiona. - Jeśli tego wymaga druga faza śledztwa...

- Wymaga koniecznie - zapewniłem.

- Będę w sali rycerskiej - powiedziała Sonia. - Przez ten czas powtórzę z fizy te okropne rzeczy o cieczech i prawo Alcybiadesa.

- Archimedes, Soniu - sprostowałem.

- O Boże, wciąż mi się wszystko płacze - jęknęła Sonia. - Gdybyś potrzebował pomocy, wiesz, gdzie mnie szukać - uśmiechnęła się blado i wyszła.

Jak można było przewidzieć, nic mi to nie dało. W samotności czułem się jeszcze bardziej bezradny. Ponownie przebiegłem myślami całe „śledztwo” i wszystkie „przesłuchania”, ale nie znalazłem najmniejszej wskazówki, co robić dalej; żadnego punktu zaczepienia. Zaraz... chwileczkę - zreflektowałem się nagle, czy naprawdę wszystkich „przesłuchałem”. Owszem, przepytalem nawet dwuletnie bliźnięta, ale... przecież, do licha, jest ktoś, z kim w ogóle na ten temat nie rozmawiałem, kogo o nic nie pytałem. To Emeryk! Mógł coś ciekawego zauważyć, choć nadzieja była słaba. Przecież bez reszty zaprzętała go ta cholerna fiza, tylko fiza i poza nią nic się nie liczyło. To prawda, ale spróbować można. Nic nie ryzykuję. Może uda mi się wyciągnąć coś od niego, nie tracąc twarzy?

Nie zastanawiając się dłużej, pobiegłem go szukać. Przy beczkach z wodą (gdzie miał badać parcie cieczy) już go nie było. Znalazłem go dwieście metrów dalej na brzegu łąki przy grobli. W chylącym się ku zachodowi słońcu zamek rysował się niezwykle wyraziście, równie wspaniale, jak złowrogo. Dopiero teraz zauważyłem, że pilnują go różne straszne kamienne maski umieszczone na frontonie, największe spośród nich miały diabelskie twarze i rogi. Wydawało się, że cały zamek płonie, bo wszystkie okna pławiły się w czerwonożłocistej łunie.

- Popatrz, co za widok! - powiedział Emeryk. Miał zachwyconą minę. - Co ci to przypomina?

Wzruszyłem ramionami.

- Przypomina mi piekło. Pałac Lucyfera cały w ogniu, diabły trzymają warty, a w środku dzieją się diabelskie sprawy!

- Myślisz o tej nieszczęsnej kradzieży?

- Właśnie. Biedny wujek Markowski! Chciał nam pokazać zamek od jak najlepszej strony, a tu taki pasztet. Ma wujczysko pecha.

- Pecha? - Emeryk uśmiechnął się dziwnie. - Dlaczego pecha? Ma szczęście.

- Szczęście? - zmarszczyłem brwi. - Nie rozumiem.

- Szczęście, bo akurat jesteś na miejscu i będziesz mógł popisać się szóstym zmysłem i talentami detektywa, jak tam.

- A ty skąd wiesz? Nie było cię wtedy w Ustce.

- Sonia mi opowiedziała, podobno wspaniale rozwiązałeś zagadkę znikających kostiumów plażowych, wytropiłeś i złapałeś przestępcę znanego pod przydomkiem Kostiumolog albo Wędkarz. Ale tam miałeś nieco ułatwione zadanie z powodu stanu nietrzeźwości Kostiumologa i myślę, że dopiero tutaj będziesz się mógł naprawdę sprawdzić, pokazać swoją klasę i zdolności!

Spojrzałem na Ęsia podejrzliwie, czy nie nabija się ze mnie, ale jego wymoczkowata twarz była zupełnie poważna. Spuściłem oczy i westchnąłem nieco obłudnie, demonstrując skromność.

- Wiesz, jak ludzie lubią przesadzać... - powiedziałem. - Po prostu byłem wtedy w formie. Niestety, w tej chwili moja forma pozostawia dużo do życzenia; przemęczenie nauką, brak praktyki... ale pomyślałem sobie, że ty przecież także miewasz... hm... czasami niezłe pomysły.

- Zauważyłeś to w końcu? Bardzo się cieszę - rzekł Emeryk. Chrząknąłem zmieszany. Rozmowa z tym mądrą naprawdę wiele mnie kosztowała, ale brnąłem dalej:

- Pomyślałem, że gdybyś włączył się z... z jakimś szczegółem ważnym dla śledztwa, z czymś, od czego byśmy mogli zacząć... ruszyć z miejsca...

- Naprawdę sam nie możesz?

Zdawało mi się, że w głosie Emeryka zadźwięczała jakaś drwiąca nutka, ale udałem, że nie słyszę.

- Już mówiłem ci - sapałem - źle się czuję i chciałbym... no, rozumiesz...

- Rozumiem, Zenon. Chcesz po prostu, żebyś rozwiązał za ciebie zagadkę.

- No nie, nie ujmuj tego w ten sposób. Sądzę, że moglibyśmy współpracować jak... jako bracia.

- Jako bracia?

- Właśnie. Za mało dotąd współpracowaliśmy. Chcę to naprawić, to był błąd.

Ęsio milczał przez chwilę, chyba namyślał się.

- Ale musimy współpracować dyskretnie - dodałem, akcentując ostatnie słowo.

- Dyskretnie? A to czemu? - zapytał Ęsio, mrużąc oczy. - Nie chciałbyś, żeby Sonia dowiedziała się, że korzystałeś z pomocy młodszego brata?

- No, rozumiesz, te dziewczyny, jak sobie wbijają coś do głowy... Ona mnie uważa za detektywa i...

- I nie chciałbyś jej rozczarować.

- Dokładnie! To smutne, Ęsiu, rozczarować kogoś. Wszystkie rozczarowania są smutne... a ja nie chciałbym rozczarować Soni. Ty chyba też? A więc zgoda?

- Zgoda - odparł Ęsio - ale najpierw obiecasz, że nie będziesz przezywał mnie Ęsiem.

Chrząknąłem, zaskoczony takim warunkiem.

- Obiecujesz czy nie? - Emeryk zmarszczył brwi.

- Dobra, to da się zrobić - mruknąłem.

- I nie będziesz zakładał mi nelsona - dorzucił Emeryk.

- Nie będę - westchnąłem ciężko.

- Ani mnie rolował, ani robił mi sera, ani kęsim-kęsim i nie każesz mi już nigdy być ujeżdżanym koniem ani... nie będziesz zabierał mnie na męki...

Przygryzłem wargi. Smarkacz psuł mi wszystkie najlepsze zabawy.

- Przyrzekasz? - pytał z surową miną.

- No dobra, dobra - odburknąłem.

- A co z pompowaniem? - zagadnął znienacka. - Jeszcze zapomnieliśmy o pompowaniu. Musisz mi obiecać, że nie będziesz mnie pompował.

- No nie, tego już za wiele - oburzyłem się. - Już tyle ci obiecałem. Pompowanie musi zostać! - próbowałem się targować.

- W takim razie nie ma o czym gadać - oświadczył Eşio. - Pompowanie, któremu byłem poddawany, jest równie haniebne jak ujeżdżanie i rolowanie... Więc?

- Jesteś wstrętnym szantażystą - zasapałem. - Wykorzystujesz sytuację, ale dobrze... nic ci nie będę robił, jeśli coś wykombinujesz... i będziemy mieli jakiś postęp w śledztwie. Chociaż jeden krok naprzód... no, powiedzmy, dwa kroki!

- Znakomicie - rzekł wesoło Emeryk. - Aha, byłbym zapomniiał. Chcę cię uprzedzić, że na końcu zabawimy się w duchy.

- Co takiego?! - wytrzeszczyłem oczy zaskoczony.

- Trzeba coś zrobić dla tego biednego zamczyska. Ma kłopoty finansowe, za mało turystów go odwiedza, a przecież wart jest dużego zainteresowania. Myślę, że powinno się tu zainstalować ducha. Nic tak nie przyciąga turystów do zamku, jak duchy; no, przynajmniej jeden pokutujący i faczhowo straszący duch... Duch Albrechta załatwiłby nam sprawę... Co ty na to?

- Nie wiem... w ogóle nie bardzo rozumiem... - mruknąłem.

- Nie musisz. Potem zrozumiesz. Na razie wystarczy, jak podczas seansu będziesz wytrzeszczał oczy i wołał: „Duch, tam chodzi duch! Widziałem ducha!” - a potem będziesz mówił to, co ci podpowiem.

Spojrzałem na Eşia podejrzliwie. Pomysł z duchem Albrechta wydał mi się niestosowny i niesmaczny, zważywszy na okoliczności.

- Tylko nie próbuj kręcić i zwalić kradzieży na ducha, cwaniaku - pogroziłem Eşiowi. - I pamiętaj, jeśli po tym całym gadaniu nic mądrego nie wymyślisz...

- Będziesz mógł mnie wziąć na męki - dokończył Eşio.

- No, to zabieraj się do roboty - popędziłem go. - Obiecałem Soni ruszyć szybko sprawę z miejsca i muszę za godzinę najdalej mieć pierwsze wyniki, jakąś koncepcję śledztwa przynajmniej, jakiś punkt zaczepienia, to znaczy zahaczenia...

- Możesz go mieć już teraz - oznajmił Emuś.

- Naprawdę? - wymamrotałem nieufnie.

- Biegnij do Soni i zapytaj, czy dziś rano podlewała kwiatki w fosie i z której beczki czerpała wodę.

- Nie wyglupiaj się - powiedziałem. - Ja mam z czymś takim do Soni... Robisz ze mnie balona! Kwiatki w fosie? Osobiście nie myślę, żeby...

- Nie jesteś tu od myślenia - zgasił mnie Emuś. - Zrób, co ci mówię i nie mędrkuj!

Pobiegłem do zamku. Sonię zastałem w holu przy wielkim globusie Keplera.

Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Co tutaj robisz? - zapytałem. - Miałaś być w sali rycerskiej.

- Tak, ale... wydarzyło się coś ważnego.

- Co takiego?

- Miałaś rację, Zenon. Faza druga. Introspekcja. Wgląd we własne wnętrze. Myślenie w skupieniu. To cudowna rzecz. Nie wiem, jak to przyjmiesz, ale ja też zapragnęłam dokonać introspekcji.

- Ty? - zdumiałem się. - No cóż... brawo!

- A właściwie, to chyba nie była czysta introspekcja. Mówiąc dokładnie, chciałam jako... no, jako dojrzewająca kobieta wykorzystać kobiecą intuicję. Iść za głosem intuicji... zawierzyć intuicji i... i zawierzyć.

- Z jakim skutkiem? - zapytałem, coraz bardziej zaskoczony.

- Z nadzwyczajnym, wspaniałym - odparła podniecona. - Przymknęłam oczy, pomyślałam o tych ukradzionych srebrach i obserwowałam, co też w mojej psychice się odezwie... I wtedy niespodziewanie zobaczyłam... globus! Globus Keplera.

- Ten wielki, który tutaj stoi? - zapytałem.

- Ten sam. Od razu wybiegłam z sali rycerskiej i wpadłam tutaj... Zenon, jacy my byliśmy ślepi! Srebra są tutaj, schowane w tym wielkim globusie. Moja intuicja mówi mi...

- Boże! - wykrzyknąłem. - W globusie?! Właściwie, czemu nie? Ale to śmiała hipoteza.

- Posłuchaj! Wszystko na to wskazuje. Pogłówkujmy razem spokojnie, jeszcze raz przypomnijmy wszystkie fakty. Kto wtedy zaglądał do pracowni prócz mojego taty i jego asystentki Zuzy?

- No... Krysia, ta sprzątaczką.

- Otóż to - zapaliła się Sonia. - Poszła na górę zawiadomić Zużę, że proszą ją do telefonu. Ale pytanie: skąd wzięła się na dole w tym czasie?

- No właśnie, co tam robiła?
- Nie wiesz?
- Nie mam pojęcia.
- Przypomnij sobie. Była na dole, bo akurat wtedy zniosła do holu globus Keplera.
- Prawda! - wykrzyknąłem. - Naprawdę nie jestem dziś w formie, te luki w pamięci - potarłem sobie czoło. - Jak mogłem zapomnieć! Przecież pomogliśmy jej na schodach z tym koszmarnym globusem, kiedy omal nie wypuściła go z rąk.
- No właśnie. Potem Krysia zostawiła go w holu, bo dzisiaj wieczorem miał jechać do Warszawy na wystawę „Odkrywanie świata” w Muzeum Narodowym.
- Co za świetna okazja, żeby w jego pojemnym brzuchu ukryć i przemycić za bramę cały futerał ze srebrami... - powiedziałem podniecony. - Kto miał pojechać razem z nim?
- Profesor Szturmer - odparła Sonia.
- Ależ w takim razie...
- W takim razie głównym podejrzanym staje się profesor Szturmer.
- Mój Boże, kto by pomyślał! Profesor - złodziejem. Doktor habilitowany łakomi się na srebrne puchary i paterę... Nikomu już nie można ufać!
- Oczywiście, jego współniczką jest Krysia. I to zmienia całą hipotezę uprzednią. Krysia miała klucze. Mogła ukraść srebra jeszcze wcześniej rano, w czasie sprzątania i dla niepoznaki położyć w szafie podobny futerał, żeby kradzież nie wydała się zbyt wcześnie.
- Soniu jesteś genialna! - pokręciłem głową ze szczerym podziwem. - Intuicja intuicją, ale obudził się w tobie prawdziwy detektyw! Na co jeszcze czekamy? Otwórzmy ten globus! Jak zauważyłem, składa się on z dwu połówek i powinien się łatwo otwierać. Dalej!
Ująłem za jedną połowę, Sonia za drugą i zaczęliśmy ciągnąć w przeciwnych stronach.
Nie poszło nam łatwo. Ręce ślizgały się po powierzchni gładkiej kuli i Sonia musiała pobiec do swojej łazienki po talk kosmetyczny. Posypaliśmy nim ręce i po kolejnej próbie globus puścił. Wylądowaliśmy na podłodze. Globus rozpadł się na dwie połowy i każda z nich potoczyła się w inny róg holu.
Patrzyliśmy na te półkule w osłupieniu, bo do naszej świadomości dotarła żenująca nowina, że globus był pusty! Cała wspaniała hipoteza rozsypała się jak domek z kart. A intuicja Soni... Nie, lepiej zamilczę.
Co gorsza, portier wzburzony profanacją czcigodnego globusa urządził alarm na cały zamek z przyległościami. Nadbiegł magister Chudoń, kłapiąc ze zdenerwowania swoją końską szczęką, nadbiegł kuśtykając, nerwowo mediewista magister Laluch i przytoczyła się stukając laską gruba doktor Szemiot-Czambułko, specjalistka hipolo-gii orężnej, a na końcu wujek Markowski z profesorem Szturmerem.
Wszyscy patrzyli na nas z głębokim niesmakiem.
- Takie rzeczy tutaj?! - wykrzyknął wzburzony wujek. - Wandalizm! Nieposzanowanie zabytku kultury. I to kto?! Córka kustosa?! - sapał, wpatrując się w Sonię. - Narobiłaś mi wstydu przed całym naukowym gremium. A ty, Zenonie - wycelował palcem we mnie - przykro mnie zaskoczyłeś. Obawiam się, że wywierasz zgubny wpływ na Sonię.
- My... my wszystko wytłumaczymy i zaraz złożymy globus z powrotem - zgłosiłem chęć naprawy, ale wujek Markowski parsknął tylko jak rozgniewany gepard i zagroził mi drogę.
- Ani waż się dotykać! To zabytek!
- To czy możemy w jakiś inny sposób pomóc?
- Zejdźcie mi z oczu! Tylko to możecie dla mnie zrobić.
- Może przedtem jednak wytłumaczymy. - Sonia pociągnęła nosem.
- Tu nie ma nic do tłumaczenia! - uciął wujek. - Precz!
- Naruszasz, wujku, prawa człowieka - ośmieliłem się zauważyć.
- Co?! - zagrział wujek.
- Prawo do obrony, to podstawowe prawo człowieka.
- Będiesz człowiekiem jak dorośniesz - wujek wygłosił zupełnie horrendalną opinię, która wzburzyła nas do głębi. Oboje z Sonią podnieśliśmy głowy i z godnością wycofaliśmy się z holu na dwór.
Usiedliśmy na ławce pod złocistymi cyprysikami. Sonia popłakiwała i co chwila wycierała oczy chusteczką.

- Tak się wygłupiłam, taka kompromitacja! - jęczała.
- Nie masz sobie nic do zarzucenia - powiedziałem. - Rzecz wyglądała naprawdę podejrzanie, a że się trochę pomyliłaś...
- Trochę?! - rozpląkała się na nowo. - Pomyliłam się całkowicie. Jestem do gruntu rozczarowana!
- Roczczarowania, to chleb powszedni detektywa - próbowałam ją pocieszyć. - Na sto hipotez za ledwie parę okazuje się prawdziwych, czasem żadna!
- Tak mi wstyd. Także przed tobą, Zenku - przyznała. - Odciągnęłam cię od działań metodycznych na rzecz intuicyjnych... To był straszny błąd. I okropne zarozumiałstwo z mojej strony. Intuicja! - westchnęła gorzko. - Nie mam intuicji kobiecej, nie mam intuicji... co ze mnie za kobieta! - rozpląkała się na nowo.

Z trudem powstrzymałam się od uśmiechu, który - zważywszy na okoliczności - byłby tu zupełnie nie na miejscu. I zamiast uśmiechnąć się, zrobiłem gniewną minę.

- Nie rozklejaj się - warknąłem. - Przestań chlipać i posłuchaj. To, że sreber nie było w globusie, wcale nie znaczy, że zawiodła cię intuicja. Zawiodła cię tylko trochę. Słusznie zwróciłaś uwagę na Krysię, a także na profesora Szturmera. On dzisiaj wyjeżdża i może będzie chciał przemycić srebra w bagażu osobistym. Wątpię, by ośmielono się go szczegółowo sprawdzać przy bramie...

- Naprawdę myślisz, że jest jakaś szansa? - Sonia pociągnęła nosem. - Ja już przestałam wierzyć. To pechowa sprawa. Dajmy sobie spokój. Nic z tego nie wyjdzie. Węsząc po kątach i wsadzając nochał w cudze sprawy, rozzłościmy tylko jeszcze bardziej tatę.

Nie będę ukrywał. Jej nagły upadek wiary, także wiary we mnie, mocno mnie rozczarował i przygnębił. Osobiście nie miałem zamiaru kapitulować. Jasne, było mi trochę głupio, że z globusem nie wyszło.

Już miałem nadzieję, że odniosę sukces bez Ęsia, bez jego najmniejszej pomocy, a tu nic z tego, będę musiał przeprosić się z tym pędrakiem. Zbyt już zaangażowałem się w tę aferę i, mówiąc szczerze, po prostu byłem ciekaw, czy Emuś nie blefuje, czy da sobie radę z tym przypadkiem.

- Jak chcesz - mruknąłem do Soni. - Może masz rację, ale zanim się wycofam, chciałbym cię o coś zapytać.

- Dobrze, pytaj!

- Dziś rano miałaś sprzeczkę z Emerykiem. O co poszło? Spojrzała na mnie zdumiona.

- Takie głupstwa cię interesują?

- Proszę, odpowiedz!

- Byłam na niego zła, bo nie podlał roślin w holu, chociaż obiecał mi wyreczyć - powiedziała i wyjaśniła dokładnie, w czym rzecz: - Wiesz, są kłopoty z wodą, a do moich obowiązków należy podlewanie roślin doniczkowych w zamku. Ostatnio się zaniedbałam, to fakt i miały bardzo sucho. Mama zwróciła mi uwagę. A podlewanie wcale nie jest proste, bo trzeba dźwigać deszczówkę ze dworu. A ja muszę wkuwać, bo zarobiłam już dwie bomby z fizy i polaka; chciałabym je zmazać, więc nie mam czasu na to podlewanie. Emeryk przyrzekł, że dziś rano się tym zajmie, a tymczasem nawalił. Ale nie to mnie najbardziej rozgniewało, tylko... - zawahała się.

- Tylko co? - dopytywałam.

- Tylko to, że skłamał.

- Emeryk skłamał? - zdziwiłem się.

- Tak, skłamał w żywe oczy i upierał się, że podlał, jak obiecał, a wcale tego nie zrobił. Tylko jakie to teraz ma znaczenie, kiedy taka rzecz się zdarzyła... Czy masz jeszcze pytania? Wolałabym jakieś sensowniejsze...

- Nie, dziękuję - odparłem.

- Bo chciałabym teraz pójść i... wypłakać się - oznajmiła Sonia.

- Idź, Soniu - powiedziałem i pocałowałam ją w mokry policzek. - To dobry pomysł.

Sonia poczłapała na górę do swojego pokoju, a ja zacząłem szukać Emeryka. Przy grobli już go nie było, znalazłem go przy wysokim murze, który otaczał zamek.

- Co robisz? - zapytałem.

- Badałem mur, czy wszędzie jest dość szczelny i wysoki - odparł. - Zastanawiałem się, czy sprawca mógł dostać się do zamku lub wydostać z niego przez mur...

- I co?

- Mur jest na medal, niedawno odnowiony, szczelny i gładki. Sforsowanie go jest teoretycznie możliwe, ale trudne i ryzykowne; wymagałoby umiejętności i siły komandosów albo dobrych alpinistów; co więcej, groziłoby uszkodzeniem cennego łupu.

- A zatem...

- Zatem należy wątpić, by kradzieży dokonał ktoś z zewnątrz. To sprawka „zamkowych ludzi” - kogoś, kto miał możliwość wyniesienia sreber normalną drogą, to znaczy przez bramę.

- Ale jak? - zapytałem drwiąco. - Po jednym pucharze w kieszeni? Nie zapominaj, że do wyniesienia byłoby dwanaście wielgachnych pucharów i patera jak taca, a kontrola przy bramie jest bardzo dokładna. I czy taki ogromny puchar na trzy kwarty, jak mówił wujek, to znaczy na trzy czwarte dzisiejszego litra, zmieściłby się w nawet największej kieszeni?

- Chyba nie - rzekł Emeryk. - Mam także wątpliwości, czy złodziej byłby tak wytrwały, opanowany i pracowity, żeby trzynaście razy powtarzać niebezpieczną przeprawę przez bramę. Raczej zakładam, że to facet leniwy, ale musimy brać pod uwagę, że lenistwo często bywa matką wynalazków i ciekawych pomysłów. Jestem pewien, że „mój” złodziej też posłuży się takim chytrym sposobem. Na przykład... na przykład spróbuje przemycić srebra w tym wielkim globusie, który nam pokazali... w globusie Keplera.

Roześmiałem się.

- Wyobraź sobie, że Sonia miała identyczny pomysł, z tym że wprowadziła go natychmiast w czyn...

- Z twoją pomocą, jak sądzę. No i co?

- Dopuściliśmy się aktu wandalizmu - wyznałem ze skruchą. - Próbowaliśmy otworzyć globus i rozerwaliśmy go na dwie połowy. Zrobiła się straszna heca. Lepiej nie powiem, co się dalej działo... Najedliśmy się wstydu, wujek Markowski zwymyślał nas od Hunów i Wandali. Sonia nie może się dotąd pozbierać, bo najgorsze w tym wszystkim jest to, że w globusie nic nie było. Zawiodła ją intuicja.

- Ale przynajmniej teraz wiemy, że globus odpada. Złodziej musiał upatrzeć sobie inny schowek - rzekł Emeryk. - Trzeba szukać innego, odpowiednio pojemnego naczynia, żeby zmieścił się tam cały ozdobny futerał ze wszystkimi pucharami i paterą.

- Myślisz, że sprawca będzie przemycać zdobycz w całości?

- Jestem tego zupełnie pewien. Komplet sreber w oryginalnym futerale, który sam jest wart krocie, podwaja co najmniej wartość tego łupu, a złodziej jest, moim zdaniem, znawcą w tej dziedzinie.

- Ale gdzie znalazł to wielkie, jak je nazwałeś, naczynie do schowania łupu?

- Tu niedaleko, jeśli moja hipoteza jest słuszna - odparł, skromnie spuszczać oczka. - Chodź, pokażę ci! - pociągnął mnie.

- Dokąd mnie wleciesz?!

- Jeszcze się nie domyślasz - uśmiechnął się. - Stop! Jesteśmy na miejscu.

Rozglądałem się oszołomiony.

- Tu stoją beczki z wodą - powiedziałem.

- No, właśnie.

- Chcesz powiedzieć, że srebra są schowane w beczce?

- Tak - odparł. - W tej największej.

- Skąd ta pewność?

- Pozwól za mną - podprowadził mnie pod mur dokładnie naprzeciw wieży. - Widzisz to otwarte okno na drugim piętrze baszty? Jest to okno pracowni, skąd skradziono srebra.

- Tak, wiem.

- Spójrz teraz na beczki tu, na dole. Największa z nich stoi dokładnie pod tym oknem.

- Do licha! wykrzyknąłem. - Że też nie skapowałem się od razu! Złodziej zrzucił srebra przez okno do beczki.

- Zrzucił? - Emeryk pokręcił głową. - Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. On posłużył się mocną linką, może żyłką wędkarską; przewlekł ją przez rączkę futerału i zdobycz powędrowała na lince prosto do największej beczki. Potem puścił jeden koniec linki, uwolnił ją i wciągnął do góry, do siebie. Czysta robota! Linkę schował do kieszeni i ani śladu... a cała operacja trwała minutkę, może tylko pół... Żadnych świadków. Nikt nie zagląda w ten zakątek dziedzińca, my bawiliśmy się wtedy na schodach wewnątrz zamku.

- Całkiem niezła hipoteza - rzekłem, nie kryjąc podziwu - wszystko ładnie trzyma się kupy... Jak na to wpadłeś?

- To przez Sonię.

- Przez Sonię? Nie bardzo kapuję...

- Kiedy przyjechaliśmy tutaj, akurat wkuwała prawo Archimedesesa... - „Ciało zanurzone w cieczy doznaje wyporu równego co do wartości wypartej cieczy” - pochwaliłem się znajomością fizyki.

- Tak jest. To mi utkwilo w uszach... - ciągnął Emeryk - to ciało zanurzone w cieczy, więc gdy zastanawiałem się, gdzie złodziej mógł ukryć swój łup, od razu pomyślałem o cieczy, a pierwszą cieczą, która przyszła mi na myśl, była ta niezbyt przyjemna ciecz gromadzona w tutejszych beczkach, zwana deszczówką. No, a potem wystarczyło już tylko upewnić się. Pomogła mi w tym Sonia, choć nieświadomie.

- Znow nie bardzo rozumiem... Wysłałeś mnie do niej z pytaniem, które nie wiązało się ze sprawą...

- Ależ mylisz się! To było pytanie jak najbardziej związane ze sprawą. Zaraz ci wytłumaczę, dlaczego - powiedział wesoło Emeryk, jakby świetnie się bawił. - Sonia zarzuciła mi, że nie podlałem kwiatków i że ją okłamałem. Dlaczego tak myślała? Ponieważ gdy wyszła na swój codzienny mały spacer z Pieszczochem, zobaczyła, że wszystkie beczki są napełnione wodą aż po brzegi, a przecież - rozumowała słusznie - gdybym podlał kwiatki, musiałyby z którejś z beczek wyraźnie ubyć wody. Nie wzięła tylko pod uwagę, że mogą być inne powody takiego wyrównania stanu wody w beczkach. Mógł padać deszcz, mógł ktoś dolać wody, no i ktoś mógł podwyższyć niski poziom wody w jednej beczce, wrzucając tam jakieś „ciało” w stanie ciekłym lub stałym. Ja szczęśliwie o tym pamiętałem, bo wciąż brzęczało mi w uszach: „ciało zanurzone w cieczy”... Rozumowałem tak; deszczu nie było, nikt na pewno nie dolał wody do deszczówki, bo to bez sensu, a zatem pozostaje ewentualność trzecia: ktoś umieścił w beczce jakieś duże ciało, i to ciało musiało „zadziałać” siłą wyporu. Może zrobił to złodziej, pakując do beczki skradzione srebro? Czemu nie? Dla pewności chciałem z ust Soni otrzymać jednoznaczne potwierdzenie, że „coś” podniosło poziom wody w „mojej” beczce mniej więcej w tym czasie, gdy wydarzyła się kradzież.

- Wszystko ładnie pasuje, ale hipoteza wciąż jeszcze jest hipotezą - zauważyłem gwoli ścisłości. - Żeby stała się prawdą, proponuję, zamiast deliberować, po prostu zajrzeć do brzucha baryły i wyciągnąć z niej skarb, jeśli tam się znajduje! Zaraz to zrobię, bo, mówiąc prawdę, umieram z ciekawości.

Nie zwlekając chciałem się rzucić do beczki, lecz Emeryk powstrzymał mnie gwałtownie.

- Nie rób tego! Myślisz, że sam nie wydobyłbym tych sreber, gdy tylko powziąłem podejrzenie, że mogą tam być? Ale poskromiłem ciekawość, bo odnalezienie skradzionych rzeczy to dopiero połowa zadania. Chodzi przecież także o to, by przy skrzynie złodzieja, najlepiej na gorącym uczynku, jak będzie wyjmował łup z beczki.

- Ale można by przynajmniej pogrzebać kijem i upewnić się, że tam na dnie coś leży.

- Cicho! - Emeryk położył palec na ustach. - Po pierwsze, nie mów tak głośno, po drugie, chodźmy stąd. Wciąż zapominasz, że złodziej nie został złapany, jest na wolności, chodzi, obserwuje... zwłaszcza to miejsce. Jeśli zobaczy, że ktoś gmera w beczce, spłoszy się i nie dowiemy się nigdy, kto nim był!

- To co chcesz zrobić?

- Dowiedzieć się, kto dziś lub jutro wyjeżdża z większym bagażem z Melsztyna.

- Dziś wieczorem wyjeżdża profesor Szturmer - przypomniałem.

- Jest więc podejrzany, ale mogą być inni. Tego musimy się dowiedzieć i w ogóle bardzo serio porozmawiać z wujkiem Markowskim.

- Obawiam się, że wujek nie będzie chciał rozmawiać - przygryzłem wargi. - Mnie uważa za wandala, a ciebie za smarkacza.

- Zobaczymy - rzekł Emeryk. - Podziałyśmy z zaskoczenia, to powinno dać nam szansę. Ty, Zenon, będziesz śmiertelnie poważny, rozumiesz? Bez żadnych uśmieszków, cokolwiek bym robił lub mówił.

- Dobra, ale jak to rozegrasz?

- Chodźmy stąd - Emuś ściszył głos - po drodze ci powiem. W akcji wzięła udział także Sonia. Po wyplakaniu się osiągnęła pewien stopień równowagi pozwalający mniemać, że zechce zrehabilitować się po niepowodzeniu i sprawdzić na nowo, a zatem może być pomocna w naszej sprawie.

Do gabinetu z napisem „Kustosz” wtargnęliśmy gwałtownie, wszyscy naraz i bez pukania. A Eśio od razu zaskoczył wujka niezwykłym zachowaniem: zamknął drzwi na klucz, po czym nerwowo zaczął zaglądać we wszystkie kąty, za szafę, za firanki i kotarę. Wujek patrzył na niego jak na wariata, chciał coś powiedzieć, ale Eśio go ubiegł.

- Musiałem sprawdzić, czy jesteś, wujku, sam, czy ktoś się tu nie ukrywa...

- Ale... co to wszystko ma znaczyć? - zdenerwował się wujek.

- Zaraz powiem, tylko jeszcze muszę się upewnić... - rzekł z tajemniczą miną Emeryk.

- Upewnić? Że co... - Że nikt nas nie podsłuchuje. To nie może wyjść poza obręb tego gabinetu - zamruczał Emeryk.

- Ale o co w końcu chodzi? - zasapał wujek.

- Cicho, wujku, błagam! Złoczyńca podsłuchuje!

- No, to mów! Mów wreszcie do licha, co się stało!

- Zenon znalazł skradzione rzeczy - rzekł z kamienną twarzą Emeryk.

- Zenon? Ten wandal, tan hałaburda?!

Wujek znieruchomiał na moment, a potem zerwał się z krzesła.

- Znalazłeś srebra hiszpańskie?! - zwrócił się do mnie.

- Tak, wszystkie dwanaście pucharów i paterę w futerale - odpowiedział za mnie Emuś. Oczywiście trochę blefował; nie tylko dlatego, że był pewien słuszności hipotezy, którą postawił, ale głównie dlatego, żeby skuteczniej zmobilizować wujka

- Gdzie to było?

- Zaraz powiem, tylko, wujku, musisz przyrzec, że nigdy nie zdradzisz, kto odkrył miejsce ukrycia sreber i zdemaskował złodzieja, a na pytania będziesz odpowiadał niezmiennie: „To wszystko zrobił duch zamku! Opiekuńczy duch Albrecht”.

- Dziwne i niepoważne żądania - skrzywił się wujek.

- Wcale nie! - zaprotestowaliśmy. - Zamek dawno już powinien zafundować sobie ducha. To ściąganie turystów... Nawet zagranicznych, jeśli tu będzie miał swoją rezydencję Ghost.

- Fantome!

- Geist!

- Phantasma!

- Assombracao!

- Spettro!

Popisywaliśmy się na wyścigi znajomością obcych języków, co zrobiło tak dobre wrażenie na wujku, że wysłuchał cierpliwie, jakie korzyści przyniosłoby zamkowi zainstalowanie i rozreklamowanie ducha Albrechta na zamku. Sonia nieco przybladła i już można by rzec - uduchowiona opowiedziała, że w jej szkole od dawna przebąkuje się, że w zamku coś straszy i we wsiach koło Melsztyna wszyscy wierzą w pokutującego ducha Albrechta.

- Ja sama już trzy razy widziałam na schodach coś w rodzaju ducha - oznajmiła. - Pieszczoch był, była pełnia księżyca jak dzisiaj, schody trzeszczały. Żałuję, że nie przyjrzałam się bliżej, strach mnie sparaliżował. Ale pamiętam, że upiór był w białej koszuli i wyłonił się z kłębow sinego dymu. Poczulałam, jak zimny dreszcz przechodzi mnie od stóp do głów... drżącą ręką zapaliłam światło i upiór znikł.

- No właśnie - podjął Emeryk - to mogłoby tak wyglądać. Duch snujący się po schodach, wyglądający przez okno, majaczący na szczycie wieży, ukazujący się to tu, to tam w kłębach dymu na blankach... Tylko powinien mówić coś wstrząsającego, opowiadać o swoich zbrodniach i karze... Najlepiej pokazywać go podczas imprezy, która nazywa się „Światło i dźwięk”. Zorganizować ją, to nic trudnego ani kosztownego, kwestia paru megafonów i kasety. Zenon zaraz pokaże, jak to może zabrznieć w wykonaniu ducha...

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - wujek spojrział na nas ze wstrętem.

- Spiritus fiat ubi vult - Emeryk popisał się nowym mądralizmem. - Talent, tak jak choroba, nie wybiera, wujku - wyjaśnił. - Czasem przyczepia się jak kleszcz do zwykłego barana.

- No, no - obruszyłem się - uważaj, bo oberwiesz! Zroluję cię jak nic...

- Obiecałeś - przypomniał Eśio. Opanowałem się.

- Przepraszam, wujku. Naprawdę przykro mi z powodu globusa - powiedziałem, ale moje przeprosiny nie zostały przyjęte.

- Jesteś wandalą i złym duchem Soni - wujek rozszerzył oskarżenie.

- Bardzo trafnie spostrzegłeś, wujku - podchwycił Emeryk. - Zenon jest duchem, czasem niebezpiecznym, a dokładnie jest, a raczej bywa tubą różnych duchów, niestety raczej złych, także prawdziwych szatanów, wiem coś o tym. Może także być tubą waszego Albrechta. On ma zdolności medialno-spirytystyczne. Zaraz pokaże, jak sobie wyobrażamy monolog tego zbrodniczego pana zamku.

Wujek słuchał oszołomiony.

- Tylko bez dowcipów...

- Skądże - uspokoiła go Sonia. - To będzie tylko próbka tego, co duch Albrechta będzie mówił do gości. Warto posłuchać, tato.

- Zasłonić okna! - krzyknął Emeryk. - A ty włącz za kotarę - szepnął do mnie - zatkaj nos i nadasz. Mów jak najgrubszym głosem, powoli, wyraźnie, z przerwami.

Sap jak stary parowóz i zaczynaj zawsze od długiego ooooo! Duchy tak mówią. Nie bój się, będę ci podpowiadał.

Zrezygnowany zrobiłem, jak mi polecił i zacząłem moją żalną tyradę:

- Oooo, biada mi - zajęczałem nieco fałszywie, zbyt kogucim głosem. - Dwanaście kruków na zamkowych blankach... To oni... zakłęci bracia moi. W dzień i bezsenne noce przypominają mi zbrodnię moją... Oooo, jakże okrutna kara mi jest dana... Sześć wieków już błąkam się, senna mara, po zamkowych komnatach, skrzypię w nocy na schodach... trzaskam w kominkach, wyję jak wicher za oknami... snuję się jak dym po dachach, pełzam po murach... Konam z pragnienia i nie mogę napić się ani umrzeć... Czegokolwiek spróbuję, zmienia się w ustach moich w rozpalony kamień... Oooo, co za męka! Błagam... miejcie litość nade mną! Za dwa łyki nieskażonego przekleństwem piwa oddam zamek! Świeżo po remoncie, wszędzie dębowa stolarka, marmurowe kominiki, za dwa łyki zimnego piwa - może być bezalkoholowe - cały zamek z kamienia ciosanego i z gotyckiej cegły, podpiwniczony, z salą tortur, z madejowym łóżem i z hiszpańskim butem w dobrym stanie. Dorzucę jeszcze kompletny strój kata z czerwonego atlasu... Proszę! Za pół kubka mleka, choćby od parszywej kozy, oddam Melisandę, moją piękną córkę. Umie grać na harfie lepiej od Derwida Weneda, a śpiewa niczym Cherubin! Oooo, zmiłujcie się, błagam! Za dwanaście kropelek wody dam dwanaście srebrnych pucharów kunsztownej roboty, dowody mojej zbrodni i winy... Przechowałem je dla dobroczyńcy mojego w beczce pod wieżą zachodnią... Nie wierzycie? Chcecie się przekonać? Chodźcie, pokażę wam...

- Dość! - przerwał wujek. - Nie będę tego słuchać. Urządzacie sobie zabawę z naszych kłopotów.

- To nie zabawa, wujku - powiedział poważnie Emeryk. - Duch nie kłamał ani nie zmyślał. Puchary naprawdę są w beczce pod wieżą zachodnią i spokojnie czekają na transport za bramę. Wspominałeś wujku, że dostarczacie kwaszoną kapustę i ogórki do stołówki szkolnej. Złodziej może skorzystać z okazji, jeśli ma jakieś konszachty z Januszkiem, który załatwia te dostawy i dysponuje traktorem z przyczepą.

- Myślisz, że mogą ukryć srebra w kapuście? - zainteresował się wujek.

- Jestem pewien, że to właśnie zrobią - odparł Emuś. - Żaden strażnik przy bramie nie będzie grzebał w beczkach z warzywami, chyba że wydałeś specjalne polecenie, wujku.

- Nie wydałem - rzekł zdenerwowany wujek. - Nie będę ukrywał, zaniepokoiłeś mnie, Emeryku. Januszek to złota rączka, ale trochę lepka. Parę razy miał kłopoty z rozliczaniem się po powrocie z zakupów w mieście. Gdyby wszedł w zмовę ze złodziejem - Ale przecież jest w szpitalu. Zaraz - wujek zreflektował się nagle - przecież dzisiaj miał wrócić! - Spojrzał na zegarek i zerwał się z krzesła. - Za pięć ósma! Jeśli jest prawdą, co mówicie, złodziej będzie chciał szybko, jeszcze dziś, przemycić fanty przez bramę z pomocą Januszka. Strażnicy zamykają bramę o ósmej, po tej godzinie nie przepuszcza się pojazdów gospodarczych. Złodziej musi się więc bardzo spieszyć... I my też. Nie mamy ani chwili do stracenia. Obyśmy tylko nie przyszli za późno!

- Tato, weź, broń - przypomniała przejęta Sonia. - Nie wiadomo, z kim się tam spotkamy.

Wujek potrząsnął głową i porwał tylko latarkę oraz telefon komórkowy.

Wybiegliśmy za nim.

Korzystając z osłony zarośli, podkradliśmy się niemal pod samą wieżę zachodnią.

Księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił na moment całą scenę. Widok, który ujrzałem, zaparł mi dech w piersiach. To było tak, jakbyśmy zobaczyli film nakręcony według dobrze nam znanego, własnego scenariusza. Poszczególne sceny widzieliśmy już przedtem oczami wyobraźni: w alei pod zachodnią wieżą stał traktor z przyczepą; dwu mężczyzn w dżinsach podeszło do największej beczki.

Jeden z nich, w okularach, wyraźnie utykał... Postać jakby znajoma... Sonia z wrażenia zacisnęła kurczowo dłoń na moim ramieniu.

- Chryste - wykrztusiła - to magister Laluch... i Januszek! Laluch z Januszkiem!

Rozejrzawszy się, czy nikt go nie obserwuje, mediewista pochylił się nad beczką.

Januszek krążył nerwowo w pobliżu z latarką w ręku i oświetlał najbliższe krzaki.

Najwyraźniej ubezpieczał magistra. Na wszelki wypadek cofnęliśmy się głębiej w zarośla i przycupnęliśmy przy samej ziemi, a wujek ściszone głosem porozumiał się z ochroną.

Gdy latarka przygasła, wyjrzelśmy ostrożnie. W rękach magistra pojawił się bosak strażacki, taki, jaki wisiał u wejścia do zamku. Januszek skierował strumień światła w głąb beki. Magister Laluch zanurzył bosak, przez chwilę manipulował nim w wodzie, a potem zaczął ciągnąć... Wstrzymałem oddech z napięcia. Boże... wszystko dokładnie tak, jak myślał Emuś! Na haku bosaka pojawił się obły futerał.

- Brawo, panie magistrze! - zawołał wujek, a my wszyscy zaczęliśmy klaskać. - I dla Januszka duże brawa, bo to chyba twój pomysł, Januszek. Zawsze byłeś specjalistą od konserwowania i kwaszenia, ale tym razem przeszedłeś samego siebie! Nie, tego jeszcze nikt nie wymyślił. Srebra konserwowane czy też może kwaszone w deszczówce, bo wiadomo, że padają u nas kwaśne deszcze - nie, tego jeszcze nikt nie wymyślił, to rewelacja sezonu!

Obserwowałem pilnie twarz magistra Lalucha. Pojawił się na niej wyraz nie tyle strachu, ile niezmiernego zdziwienia, podobno właściwy ludziom o zbyt wysokim mniemaniu o sobie, gdy coś im nawali w ich, zdawałoby się, genialnym planie.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z grozy swojej sytuacji i próbował dać dyla w ślad za bardziej przytomnym Januszkiem, który chciał ratować się ucieczką na traktorze i rzucił się w jego stronę, ale już drogę zagroził mu łaźnik z postawionymi w stan alarmu agentami ochrony.

Kilka sekund później było po wszystkim. Magister Laluch i Januszek odjeżdżali pod eskortą na policję, a srebra znalazły się w rękach wujka Markowskiego, który zaraz nerwowo otworzył futerał, by sprawdzić, czy niczego nie brakuje, a my w romantycznym świetle księżyca mogliśmy obejrzeć dwanaście wstawionych legendą pucharów i patere.

Zaraz też nadbiegli podnieceni pracownicy zamku na czele z magistrem Chudoniem i uszczęśliwioną takim obrotem sprawy Zuzą. Na końcu przytoczyła się doktor Szemiot-Czambułko, specjalistka hipologii orężnej, podtrzymywana przez profesora Szturmera, oszołomionego nadmiarem sensacji, których był świadkiem w ciągu tego jednego niezwykłego dnia.

- Coś takiego! - wysapał. - Zupełnie osobliwa historia i jeszcze bardziej obłądny finał! Pan nam tu serwuje darmowe thrillery, kolego Markowski. Nasz szanowny kustosz w roli genialnego detektywa? Nie podejrzewałem pana o takie zdolności.

- Niezasłużone komplementy, drogi profesorze - odparł wujek. - To nie ja załatwiłem tych złodziei, lecz duch zamku Albrecht.

- Macie tu ducha? - doktor Szemiot-Czambułko ucieszyła się wyraźnie.

- Czy to ktoś taki, jak duch z zamku Canterville, o którym słyszałam w Anglii? - zapytał profesor Szturmer z wyraźnym zainteresowaniem.

- Prawdę mówiąc, nasz duch jest groźniejszy, to pokutujący za zbrodnię morderca.

- Mógłbym o nim napisać, jeśli pozwolicie - rzekł profesor.

- Ależ tak, bardzo nam zależy, by nasz duch zyskał więcej sławy. Proszę zaznaczyć wyraźnie, że mimo zbrodniczej przeszłości jest bardzo gościnnie dla turystów i nie czyni im krzywdy, choć straszy po mistrzowsku.

- Duch duchem, ale sądzę, że pan trochę pomógł duchowi - zauważyła doktor Szemiot-Czambułko.

- Owszem, współpracujemy - wydukał zakłopotany wujek - ale tym razem duchowi pomógł ktoś inny; to...

- Zenon - przerwała mu rozpromieniona Sonia. - Mój wspaniały kuzynek Zenon. On jest piekielnie inteligentny, ma szósty zmysł i nos detektywa. Działa metodycznie, systemem trójfazowym! Brawo, Zenek! - I zaczęła klaskać, niemądra koza!

A mnie zrobiło się głupio, bo wszyscy przenieśli wzrok na mnie. Wszyscy z wyjątkiem Eśia. Smarkacz oglądał czubki swoich butów i uśmiechał się pod nosem drwiąco, jak mi się zdawało.

Muszę przyznać, że zdenerwował mnie, chyba jak nigdy dotąd. Doprawdy trudno znieść jego skromniutkie minki i dwuznaczne uśmieszki. Nie, dosyć tego! Dam fałlowi nauczkę! Mam sposób, żeby zetrzeć mu z pyszczka ten drażniący uśmieszek.

Zasadniczo! I powiedziałem głośno, siląc się na swobodny ton:

- Droga Soniu, to nie tak. Dziękuję ci za wyrazy uznania, ale to naprawdę nie tak. Mała pomyłka personalna. To nie ja rozwiązałem zagadkę skradzionych pucharów, to nie ja popisałem się nosem detektywa. Wyznam państwu małą tajemnicę rodziny Bumów. Jest wśród nas geniusz, ale to nie ja. Nie ja zadziwiam wszystkich, nie ja robię szum, to mój młodszy brat Emeryk Bum!

Tak mi się jakoś powiedziało do wiersza, niechący, ale wszyscy przyjęli to jak zamierzony żarcik literacki. Rozległy się śmiechy i oklaski.

Spojrzałem na Emusia. Tak, to mi się udało. Zaskoczyłem go.

Kiedy popatrzył na mnie, w jego wielkich oczach dojrzałem coś w rodzaju podziwu; jakby mnie widział pierwszy raz. Nim się spostrzegłem, on również mnie zaskoczył: podbiegł jak wierny psiak i przywarł do mnie serdecznie całym swoim drobnym ciałkiem, jakbym był jego... no właśnie, to jest zdumiewające... jakbym po prostu był jego starszym bratem.

Alarm na poddaszu

W jesieni zaczyna się trudny okres dla Piratów i innych pokrewnych sprzysiężeń, które ostatnimi czasami rozkrzewiły się u nas.

Na hałdach wieje bezlitosny wiatr, wygodne ścieżki pokrywa lepkie błoto, nawet stary ogród po-fabryczny staje się coraz trudniej dostępny i niebezpieczny. Jego dolna część zamienia się w trzęsawisko. Biada śmiałkowi, który zapuści się tu nieostrożnie. Ugrzęźnie po kolana, pogubi buty i tragedia gotowa. Przez tydzień albo dwa tygodnie nie wypuszczą go za karę w domu, tak jak zdarzyło się niedawno braciom Odjemkom. Nie mówiąc już o tym, że nieszczęśni pechowcy nabawili się grypy.

Górna część ogrodu, mimo że kusi dojrzewającymi właśnie jabłkami, też staje się nieprzytulna i groźna. Drzewa i krzewy pozbawione liści nie zapewniają już osłony. Wszystko widać jak na dłoni. Nic się nie skryje przed bystrym wzrokiem stróża, pana Abdulewicza, zwanego Mułłą, zwłaszcza że sprawił sobie nowe okulary i myśliwskiego psa.

Co robić w taką nieprzyjemną porę? Oczywiście można schronić się w świetlicach i tam rozgrywać nudne partie warcabów i ping-ponga albo oglądać telewizję. Ale komu to wystarczy?

Myliłby się jednak ten, kto by myślał, że w tej jesiennej sytuacji prawdziwe życie wśród chłopców zamiera. Na szczęście są jeszcze strychy. Oczywiście, ci z nowych bloków nie mają wielkiego pojęcia o strychach. W nowych domach po prostu ich nie ma, a nawet jeśli się trafia, to są pilnie strzeżone i zamknięte.

Dlatego opuściłem we wrześniu Kolonistów i ich dowódcę Andrzeja Kszyka i przenieśliem się do Piratów. Przyjęto mnie chętnie, ponieważ, choć od roku mieszkałem w nowym osiedlu, w Dłubkowie, dobre kilka kilometrów od Niekłaja, urodziłem się przecież w starym domu babci, na ulicy Zapłotkowej i nie byłem żadnym przybłądą, ale rdzennym tubylcem.

Oczywiście przeszedłem do Piratów w najgłębszej tajemnicy, zwłaszcza przed moim młodszym bratem Eśiem, który jak podejrzewam, jest człowiekiem Kszyka. Z młodszym bratem zawsze miałem kłopoty. Już wspominałem, że jest typem męczysłuszy do dwunastej potęgi. Jak uczepli się jakiejś idei, to nie może się od niej oderwać i chce wszystkich wciągnąć w swoje obsesje. Po eksperymentach fizycznych, które napiętnowały go nową blizną na czole, przeniósł swoje zainteresowania w zupełnie inne rewiry. Imponują mu mundury, służbowe czapki i hełmy (zwłaszcza strażackie), biura i kancelarie, rozporządzenia, okólniki i w ogóle urządowanie.

Ostatnio zabawiał się w Izbę Kontroli i urządził nam lustrację tudzież inwentaryzację domową. W jej wyniku doszedł do wniosku (chyba słusznego), że zalega u nas mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, a rzeczy potrzebnych też w niektórych przypadkach mamy w nadmiarze. A to dlatego, że na imieniny, urodziny, na gwiazdkę, na zakończenie roku szkolnego oraz z tysiąca innych okazji otrzymujemy mnóstwo prezentów w postaci tak zwanych drobnych upominków od bliższej i dalszej rodziny, ciągle tych samych, bo nikt naprawdę nie wie, co komu rzeczywiście potrzeba.

W rezultacie na przykład nasz tato ma już dziewięćdziesiąt kremów do golenia, flakonów wody po goleniu i niewiele mniej aparatów do golenia, tak że mógłby zostać golibrodą albo otworzyć kram z kosmetykami. Z kolei mama ma ponad sto mydełek dwunastu firm z luxem na czele, nie licząc szamponów, odżywek, balsamów i kremów. Samego kremu nivea ma tyle, że mogłaby wysmarować nim, odżywić i wygładzić pomarszczoną skórę stada słoni. Ja i "mój brat mamy natomiast tyle pasty colgate, że moglibyśmy wyczyścić nią zęby wszystkim brudasom z Kikutów Wielkich, największej wsi w okolicy, łącznie z (żółtymi) zębiskami ich koni.

W związku z tym Emeryk zaproponował, żeby każdy członek rodziny złożył pisemne oświadczenie, czego ma nadmiar, a czego naprawdę potrzebuje, zaś istniejące już zapasy „drobnych upominków” moglibyśmy upłynnić, wymieniając je między sobą przy kolejnych okazjach, a za oszczędzone w ten sposób pieniądze kupić dla mamy i taty oraz dla nas, dzieci, łyżworolki.

Moglibyśmy wszędzie jeździć na tych rolnkach, unikając korków na ulicach, oszczędzając czas i pieniądze.

Ęsio przedstawił ten wysmażony przez siebie projekt władzom domowym i był bardzo rozżalony, że nie uzyskał aprobaty. Chodzi teraz za mną i zanudza mnie, bym go poparł, nalega, bym podpisywał kolejne apele, memoranda i zażalenia w tej sprawie. Doprawdy, mam tego dosyć i to jest jednym z powodów, że porzuciłem rodzinne mieszkanie na kolonii i prawie wszystkie wolne chwile spędzałem w domu babci na ulicy Zapłotkowej.

Ale, oczywiście, głównym powodem był strych. Takiego strychu jak u babci nie ma chyba w całym Niekłaju. Jest to bardzo stary strych, pełen najróżniejszych gratów. Stoją tam dwa antyczne fotele bez nóg - strasznie rozbebeszone, ale wciąż jeszcze wygodne - oraz potłuczone lustro w czarnych ramach, kulawy stół, sterty starych książek i pism sięgają dachu. Na komodzie bez szuflad leżą wypchane, na pół zjedzone przez mole i jeszcze przez to straszniejsze ptaszyska oraz ryj dzika odyńca, trofea myśliwskie dawno zmarłego pradziadka, a między nimi stary gramofon z wielką zieloną tubą. W skrzyniach wśród szmat, które niegdyś były wspaniałymi sukniami, pławią się staroświeckie, niemodne kapelusze z pękami sztucznych kwiatów oraz lśniący cylinder pradziadka. Żeby nie było smutno, na krokwiach w górze gnieźdzą się gołębie, a żeby było wygodnie, leżą koło komina stare sienniki, na których można się wyciągnąć, gdy wraca się z dalekiej, męczącej wyprawy.

Kiedy więc we wrześniu przyszła moda na strychy, czyli jak to się u nas mówi, „gabinety”, strych mojej babci od razu zwrócił uwagę Piratów i został uznany za jeden z najwspanialszych gabinetów. Tutaj zbieraliśmy się w długie wieczory: ja, Długi Tomek, Tadzik Myszka i Jarek Kleptus. Czasem zachodzili też obaj bracia Odjemkowie, Mniejszy i Większy, a nawet sam admirał Michał, chociaż oni mieli osobne gabinety.

Cóż może się równać z atmosferą strychu w takie jesienne zmierzchy? Za jednym maleńkim okienkiem dogasa czerwone niebo, po przeciwnej stronie, w drugim oknie, migoczą rzędy dalekich świateł zakładów, czasem zabłyśzczy różowa luna od wielkiego pieca. Wiatr szeleści i świszczę w zakamarkach papy na dachu, to znów deszcz dzwoni. Na dworze ziąb albo słońce, a w gabinecie zacisznie i przytulnie.

Od komina idzie miłe ciepło. Świeca na stole rzuca tajemniczy blask. Rozłożeni na wygodnych siennikach albo zagłębieni w wiekowych fotelach, obmyślamy wyprawy na Benona, który stał się Koczownikiem i urządził na nas zasadzki w ogrodzie, a kiedy nam się sprzykrzy, gramy w bitwę morską albo w cymbergaja, albo ćwiczymy dżudo, albo omawiamy wydarzenia sportowe, albo po prostu gadamy.

Nikt nam nie przeszkadzał, w całym domu była tylko babcia na dole. Babcia miała przytępiiony słuch i nie docierał do niej tupot po schodach ani hałas na strychu.

Babcia moja nudziła się, całymi dniami wysiadywała przy oknie i patrzyła przez szybę. Ale co można zobaczyć przez okno na ulicy Zapłotkowej? Toteż cieszył ją nawet ten ruch w starym domu. Ilekroć nas zauważyła, pytała tylko:

- Dobrze się bawicie, dzieci?

- Dobrze, babciu - odpowiadaliśmy.

Babcia uśmiechała się wtedy do nas, kiwała siwą głową i częstowała nas landrynami.

Niestety, zaszły wkrótce wypadki, które zakłóciły spokój naszego życia gabinetowego. Zaczęło się od pożaru u niejakiego Morocha.

Pewnego październikowego popołudnia, kiedy siedzieliśmy na naszym poddaszu, przybyli do nas podnieceni bracia Odjemkowie i powiedzieli:

- Benon schwytał Kitę.

Zerwaliśmy się z miejsc. Wiewiórka Kita znajdowała się pod ochroną wszystkich związków w Niekłaju i nie było śmiałka, który by się odważył podnieść na nią rękę.

- To niemożliwe - powiedziałem. - Jak on mógł ją schwytać?

- Schwytał ją w pułapkę na szczury. Dała się skusić na orzechy.

- Po co ją schwytał?

- Mówi, że ją będzie tresował.

- Tresował Kitę?

- Tak.

- To bezczelność! On ją zamęczy.

Ogłosiłem natychmiast ostre pogotowie. Odjemkowie zeznali, że widzieli Benona, jak szedł do ogrodu, wprawdzie bez wiewiórki, ale mieliśmy nadzieję, że uda nam się go obezwładnić i zmusić do wypuszczenia Kity. Zabraliśmy więc broń w postaci mieczów, proc i pistoletów wodnych, nadto przynętę dla psa, który strzegł ogrodu, i bezzwłocznie wyruszyliśmy w drogę.

Przeszliśmy przez dziurę w murze okalającym ogród, a gdy tylko rozległo się szczekanie, pospiesznie wydobyliśmy przynętę, a mianowicie skórki od kiszki, za którymi pies Mułły przepadał.

Niestety, w momencie kiedy zajęci byliśmy obłaskawianiem psa Mułły, napadli na nas zniecka Koczownicy Benona. Musieli nas śledzić od dawna i przygotowali zasadzkę. Zasypani gradem kasztanów, a co gorsza pacynami błota, cofaliśmy się w nieładzie w dół ogrodu. Groziło nam zepchnięcie do bagna, kiedy nagle, ku naszemu zdumieniu, Benon zaprzestał ataku. Stał jak zahipnotyzowany, przez chwilę nasłuchiwał, a potem wdrapał się pospiesznie na drzewo.

- Chłopaki, pali się! - zawołał w podnieceni. - Patrzcie, tam, za hałdami!

Spojrzeliliśmy. Istotnie, przez ogołocone z liści gałęzie drzew widać było zaróżowione niebo.

- E, to słońce zachodzi - zaśmiał się Długi Tomek.

- Ty, geograf - zaszydził Benon - słońce na północy! O tej porze roku? Zresztą, widzę wyraźnie płomienie.

- Jak myślisz, co się tam może palić? - zapytał flegmatycznie Jarek Kleptus.

- Jak to, co? Dom. Powiem wam nawet, jaki. To jest dom Bosmana.

- Bosmana Rei? - wykrztusił Tadzik.

- Tak.

Istotnie, kierunek się zgadzał. Zdrętwieliśmy. W domu Bosmana mieściła się przecież główna kwatera naszego związku.

- Pewnie znów usnął z fajką w zębach - mruknął Benon - albo wdowa zapomniała wyłączyć żelazko. Od czasu, jak mnie tam nie ma, stała się jeszcze bardziej nerwowa. Michał nie umie postępować z wdową.

Pewnie urządziła jej nad uchem próby z rakietami. Znów zdrętwieliśmy, bo istotnie Michał ostatnio próbował skonstruować raketę w starej stolarni u Bosmana. Może coś wybuchło?

- Jazda! - Benon zeskoczył z drzewa. - Biegiem do Bosmana!

Ledwie wypadliśmy z ogrodu, do uszu naszych dobiegł przeraźliwy dźwięk syren wozów strażackich. Przyspieszyliśmy kroku. Na szczęście okazało się, że pali się nie u Bosmana, ale znacznie bliżej. Płonęła szopa niejakiego Morocha. W zapadającym mroku wyglądała z daleka jak niezgrabny, zapalony z jednej strony wiecheć.

Na miejscu była już straż miejska. Strażacy rozwijali na ziemi potężnego węża podobnego do wielkiego płaskiego tasiemca...

Dookoła tłoczył się tłum podnieconych gapiów. A nowi wciąż przybywali.

- Rozejść się, nie przeszkadzać! - krzyczeli strażacy. - Przecież nawet węża nie można rozwinać! Co za ludzie!

Nadbiegł policjant Kubas z gwizdkiem i też zaczął nakłaniać ludzi, żeby zrobili miejsce, ale nic nie pomogło. Co odepchnął jednego gapia, na jego miejsce cisnęło się pięciu nowych.

Nadjechał wielki wóz straży pożarnej zakładów, ale nie mógł nawet zająć stanowiska, bo zwarta cizba ludzi zagroziła mu drogę.

Tymczasem nadjechały jeszcze dwie jednostki straży pożarnej. Zakładowa z fabryki, w wielkim, nowoczesnym czerwonym samochodzie oraz ochotnicza z dzielnicy Zapłotki na starym, rozklekotanym wozie. Z pobliskiej ulicy Zapłotkowej biegli także strażacy emeryci, zapinając po drodze staroświeckie mosiężne hełmy, które błyszczały krwawo w blasku ognia. Szczególną sensację budził stary strażak z brodą, w którym rozpoznaliśmy dziadka Tadzika Myszki.

Poczęliśmy się przepychać do strażaków, przebijając tłum pochylonymi głowami jak kozły.

- Dziadku! - zawołał Tadzik.

Ale stary strażak fuknął na niego gniewnie:

- I ty, basałyku?!

- Co ja?

- Tłoczysz się i przeszkadzasz. Ty, wnuk strażaka?!

- A bo ludzie mnie pchają.

W odpowiedzi stary Myszka wręczył nam mocny sznur strażacki i powiedział:

- Zamiast się tłoczyć, trzymajcie lepiej tę linę, zróbcie barierę i nie dopuszczajcie gapiów. Tylko mocno trzymajcie. Z całej siły.

Ochodzo porwaliśmy sznur, zaparliśmy się w ziemię i z całej siły powstrzymywaliśmy napór tłum.

Nagle tuż koło mnie wyrosła jasna głowa mojego młodszego brata Emeryka.

- A ty co tutaj robisz? - krzyknąłem. - Spływaj! Już cię nie ma!

Odepchnąłem go mocno. Emeryk cofnął się dwa kroki, dalej nie mógł. Tłum przyparł go do małego płotka, za którym kłębiły się świny i kozy Morocho. Wyprowadzano je właśnie, żeby się nie spaliły.

Czekaliśmy niecierpliwie, kiedy wreszcie strażacy uruchomią sikawki, ale na tej ciasnej ulicy nie była to wcale łatwa sprawa. Kiedy rozwinęli węże, okazało się, że nie mogą znaleźć hydrantu wodociągowego, do którego by mogli je przykręcić.

Dopiero dziadek Myszka przepchał się do zdenerwowanych strażaków i pokazał im, gdzie powinien być hydrant. Ale w tym właśnie miejscu tłoczyli się ludzie. Kiedy ich wreszcie usunięto, okazało się, że nic nie widać. Gapie zawalili studzienkę błotem i trzeba ją było najpierw oczyścić. Nareszcie przykręcono węża i puszczono wodę. Płaska taśma napęczniała w okamgnieniu i zamieniła się w tłustego węża, który zacharczał gniewnie, wyprężył się w rękach strażaków i wyrzucił z siebie potężny strumień wody.

Ale na razie był to tylko jeden strumień. Wóz straży fabrycznej w ogóle nie mógł podjechać do pożaru, bo ludzie go nie dopuszczali. Czekano, aż nadejdzie policja i zrobi porządek. Lepiej powiodło się strażakom ze straży ochotniczej.

Pojedynczo zdołali przepchać się przez tłum i zajęli stanowiska między płonąca szopą a domem mieszkalnym Morocho. Zjawił się też zadyszany dziadek Myszka.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł spocone czoło, poprawił złocisty hełm, potem pomacał się po kieszeniach...

Patrzyliśmy na niego z niecierpliwością.

- Prędeż, dziadku - denerwował się Tadzik.

- Zaraz... tylko znajdę okulary - sapał stary strażak, macając się wciąż po kieszeniach - chyba nie zostawiłem ich w domu.

- To niech dziadek da, ja będę sikał - zaoferował się Tadzik.

- Myślisz, że to takie proste. Nie każdy potrafi być ogniomistrzem, moje dziecko - dyszał dziadek Myszka - nie utrzymałbyś nawet sikawki.

- Ja utrzymam, proszę pana - powiedział Benon. - Jestem bardzo silny.

I nie czekając na pozwolenie, chciał porwać węża, ale brodaty strażak odsunął go.

- To nie zabawka, moje dziecko. Nie jesteś ogniomistrzem i nie wiesz, gdzie skierować strumień... Żebym tylko znalazł moje okulary.

- Pan ma okulary w brodzie - usłyszałem nagle znajomy głos. Mój brat wspiął się na palce i chciał sięgnąć do brody starego strażaka.

- Co takiego? - cofnął się brodacz. - Co ty powiedziałeś, chłopcze?

- Powiedziałem, że pan ma okulary w brodzie, o, tutaj widać drucik.

Dziadek Myszka pomacał się po brodzie i rzeczywiście wyciągnął z jej gęstwiny okulary w drucianej oprawie.

- Aaa, rzeczywiście. No tak... przypominam sobie, że spuściłem je sobie pod brodę, żeby mi nie przeszkadzały w czasie czytania, bo właśnie czytałem, kiedy wybuchł ten pożar, a do czytania mam inne okulary. Więc te spuściłem pod brodę... zawsze je spuszczałem, już mam taki zwyczaj. Że też zapomniałem... musiałem być bardzo zdenerwowany. Dziękuję ci, chłopcze... W nagrodę będziesz razem ze mną trzymał sikawkę.

To mówiąc, dziadek Myszka podał sikawkę mojemu bratu, sam założył na nos okulary, potem ujął sikawkę w ręce i krzyknął:

- Gotowe! Wody!

Woda trysnęła wysokim strumieniem.

- No, trzymaj... trzymaj razem ze mną - zasapał brodacz do mojego młodszego brata i trzymając sikawkę razem z Esiem skierował strumień wody na dach sąsiedniego domu, wcale nie na szopę, która się paliła.

Patrzyliśmy z zazdrością na Emeryka, jak razem z brodaczem manewruje sikawką... i jak mu się oczy błyszczą, a Benon zacisnął pięści i wybuchnął:

- Czy oni zwariowali?! Gdzie oni leją? Wcale nie w ogień. Hej, proszę pana - zaczął szarpać starożytnego strażaka za ramię. - Pan się chyba pomylił... pan niedowidzi. Gdzie pan sika! Trzeba na prawo. W ogień. Pan marnuje wodę, a tu każda chwila droga!

- Puszczaj, smarkaczu! Dobrze sikam - odtrącił go stary.

- Dobrze sikamy - powiedział mój młodszemu bratu.

- Co ty się znasz! - rozłościł się Benon. - Nie... ja nie mogę na to patrzeć! Niech pan odda sikawkę... Pan nie umie... pan nie widzi...

- To prawda, pan chyba źle leje - zauważył flegmatycznie Jarek.

- Dziadku, nie tam, tam nie ma ognia! - krzyknął zawstydzony Tadzik.

Ale stary Myszka nie zwracał na nas uwagi i dalej spokojnie polewał dach drugiego domu.

Benon zaciskał nerwowo pięści, wreszcie nie wytrzymał. Podszedł do brodacza i począł mu wydzierać sikawkę.

- Co wyrabiasz, łobuzie! - krzyknął strażak. - Puszczaj!

Ale Benon nie puszczał i tak siłowali się, krzycząc na siebie przez kilka sekund; z jednej strony rozjuszony Benon, a z drugiej wzburzony starzec i mój brat.

Strumień wody chwiało się to w tę, to w tamtą stronę. Wreszcie Benonowi udało się wyrwać przeciwnikom sikawkę, ale jakby z zemsty sikawka szarpnęła się w jego rękach i woda całym strumieniem lunęła prosto w zgromadzone za płotkiem zwierzęta. Rozległ się przeraźliwy kwik i beczenie. Oszałałe kozy i świny poczęły przeskakiwać niskie ogrodzenie. Potężny wieprz złamał je swoim ciężarem i jeszcze bardziej przerażony wpadł prosto w tłum zebranych gapiów. Za nim galopowały olbrzymie maciory, małe warchlaki i całe stado kóz wszelakiej maści.

Teraz zaczęli krzyczeć ludzie i pierzchać w popłochu. Zrobiło się niesamowite zamieszanie. Zauważyłem tylko, że jakiś wielki kozioł wpadł pod naszego kolegę Susuła, który gapił się z rękami w kieszeniach, szeroko rozstawiwszy nogi. W następnym momencie spostrzegłem oniemiały, że nieszczęśny Pirat galopuje okraciem na grzbiecie kozła, i do tego siedząc przodem do ogona.

Nie zdążyłem zanotować, co się z nim dalej stało, bo właśnie przejechali pod moim nosem obaj bracia Odjemkowie, którzy, nie wiem, jakim cudem, znaleźli się na grzbiecie rozjuszonego łaciatego wieprza. Przejechali krzycząc wniebogłosy i zniknęli w ciemnościach. Po chwili łaciaty wieprz pojawił się znowu, ale już bez Odjemków.

Zamieszanie zataczało coraz szersze kręgi. Potrąceni przez ogłupiałe i rozbrykane zwierzęta strażacy poczęli tracić panowanie nad sikawkami. Węże wypuszczone z rąk podskakiwały i wiły się na ziemi jak żywe stworzenia. Ludzie, pryskani i smagani biczami wody ze wszystkich stron, kłębili się, zderzali z sobą, przewracali, znów podnosili i krzycząc przeraźliwie, uciekali przed siebie.

Tylko my dzielnie trzymaliśmy strażacką linę, a raczej trzymaliśmy się liny. I chyba tylko dlatego przetrwaliśmy całe zamieszanie. Koło nas w podobny sposób trzymał się sikawki ledwie żywy ze strachu Benon. Wciąż jeszcze nie mógł sobie poradzić z węzem, który szarpał się w jego rękach.

Wreszcie dopadł do niego sierżant straży miejskiej Żółwik, ten sam, który miał w naszej szkole wykład o akcji przeciwpożarowej. Przyproceedził go wzburzony dziadek Myszka.

- Co ty wyrabiasz! - krzyknął sierżant do Benona.

- Nic, trzymam węza.

- Patrz, coś narobił... To wszystko przez ciebie!

- Jak to, przeze mnie?

- Nie wypieraj się, łobuzie jeden - zasapał dziadek Myszka. - Chuligan, wyrwał mi sikawkę. Siłą mi wydarł.

- Natychmiast oddaj węza strażakowi Myszce - powiedział ostro sierżant Żółwik.

Benon wciąż szarpał się z węzem.

- To niech pan bierze... pan myśli, że tak łatwo go dać, jak on mnie trzyma - jęknął wreszcie. Żółwik wyjął mu węza z rąk i wręczył staremu Myszce.

- Niech pan pracuje dalej. A z tobą porachujemy się, ananasie. Jak mogłeś zrobić coś podobnego! Odebrać sikawkę strażakowi w czasie akcji przeciwogniowej!

Już nawet z nieszczęścia robicie sobie zabawę! - począł krzyczeć na Benona.

- Prze... przepraszam pana, pa... panie sierżancie - wykrztusił wzburzony Benon - ja nie robiłem żadnej zabawy w ogóle, tylko ja za... zastąpiłem pana Myszkę, bo... bo pan Myszka ma słaby wzrok i źle lał.

- Ja słaby wzrok! - zatrzęsł się brodac. - Ja ci pokażę słaby wzrok.

- Tak, i pan źle lał. Chłopaki są świadkami, lał pan nie tam, gdzie potrzeba.

- Nie tam, gdzie potrzeba! - oburzył się Myszka. - Patrzcie go, nie tam, gdzie potrzeba. Słyszał pan, sierżancie. Bezczelny łobuz.

- Chwileczkę - chrząknął sierżant Żółwik - dlaczego mówisz, że pan Myszka lał nie tam, gdzie potrzeba?

- A bo nie lał w ogień, ale na tę chałupę obok. Kto to widział! Sierżant Żółwik spojrział dziwnie na Benona i westchnął:

- Nie masz pojęcia o akcji strażackiej, chłopcze. Pan Myszka dobrze wiedział, co robi, i wcale się nie pomylił. Umyślnie polewał dom obok. Wiesz, po co? Bo gdyby go nie polewał, toby się już dawno zapalił. Stoi zbyt blisko, ma kryty gontami dach, a wiatr dmie w jego stronę. Mądry strażak nie tylko pamięta o tym, żeby gasić to, co już się pali, ale także, żeby się nie zapaliło to, co mogłoby się zapalić; aby się pożar nie rozszerzał. Tym bardziej że ten dom jest o wiele więcej wart niż ta szopa, która się pali. Za to, coś zrobił, powinienem ci spuścić lanie strażackim pasem. Pewnie nie miałeś jeszcze skóry rżniętej strażackim pasem?

- Nie, proszę pana - wykrztusił Benon, patrząc z wyraźnym obrzydzeniem na szeroki, solidny pas sierżanta Żółwika.

- Zaraz to widać - powiedział sierżant Żółwik - ale tym razem ci daruję, ponieważ jestem skutkocem, rozumiesz?

- Nie bardzo - wyjąkał Benon.

- Patrzę na skutki. Jak skutki są dobre, to przebaczam. No, a twoje wyniki nie były najgorsze - uśmiechnął się. - Bo chociaż wprowadziłeś z początku trochę zamieszania, to ważniejsze jest, że twoje manipulacje sikawką rozpedziły gapiów. Przez nich nie mogliśmy rozwinąć skutecznej akcji, a teraz, patrzcie, jak nam sprawnie idzie.

Istotnie, gaszenie pożaru nabrało tempa. Po oczyszczonym przedpolu poruszali się sprawnie strażacy, atakując ogień z najdogodniejszej strony. Straż ochotnicza polewała wodą sąsiednie budynki, żeby ogień się na nie nie przeniósł, a obie duże straże zawodowe gasiły pożar szopy. Ogień cofał się. Języki płomieni ustępowały z sykiem, kryły się wewnątrz budynku, znów próbowały atakować, ale powtórnie zalane, uciekały zasłaniając się kłębamii białej pary.

- No, to już chyba koniec - powiedział sierżant Żółwik. - Uciekajcie do domu, bo już późno. I ty też, rozganiaczu gapiów - zwrócił się do Benona. - Na co czekasz? Na medal? Medalu ode mnie nie dostaniesz. To prawda, że rozpedziłeś gapiów, ale nie myśl, że dostaniesz ode mnie z tego tytułu medal.

- Ja wcale nie myślę. - Benon wyszczerzył zęby i uciekł szczęśliwy, że mu się upiekło.

- Do widzenia - powiedzieliśmy do Żółwika - tu jest lina, którą trzymaliśmy, proszę pana, żeby nie zginęła, boby znów było na nas.

- Dobrze, chło... - sierżant Żółwik urwał nagle i znieruchomiały zapatrzył się w ogień.

Spojrzeliśmy w tym kierunku i zdrtwieliliśmy z wrażenia.

We włazie, na dachu płonącej szopy, pojawiła się czyjaś głowa. Po chwili na dach wygramoliła się postać w rozmamłanej koszuli. Krztusząc się od dymu, oparła się ciężko o komin, a potem ślizgając się i zataczając, poczęła bezradnie biegać po dachu, od jednego końca do drugiego, coraz bardziej nerwowo, wśród kłębow pary i syku przygasających płomieni.

- Człowiek na dachu! Człowiek na dachu! - rozległy się głosy.

- To Moroch.

- Moroch! Moroch!

Na dźwięk tego nazwiska jakaś kobieta w chustce, matka czy żona nieszczęsnego, krzyknęła przeraźliwie... Chciała biec prosto w ogień, ale zatrzymali ją strażacy.

- Co on tam robił? - zapytałem zdziwiony Tadzika.

- Pewnie spał - powiedział Tadzik - na pewno spał na sianie.

- Usnął na sianie z papierosem albo rzucił zapałkę na słomę, tliło się, tliło... on nic nie czuł, bo spał, aż się cała szopa zajęła. Dopiero gdy go przypiekło, zerwał się na nogi - tłumaczył jakiś strażak. - Już mu raz mówiłem, żeby nie palił papierosów w szopie. Ale posłucha to taki...

- Pewnie pijany był. On lubi zaglądać do kieliszka - rzekł dziadek Myszka. - Stale z kimś w tej szopie popijał, a po pijanemu najłatwiej ogień zaproszyć.

Ludzie mówią, że on po cichu wódką handluje i że ma w tej szopie w słomie schowany spirytus.

- Patrzcie - przerwał mu nagle Tadek - będą go zdejmować. Istotnie, pod szopę podjechał samochód strażacki z ruchomą drabiną. Drabina uniosła się i zawisła nad płonącym dachem, a potem zaczęła się spuszczać aż na sam dach.

Wtem na szczeblach drabiny zauważyliśmy człowieka. Poznaliśmy go. To był sierżant Żółwik. Wstrzymaliśmy oddech. Sierżant drapał się w górę jak olbrzymi czarny pajak, zdumiewająco szybko i sprawnie. Już był przy Morochu. Już przywiązywał go do siebie liną, gdy nagle rozległy się gwałtowne wybuchy. Jeden, drugi, trzeci, a potem cała seria, jak z działa przeciwlotniczego... Osłepiające, jasnozłote i białe płomienie wystrzeliły wysoko w górę nad leniwe, czerwone języki dogasającego pożaru, potem kłęby rozgrzanej pary i dymu przesłoniły wszystko. Widać było, że za tą zasłoną pożar rozhulał się na nowo.

Tłum jęknął. Zdawało się, że nowa ściana ognia pochłonęła obu mężczyzn. Ale po chwili, jakby z morza płomieni, wynurzył się ciemny cień i począł powoli, krok za krokiem, spuszczać się po drabinie.

- Nie wyratował. Wraca sam - rozległy się podniecone głosy.

- Nie, nie sam - prostowali drudzy - on go niesie!

Teraz można było już zupełnie wyraźnie zobaczyć, że sierżant Żółwik jedną ręką podtrzymywał przewieszzonego przez ramię jak worek, na pół przytomnego Morocha.

Już był na ziemi. Spuścił swój ciężar na dół...

Już oddawał Morocha w ręce jego roztrzęsionej rodziny. Nieszczęsnego pogorzelnca otoczył tłum ciotek, wujków i dzieci. Żona rzuciła mu się w ramiona.

Sierżant Żółwik oddalił się w cień, gdzie było chłodniej. Zauważyłem, że z tej radości nawet nikt mu nie podziękował. Ale wątpię, czy sierżant Żółwik dbał o to.

Był zbyt zmęczony. Oparł się o płot, zdjął hełm, otarł czoło i rozpiął kurtkę.

Nagle zmarszczyłem brwi. Zauważyłem, że Emuś podszedł do niego.

- Pan ma usmolony policzek - powiedział - pan pozwoli, że ja go panu wytrę.

- To nieważne - mruknął sierżant.

- To ważne - powiedział mój młodszy brat, wyciągnął chusteczkę - tacy ludzie jak pan powinni ładnie wyglądać - a potem dodał, patrząc na niego i wycierając mu zamasyście policzek: - Chciałbym być strażakiem, takim jak pan.

Pożar u Morocha wywołał wielkie poruszenie w miasteczku. Natychmiast zarządzono generalne porządki na strychach, prelekcje w szkołach, biurach i zakładach pracy.

Sprawdzano stan gotowości przeciwpożarowej, zakładano gaśnice, ustawiano skrzynie z piaskiem.

Najbardziej, rzecz jasna, dotknęły nas porządki na strychach, oznaczały bowiem ruinę tak świetnie prosperujących gabinetów. Zdawało się, że już nic nie może nam pomóc i że koniec epoki przytulnych poddaszy zbliża się nieubłaganie.

Z tym większym wstrętem patrzyłem na Emeryka, który bawił się w najlepsze... oczywiście w urzędowanie. Na drugi dzień po pożarze podszedł do mnie z teczką w ręku.

- Pożar nas za... zainspirował - wydukał z trudem nowe widać dla siebie słowo.

- Was, to znaczy kogo? - warknąłem pogardliwie.

- No... inspiratorów - odparł Emuś.

- Aha. Świetnie to wyjaśniłeś, a teraz spadaj. Ale Eşio nie miał zamiaru spadać i ciągnął dalej:

- Widzieliśmy podczas tego wypadku różne postawy. W związku z tym chciałbym cię urzędowo zawiadomić, że wprowadziliśmy podział ludzi na Sesse i Pfeffe. Na przykład sierżant Żółwik i dziadek Myszka są na pewno Sesse, natomiast Benonowi grozi, że może być Pfeffe.

- Co to za słowa! Pierwszy raz słyszę.

- To terminologia naukowa - wyjaśnił Emeryk. - Można być Sesse, to dobrze, albo Pfeffe, to bardzo źle. Są jeszcze podgrupy i kasta inspiratorów. Każdy może być zaliczony do sortymentu A,? lub C... Na razie zapiszę cię do kasty inspiratorów, a w najbliższych dniach zostaniesz sklasyfikowany.

- Co takiego?! - zjeżyłem się. Smarkacz za dużo sobie pozwalał. - Nie życzę sobie! - warknąłem.

- To są głupie pomysły.

- Wcale nie. Opinia to ważna rzecz.

- Wasze opinie nie interesują mnie, zrozumiałeś? I nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

- Jednakże sortymenty?,???...

- Gwiżdżę na wasze sortymenty. Mogę być nawet sortymentem Zet!

- Czemu się tak denerwujesz? Jestem pewien, że niedługo zmienisz zdanie. Zawsze możesz przyjść, pogadać i zainspirować, jako inspirator z kasty inspiratorów inspirujących niezależnie...

- Zamknij się wreszcie. Nie mam zamiaru inspirować - wy-sapałem.

- Na razie, ale możesz podpisać akt fundacji powszechnej klasyfikacji - oświadczył spokojnie Eşio.

- Nic nie podpiszę! Jesteś wstrętnym, natrętnym urzędasem. Zaraz dobiore się do ciebie... Najpierw dostaniesz małą ścinkę w czółko! A potem cię splaszczę!

- Obiecałeś w Melsztynie - jęknął Eşio. - Pamiętaj! Ręka mi zawisła w powietrzu.

- Zobaczysz, jeszcze cię dopadnę - wy-sapałem. - A teraz zejdz mi z oczu, ty urzędnicza kutwo! No, już, zmywaj się!

Chyba go śmiertelnie obraziłem, ale niech się nie mądrzy. Jest doprawdy nieznośny z tym swoim nudziarstwem. Nie dam się wciągnąć w jego idiotyczne zabawy!

Oczywiście pocieszył się zaraz. Nastaly dla niego wielkie dni. Jeszcze tego wieczoru widziałem go, jak uszczęśliwiony nosił za starym Myszką kubełek z klejem tudzież wielki pędzel i pomagał brodatemu weteranowi straży rozklejać na mieście afisze przeciwpożarowe, obwieszczenia strażackie i instrukcje dla ludności.

Co do nas, to resztę nadziei na utrzymanie gabinetu straciliśmy na trzeci dzień po pożarze u Morocha, kiedy na ulicy Zapłotkowej ujrzeliśmy sierżanta Żółwika.

Niespokojnie obserwowaliśmy go z okienka strychu.

- Może on tutaj tylko tak... - próbowałem się jeszcze pocieszyć.

- Jak? - zapytał Długi Tomek.

- No... w gości... na jakieś imieniny.

- Dzisiaj nie ma żadnych imienin - powiedział ponuro Tomek.

- Dlaczego? W każdy dzień muszą być jakieś imieniny.

- Ale nie dzisiaj - mruknął Tomek. - Dzisiaj jest Prota. Czy słyszałeś, żeby ktoś z ulicy Zapłotkowej nosił takie imię?

- To prawda, nie słyszałem - westchnąłem przygnębiony - ale, ale... on może wyszedł po prostu na spacer.

- Nie - powiedział Tomek - sierżant Żółwik nie chodzi na spacer.

- Skąd wiesz? Może mieć przecież wolny czas...

- Mieszkam niedaleko od niego i wiem, co robi sierżant Żółwik, kiedy ma wolny czas. Kiedy sierżant Żółwik ma wolny czas, to gra.

- W karty?

- No wiesz! - wzruszył ramionami Tomek. - Sierżant Żółwik gra na kontra fagocie.

- Co to takiego?

- Instrument dęty - powiedział Tomek. - Tatuś mówi, że sierżant Żółwik jest filarem orkiestry strażackiej. Może słyszałeś kiedyś, jak przechodził koło cukierni Brylla, dziwne dźwięki?

- Słyszałem.

- To właśnie sierżant Żółwik gra. Mieszka na piętrze nad cukiernią. Zresztą zobacz, on jest w mundurze.

- To o niczym nie świadczy. Stale go widzę w mundurze, chyba tak lubi.

- Tak, ale dzisiaj ma pasek pod brodą - powiedział Tomek. Istotnie, dopiero teraz zauważyłem, że sierżant miał pasek pod brodą, co znaczyło, że przyszedł na ulicę Zapłotkową służbowo. Chrząknąłem niespokojnie.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Tomek.

- Nic - powiedziałem. - Wytrwam. Tomek spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

- Ciekawym, jak wytrwasz, kiedy on tu wejdzie i każe zlikwidować gabinet.

- Spróbuję mu wytłumaczyć... może zresztą nie wejdzie... Urwałem nagle, bo właśnie w tej samej chwili rozległo się stapanie na schodach.

- To on! - wykrztusiłem.

- Dziwnie jakось idzie - zauważył Tomek, nasłuchując w napięciu.

Istotnie, odgłosy były dziwne. Lekkie i miękkie, zupełnie niepodobne do kroków sierżanta.

- Skrada się jak kot - szepnąłem.

Czekaliśmy z zapartym tchem. Wreszcie kroki ucichły i rozległo się energiczne pukanie.

Tomek spojrzał na mnie pytająco.

- Nie ma rady - odparłem - otwórz! I tak widział światło.

- Ty otwórz - wymamrotał Tomek. Był błąd jak płótno.

Z bijącym mocno sercem podszedłem do drzwi, otworzyłem zatrask... i cofnąłem się o krok ze zdumienia.

Na poddasze wkroczył mój młodszy brat. W pierwszej chwili trudno go było poznać, gdyż prawie całą twarz zakrył mu głęboki złocisty hełm. W rękach trzymał wielką czerwoną tubę gaśnicy.

- Inspekcja! - powiedział urzędowym głosem. - Materiały łatwopalne, makulaturę, słomę i stare graty trzeba usunąć ze strychu.

Oprzytomniałem. Dłonie zwinęły mi się w pięści. Żeby tak nas nastraszyć!

- Ty łobuzie - warknąłem - zmiataj, pókiś cały! - Ale on niewzruszony recytował dalej:

- Widzę tu także zapaloną świecę i suszące się błony fotograficzne. Zapaloną świecę i błony fotograficzne też trzeba natychmiast usunąć.

- Przede wszystkim usuniemy ciebie - zasapałem. - Bierz go za mankiety, Długi!

Porwaliśmy Eśia pod rękę policyjnym chwytem i unieśliśmy jak ptaka. Zamachał w powietrzu bezradnie odnóżami...

- Do okna go! Usuniemy cię przez okno - mruknąłem, żeby go nastraszyć. - Strażacy lubią chodzić po dachach, więc pochodzisz sobie po dachu.

Na próżno starał się wyrwać. Zanieśliśmy go do okienka i wystawiliśmy na świeże powietrze.

Wtem zdrętwieliśmy. To był prawdziwy pech. Z domu naprzeciwko wyszedł właśnie sierżant Żółwik. Przystanął osłupiały na widok mojego młodszego brata w oknie i zapytał:

- Co tam robisz, Emeryku?

- Przeprowadzam inspekcję na strychu babci.

- Myślałem, że chcesz wyjść na dach - zażartował sierżant.

- Nie, ja... ja tylko wyglądam - odparł mój młodszy brat. Odetchnęliśmy obaj z Tomkiem.

- No i jak wypadła ta inspekcja? - zapytał sierżant Żółwik.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział mój młodszy brat - zgodnie z przepisami. Może pan na mnie polegać.

- Wiem o tym, Emeryku - odparł sierżant z szerokim uśmiechem, od którego zrobiło nam się mdło, po czym zasalutował Emerykowi, a Emeryk zasalutował jemu.

Istna heca!

Wreszcie sierżant poprawił pasek pod brodą i odmaszerował dalej, omijając nasz dom.

Puściliśmy Eśia i popatrzyliśmy na niego z dość mieszanymi uczuciami.

- No, dobrze - odchrząknąłem wreszcie, nie wiedząc, co powiedzieć - widzę, że nie upadłeś ostatecznie na głowę i że... tego... potrafisz się zachować... bardzo ładnie porozmawiałeś sobie z sier-

zantem Żółwikiem... to znaczy, że uczucia braterskie nie zgasły jeszcze w twej czaszce, mimo że nakryłeś ją tym naczyniem. Co to za kociołek?

Mój młodszy brat zagryzł wargi.

- To jest hełm - powiedział.

- Skąd go masz?

- Od pana Myszki.

- Trochę pogięty i pęknięty z jednej strony.

- Dlatego pan Myszka mi go dał. To bardzo stary hełm. Teraz już strażacy nie noszą takich. Ale mnie on się bardziej podoba od tych nowych. Pan Myszka ma jeszcze dwa takie hełmy... Ty też mógłbyś dostać.

Stwierdziłem z niesmakiem, że mój młodszy brat stał się nagle gadatliwy; dziwne, dotychczas miałem go za mruka.

- Nawet lepiej byłoby ci w hełmie niż mnie, bo masz większą głowę. Chciałbyś go przymierzyć?

- zaproponował nagle.

- Nie, dziękuję.

- Powinieneś się koniecznie zapisać do straży, jak ja - kontynuował Emuś. - Sierżant Żółwik powiedział, że każdy może zostać domowym strażakiem.

- Dwu strażaków w rodzinie, to za dużo. Jeden wystarczy - mruknąłem.

- Zwłaszcza taki bojowy - dodał Tomek i popatrzył dziwnym wzrokiem na gaśnicę.

- Czy ten instrument to dla nas?

- Tak, właśnie chciałem ją tu powiesić.

- To jest doskonała myśl - powiedział Tomek i przymrużył oko. - Powieś ją na stemplu. Tam jest taki hak...

Mój młodszy brat ochoczo zawiesił gaśnicę. Potem przetaił ją zamasyżuje rękawem do połysku, spojrział na nią z dumą i powiedział:

- Wygląda prawie jak nowa. Tylko czy wiecie, jak się z nią obchodzić? Tam jest instrukcja. Najpierw gaśnicę trzeba zdjąć ze ściany...

- Dobra, dobra - przerwałem mu - damy sobie radę. A teraz zmykaj!

Mój młodszy brat nie poruszył się.

- Musimy przecież sprzątnąć...

- Nic nie musimy - popchnąłem go do drzwi - ciesz się, że uchodzisz cało. Cześć!

- Czekał - powstrzymał mnie Tomek - zostaw go. Chciałem go jeszcze o jedną rzecz zapytać...

- To pytaj prędko!

- Słuchaj - Tomek zwrócił się do Emeryka - czy nie można by skombinować więcej takich gaśnic?

Ęsio pokręcił głową.

- Nie. Tylko ja dostałem jedną. Wyjątkowo.

- Od kogo?

- Od sierżanta Żółwika.

- Nie bujaj. Tak by ci po prostu dał? Przyznaj się, świsnąłeś.

- Ja? Świsnąć? Dostałem w nagrodę. Za to, że pomagałem przy gaszeniu pożaru. Zobaczyłem, że w straży na podwórzu leży kilka starych gaśnic, więc zapytałem sierżanta Żółwika, czy mógłbym zawiesić jedną u siebie w domu. Sierżant spytał się komendanta, a komendant powiedział, że mogę sobie wziąć.

- To na pewno szmelc. Skoro ci dali, to na pewno szmelc.

Podszedłem do gaśnicy i obejrzałem ją dokładnie.

- No tak, stara, przeterminowana gaśnica fabryczna. Patrzcie, tu jest znak naszej fabryki, a tu data ważności. Dali mu, bo i tak miała pójść na śmietnik. To jest trup.

- Wcale nie trup! - oburzył się Ęsio. - Sierżant powiedział, że ona jeszcze może działać. Tylko że nie na sto procent. A w fabryce muszą być gaśnice na sto procent. Zresztą ona jest starego typu. A tam wszystkie gaśnice starego typu wymienili na nowoczesne. A teraz zabierzemy się do sprzątnięcia strychu.

- Nie nudź - powiedziałem.

- Ja muszę... Przyrzekłem sierżantowi. Myślicie, że on tu by nie przyszedł i nie zrobił z wami porządku, gdybym mu nie obiecał, że ja sam...

- Obiecywać to możesz, co chcesz, ale na swoim podwórku. A tu jest nasz gabinet! Rozumiesz? Nie będziesz się tu rządził. Spływaj, bo ci sprawimy taką łaźnię, że przez tydzień nie będziesz mógł siedzieć. Nawet na najmiększym fotelu.

Mój młodszy brat zacisnął zęby. W kąciakach oczu zabłyszczały mu łzy. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale ujrawszy nasze złowrogie miny, zwiesił głowę i wyszedł.

- Zdenerwował mnie smarkacz - powiedziałem do Tomka - zawsze z nim są kłopoty. Jak sobie coś wbije do głowy, to może człowieka zanudzić na śmierć. Strach pomyśleć, co z niego wyrośnie. Żeby już w tym wieku... A ty jeszcze z tymi gaśnicami. Po co ci te gaśnice?

- Jak to, po co? - spytał Tomek i uśmiechnął się pod nosem. - Czy nie pomyślałeś, jaka to może być straszliwa broń? Gdybyśmy, bracie, z takimi rozpylaczami wpadli na Benona i jego Koczowników... Ale i jedna wystarczy. Jeśli się tylko zrobi z niej właściwy użytek.

Stałem przez chwilę oszołomiony. A potem powtórzyłem w zamyśleniu:

- Tak, jeśli się zrobi właściwy użytek.

Zaraz następnego dnia postanowiliśmy zrobić właściwy użytek z gaśnicy. Właśnie nadarzyła się okazja, bo przyszli bracia Odjemkowie z wiadomością, że Benon ze swoimi ludźmi rozpałił ognisko na zalesionym zboczu hałdy, w pobliżu miejsca zwanego „Diablim Zjazdem” i, co najważniejsze, że jest przy nim schwyтана wiewiórka Kita.

- Trzyma ją w żelaznej klatce - mówili wzburzeni - jeśli się pospieszymy, możemy go jeszcze zastać tam i przyskrzynić.

Natychmiast dałem sygnał do wymarszu. Ja zabrałem gaśnicę, bracia Odjemkowie pistolety na wodę, a Długi Tomek i Tadzik Myszka pompki motocyklowe, również w charakterze rozpylaczy.

Zanim przybyliśmy na miejsce, ściemniło się już prawie zupełnie. Przez płataninę gałęzi ogołoconych z liści widać było czerwone języki płomieni, a dookoła nich ciemne sylwetki Koczowników Benona.

Ostrożnie podkradaliśmy się coraz bliżej. Rozróżnialiśmy już twarze poszczególnych chłopców. Siedzieli w kucki dookoła ogniska i piekli ziemniaki.

Koło nich stały plecaki pełne jabłek i gruszek. Zapewne łupy z ogrodu.

Zauważyliśmy także Benona. Obok niego stała klatka z wiewiórką.

Podczołgałem się pod ostatnie zarośla. Benon wydobyl właśnie z kieszeni garść orzeszków laskowych i wtykał je przez pręty klatki, ale wiewiórka cofała się przerażona.

- Głupia - mruknął Benon i przytknął w nią ostatnim orzechem - nie widziałem równie upartego stworzenia.

Nie panowałem dłużej nad sobą. Uruchomiłem gaśnicę i wycelowałem w ognisko.

Gaśnica zbulgotała, zakaszłała jak dychawiczny chory człowiek i nagle strzyknęła strumieniem białej piany. Ogień zasyczał i zgasł momentalnie. Ogarnęły nas ciemności. Przerażeni Koczownicy zerwali się na nogi. Ja sam byłem nie mniej przerażony nadzwyczajną sprawnością instrumentu. Chciałem zatamować gaśnicę, ale zapomniałem, jak się to robi, i szprycowałem dalej na oślep.

Rozległy się mrozące krew w żyłach wrzaski. W ciemności kotłowały się jakieś bezkształtne, białe postacie, jakby figurki z ciasta. Śnieżna piana oblepiała je od stóp do głów. Gaśnica szprycowała dalej. Wkrótce wszyscy Koczownicy stali się podobni do stada oszalałych śniegowych bałwanów. Jak nieszczęsne duchy rozbiegli się na wszystkie strony. Wkrótce zniknęli nam z oczu.

Staliśmy chwilę oniemiałi. Gaśnica uspokoiła się nareszcie. Z jej gardzieli ściekała już tylko biała ślina, jak z paszczy wyczerpanego walką zwierza.

Długi Tomek poświecił latarką. Przy wygaszonym ognisku szamotała się w klatce wystraszona wiewiórka.

- Weźcie ją - powiedziałem zmęczony - jutro wypuścimy ją do ogrodu.

Tomek podniósł klatkę.

- Jabłka chyba też zabierzemy. Należy się jako zdobycz wojenna - powiedział.

Odjemkowie poczęli szukać jabłek, ale okazało się, że dosłownie wszystkie zostały stratowane na miazgę przez oszalałych Koczowników. W tym stanie rzeczy poprzestaliśmy na posileniu się pieczonymi ziemniakami, które Tadzik Myszka wygrzebał z gorącego popiołu.

Pół godziny później, dźwigając pustą gaśnicę i klatkę z wiewiórką, zmęczeni, ale szczęśliwi z powodu nadzwyczajnych wyników akcji, wspinaliśmy się na schody wiodące na nasz strych. Najprzyjemniejsze chwile były dopiero przed nami.

Cieszyliśmy się na myśl, że będziemy mogli wyciągnąć się wygodnie na fotelach i roztrzasać w zaciszu gabinetu szczegóły zwycięskiej wyprawy.

Tym razem jednak rozczarowaliśmy się srodze. Kiedy otworzyliśmy drzwi strychu, a Tomek poświecił elektryczną latarką, stanęliśmy jak wryci.

Nie było już gabinetu!

Zniknęły wygodne legowiska, stare fotele, sterty książek i pism, wypchane ptaszyska i gramofon z zieloną tubą. W skrzyniach, zamiast czcigodnych ciuchów, połyskiwał smętnie piasek. Na miejscu sienników stało wiadro z wodą. Na krokwi, gdzie suszyliśmy błony fotograficzne, wisiała na sznurku wielka patelnia.

Widniał na niej biały kredowy napis: gong. Obok na podobnym sznurku wisiał młotek. Na ścianie komina rozpościerało się ogłoszenie porządkowe straży.

Ocalały tylko stara komoda i stół. Widać były za ciężkie i nie dały się ruszyć.

Oczywiście ze stołu zniknęła świeca. Na jej miejscu zauważyłem natomiast kartkę z bloku rysunkowego, zapisaną równym, kaligraficznym pismem mojego młodszego brata.

Ja i moi koledzy zabezpieczyliśmy strych babci. Nie wiem tylko, gdzie się podziała gaśnica. W razie pożaru uruchomić gong alarmowy. Świec nie palić.

Strażak domowy Emeryk.

Patrzyłem zdruzgotany na te spustoszenia. W pierwszej chwili chciałem krzyknąć z pasji, biec, znaleźć tego łotra Ęsia i zetrzeć go na proch, ale w tych czasach ćwiczyliśmy się w panowaniu nad sobą i uleganie wściekłości było w złym stylu.

Popisywaliśmy się przed sobą zimną krwią. To była właśnie sposobność, żeby się popisać.

Zmiałem więc flegmatycznie kartkę Emeryka, choć ręce mi drżały, i uśmiechnąłem się zimno, a potem powiesiłem gaśnicę na dawnym miejscu.

- A więc masz strażaka domowego - rzekł szyderczo Długi Tomek, stawiając na stole klatkę z Kitą.

Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu mam brata maniaką.

- Wszyscy wielcy ludzie byli podobno maniakami - zauważył zgryźliwie Tadzik Myszka.

- To możliwe, tylko że on nie jest wielki. Nie jest nawet duży.

- Urośnie - mruknął Tomek. - W każdym razie już teraz robi wielkie świństwa.

- Umyj się lepiej - powiedziałem - masz usmoloną maskę.

- Racja - jęknął - przynajmniej mamy teraz wodę na miejscu.

Nadrabiając miną i dowcipkując smętnie, umyliśmy się w kubie przeciwpożarowym.

Potem okazało się, że nie mamy co robić.

- Pójdę już chyba - powiedział Tomek - przynajmniej raz odrobnię porządnie lekcje - dodał z krzywym uśmiechem.

Zrozumiałem dobrze, że bez gabinetu nic nam się nie będzie kleiło. Trzeba go jak najprędzej zrekonstruować.

- Przyjdźcie jutro po lekcjach - powiedziałem - urządzimy wszystko jeszcze lepiej, niż było. Kupię kłódkę; Emeryk ma klucz od zatrzasku i dlatego tu się wciąż pęta. Jak założymy kłódkę, nie wejdzie. I jeszcze jedno: musisz, Długi, przynieść nowe świece.

- Wątpię, czy dostanę - powiedział Tomek - ludzie wykupili wszystkie na Święto Zmarłych. Może lepiej przerzucimy się na lampę naftową. Ze świecami jest wciąż kłopot, a teraz wieczory coraz dłuższe.

- To jest myśl - powiedziałem - ale skąd wytrzasnąć lampę?

- U nas ponieważ się jedna w piwnicy - odparł. - Po drodze kupię nafty.

Wróciłem do domu ze świętym postanowieniem, że rozprawię się z Emerykiem. Ale kiedy wszedłem do pokoju, spał. Koło łóżka leżał jego hełm. Przyglądałem się długo mojemu młodszemu bratu. Uśmiechał się przez sen, wyglądał, jakby miał czyste sumienie. Pomyślałem, że to bardzo dziwna rzecz, sumienie. Sam nie wiedziałem, dlaczego złość mnie zaczęła opuszczać.

Ale żeby nie wyjść na ostatniego kretyna, siadłem do stołu i napisałem pospiesznie:

Twoje szczęście, hultaju, że masz opanowanego brata. Ale biada ci, jeśli twoja noga stanie jeszcze raz w moim gabinecie. Nawet moja flegma ma swoje granice.

Następnie włożyłem powyższą deklarację za pasek hełmu mojego młodszego brata.

Rekonstrukcja gabinetu przebiegała szybko i sprawnie. Wyrzucone rzeczy znaleźliśmy w komórce za drwalką. Wnosiliśmy je po kolei. Najpierw antyczne fotele, potem lustro, potem wypchane ptaki i gramofon z zieloną tubą. Nie zapomnieliśmy także o cylindrze pradziadka.

Bez niego gabinet niewątpliwie nie odzyskałby swojego charakteru. Z tego samego powodu wtaszczyliśmy na górę książki i stare czasopisma. Nie powiodło się nam natomiast ze słomianymi siennikami. Rozsypywały się w rękach. Zamiast nich umieściliśmy więc stare materace od Tadzika Myszk. Bracia Odjemkowie przynieśli dwa koce. Nie zawiódł także Długi Tomek: zjawił się z naftą i mosiężną lampą naftową, która przywiodła nam na myśl lampę Aladyna. Tak, to był doskonały nabytek dla naszego gabinetu. Podniósł nastrój o dwa stopnie.

Dzieło rekonstrukcji uwieńczyliśmy założeniem solidnej kłódki, po czym odetchnęliśmy z ulgą. Nasza kochana babcia przyglądała nam się przez okno. Kiedy nosiłem ptaki, wychyliła się z okna i zapytała dobrotliwie:

- Dobrze się bawicie, dzieci?
- Dobrze, babciu - odpowiedziałem.
- W ptaszników?
- Tak, w ptaszników, babciu.
- A Emuś bawił się wczoraj w strażaków.
- Wiem, babciu - odpowiedziałem z łagodnym uśmiechem, chociaż zrobiło mi się niedobrze na samo wspomnienie zabawy Emeryka.
- Bardzo się bałam o niego. Wyobraź sobie, wziął węża ogrodniczego i wciągnął go na dach.
- Co takiego?

Dopiero teraz zauważyłem, że do hydrantu przy domku przykręcony jest wąż, ale zamiast leżeć jak zwykle na trawniku, ciągnie się w górę wzdłuż drabiny kominiarskiej, aż na sam dach, najwidoczniej czymś tam na górze przywiązany.

- Niesamowity pomysł - wykrztusiłem.
- Emuś ma zawsze ciekawe pomysły. Wrodził się w dziadka. Wasz dziadek też miał niezwykle pomysły - rzekła nie bez dumy nasza dobra babcia. - Może zjadłbyś mały podwieczorek? Upiekłam kruche ciasteczka.

- Potem, babciu, teraz... teraz się bawię - byłem wciąż jeszcze oszołomiony tym wężem.
- No, to baw się - powiedziała babcia.

Spojrzałem jeszcze raz na węża i pokręciłem głową. Nie doceniałem chyba mojego brata Emeryka. Z nim jest naprawdę coraz gorzej. Ciekawym, co jeszcze wymyśli.

Dowiedziałem się nazajutrz. Tego dnia po południu wypuściliśmy Kitę do ogrodu.

Właściwie powinniśmy to byli zrobić jeszcze wczoraj, ale rekonstrukcja gabinetu przeciągała się i byliśmy solidnie zmęczeni.

Kita czmychnęła w las i nawet nie kiwnęła nam ogonem w podziękowaniu. Ale nie dbaliśmy o to. Szczęśliwi, że sprawa nareszcie jest załatwiona, wróciliśmy pospiesznie do naszego nowego gabinetu.

Ledwie otworzyłem kłódkę u drzwi, poczułem jakiś dziwny przeciąg. Tknęło mnie niedobre przeczucie. Poświeciłem latarką i ręce mi opadły.

Przy kominie stał mój młodszy brat. Nie próbował nawet uciekać. Odechciało mi się od razu wszystkiego. Nawet krzyżeć na niego. Siadłem sflaczały na fotelu.

- Zróbcie z nim coś - powiedziałem do Tomka, Tadzika i Jarka - ja się poddam, wysiadam.
- Dlaczego dręczysz tak swego brata - powiedział do Eusia Tomek - a w ogóle którądy tu wszedłeś?
- Dostał się przez właz na dachu i zszedł po drabinie - mruknął Jarek. - Zobaczcie, kłapa jest uchylona i dlatego tak wieje. Trzeba zabezpieczyć na przyszłość. - To mówiąc przeniósł drabinę w kąt strychu, a potem zapytał Emeryka:
- Dlaczego to zrobiłeś?
- Wnieśliście z powrotem graty - powiedział smutno mój młodszy brat. - Gdzie się podziała woda?
- Wyparowała - powiedział Tomek. - To ty nie wiesz, że woda paruje?
- Nie mogła wyparować.
- Na strychu szybciej paruje, bo tu jest mniejsze ciśnienie. Nie uczyłeś się tego?

- Resztę wypily gołębie - zażartował Tadzik.

Mój młodszy brat poznał, że nabijają się z niego, zacisnął wargi i milczał.

- Wnieśliście z powrotem graty - rzekł zdławionym głosem.

- Dosyc tego - powiedziałem - zdejmijcie mu hełm.

Tomek i Kleptus chwycili go za ramiona i po krótkiej szamotaninie ściągnęli mu hełm z głowy. Emeryk stał rozczochrany i żalony. Dyszał ciężko. Ocierał oczy.

- Już nie jesteś strażakiem - powiedziałem. - Zabawa skończona. A żebyś o tym nie zapomniał, wygarbujemy ci to na skórze. - To mówiąc wstałem ciężko z fotela i poczałem zbliżać się do niego.

- Sam widzisz, że z tobą inaczej nie można.

Nagle usłyszeliśmy tupot kroków na schodach i ktoś zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi. Puściłem Eśia i zapytałem głośno:

- Kto tam?

- Odjemkowie!

Otworzyłem drzwi. Do gabinetu wpadli zadyszani bracia.

- Co się stało? - zapytałem.

- Benon tu leci.

- Benon?

- Dowiedział się, że to myśmy go szprycowali i zabrali mu Kitę. Przedtem myślał, że to Koloński Kszyka, ale dzisiaj jego ludzie widzieli, jak nieśliście klatkę z wiewiórką, i Benon dostał szalu. Powiedział, że nas rozniesie. Zaraz tu będzie.

- Ilu ich biegnie?

- Pewnie z dziesięciu.

- Lepiej zamknąć budę i wiać - powiedział Tadzik Myszka. - Benon, jak się rozwścieczy, jest nieobliczalny...

- Nie - powiedziałem - nic nam nie robi. Mam plan. Pyskaj - obróciłem się do Emusia - później się z tobą rozprawię.

Kiedy Emuś uciekł, zostawiłem za nim otwarte drzwi.

- Co robisz? - zdumieli się Odjemkowie.

- Urządzimy zasadzkę. Staniecie po obu stronach drzwi. Benon biegnie pierwszy, prawda?

- Tak, on zawsze biegnie pierwszy.

- Więc on wpadnie tu pierwszy. Kiedy tylko wpadnie, zatrzaśnie się błyskawicznie drzwi. A ja i Tomek zarzucimy mu koc na głowę, zawiniemy go jak mumię i przewrócimy na ziemię. Wtedy wy - zwróciłem się do Tadzika i Jarka - natychmiast zwiążecie go sznurem jak baleron. Co wy na to?

- Niezły plan! - mruknął Tadzik.

- No, to do roboty!

Zajęliśmy pośpiesznie pozycje. Czekaliśmy w napięciu, ciężko sapiąc z emocji.

Nie upłynęły dwie minuty, kiedy na podwórzu rozległ się tupot tabunu Koczowników.

Zatrzeszczały gwałtownie schody. Rzeczywiście, pierwszy wpadł w drzwi Benon.

Kiedy tylko znalazł się w gabinecie, Odjemkowie zatrzasnęli drzwi, a ja i Tomek rzuciliśmy się z kocem. Nim Benon się zorientował, już leżał owinięty jak mumia.

- Wiązać go! - krzyknąłem.

Ale nie była to łatwa sprawa. Benon, mimo że spętany, rzucał się po podłodze jak piskorz. W dodatku zaszła nieprzewidziana komplikacja. Czy to zbyt nerwowo szarpnęliśmy kocem, czy też koc był za słaby, dość że w pewnym momencie rozległo się nieprzyjemne trrrach, w końcu zrobiła się dziura, a z dziury wysnęła się głowa Benona i rąbnęła mnie niespodziewanie prosto w nos. Zobaczyłem wszystkie gwiazdy.

Kiedy przyszedłem do siebie, Benon już był na nogach. Biegał zadyszany po strychu, wymykając się rozpaczliwie chłopcom, którzy usiłowali go schwytać. W rozwianym długim kocu, z którego sterczała tylko głowa, robił wrażenie szamocącej się potwornej ćmy. Nastrój był niesamowity. Lampa rzucała ruchome, pokracczne cienie. Zdawało mi się, że jestem w jakimś strasznym teatrze. Oprawę dźwiękową tego widowiska stanowiły dobijania się do drzwi i przeraźliwe wrzaski pozostałych na schodach Koczowników.

Otrząsnąłem się jak ze złego snu. Postanowiłem przerwać tę imprezę. Chwiejnym krokiem podszedłem do gaśnicy, zdjąłem ją z haka i udałem, że chcę użyć w akcji.

- Poddaj się! - krzyknąłem do Benona. - Bo będę szprycował jak wtedy przy ognisku.

Benon spojrział z respektem na groźny instrument i przystanął.

- A teraz powiedz swoim koleżkom za drzwiami, że wpadłeś w zasadzkę i każ im, żeby sobie poszli, bo ich też naszprycuję.

Benon obrzucił jeszcze raz gaśnicę przerażonym wzrokiem i zawołał:

- Zasadzka! Jestem zgubiony! Wszędzie zasadzki i zdrady! Uciekajcie, bo będą was szprycować jak wtedy przy ognisku! Oni wciąż jeszcze mają tę przeklętą gaśnicę!

Wspomnienie operacji przy ognisku musiało zrobić silne wrażenie na Koczownikach, bo uspokojili się od razu. W chwilę potem usłyszeliśmy oddalający się tupot ich nóg. Wycofywali się.

- A teraz brać Benona! - krzyknąłem do chłopaków. Benon szarpnął się gwałtownie, zaplątał w koc, zatoczył i całym ciężarem runął na stół. Był to straszliwy upadek. Kulawy stół przewrócił się na bok. Usłyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła. To zbiła się butelka z naftą i lampa, które stały na stole. W mgnieniu oka żarłoczny żółty płomień ogarnął pół podłogi.

Zapalił się także koc na Benonie. Musiał nasiąknąć naftą. W ostatniej chwili zdarliśmy go z ciała nieszczęsnego Koczownika. Tymczasem od podłogi zajęły się już ogniem fotele i star«e materace. Poddasze wypełniło się gryzącym dymem.

Drogę do drzwi odcięły nam płomienie. Ogień rozszerzał się coraz bardziej.

Kaszłąc i krztusząc się od dymu dopadliśmy do okienka. Chcieliśmy wydostać się na dach, ale tłoczyliśmy się wszyscy naraz i oczywiście nikt nie mógł się wydostać. Okienko było zbyt ciasne.

- Po kolei - krzyknąłem - puście naprzód Benona! Odsunęliśmy się trochę. Benon wdrapał się na okienko... wyjrzał przerażony na zewnątrz i zawahał się.

- Skacz! Czemu nie skaczesz?! - popędzaliśmy go rozgorączkowani.

- Tak... chcesz, żebym się zabił -jęknął płaczącym głosem. Jak mam skakać, kiedy dach jest śliski i stromy.

Odepchnęliśmy go od okienka, ale i nam zabrakło odwagi.

Spojrzałem rozpaczliwie na właz kominiarski w górze strychu. Tamtędy też można by wyjść. Ale gdzie jest drabina? Prawda, odsunęliśmy ją w kąt. Obejrzałem się rozdygotany...

Nie... Nic z tego. Drabinę oddzielały od nas szalejące płomienie.

Tymczasem ogień zbliżał się nieubłaganie do stosu książek i makulatury. Co będzie, jeśli i one zapłoną? Przerażeni chłopcy zbili się w gromadkę w kącie strychu. Oprzytomniałem nieco. Trzeba ratować dom babci.

- Czemu stoicie, tchórze! - krzyknąłem do kolegów. - Trzeba gasić ogień! To jedyny ratunek!

- Tak... ale czym gasić? -jęknął Benon.

Rzuciłem się do wiadra z wodą, ale przypomniałem sobie, że przecież wszystko wychlapaliśmy, i do reszty straciłem głowę. Pamiętam tylko, że dopadłem do gongu i dławiąc się dymem, zacząłem rozpaczliwie bić na alarm.

Wtedy zaskrzypiała kłapa kominiarskiego włazu. U góry, w otworze dachu ukazała się rozczochrana głowa Emeryka. W ręce trzymał końcówkę ogrodniczego węża.

Strumień lodowatej wody chlusnął na mnie brutalnie.

Odkoczyłem.

- Gdzie lejesz?!

- Nie zasłaniaj płonącego fotela - powiedział flegmatycznie mój młodszy brat.

- Lej na podłogę! - krzyknąłem. - Wszystko zajęło się od podłogi! Tam jest nafta.

Emeryk pokręcił głową.

- Nafty nie gasi się wodą.

- Więc czym?

- Najpierw włóż hełm. Drżącymi rękami włożyłem hełm.

- Weź gaśnicę - komenderował spokojnie. Skoczyłem do gaśnicy. Nagle ręce mi opadły.

- Nic z tego - jęknąłem. - Ona nie działa. Już ją wyszprycowaliśmy do szczętu.

Mój młodszy brat spojrział na mnie z wyrzutem.

- Weź łopatę. Porwałem posłusznie łopatę.

- Syp piasek na podłogę. Wszędzie, gdzie się pali. Dużo piasku! Wszyscy!

Zamrugąłem oczami. Że też zapomniałem o piasku! Dostaliśmy wszyscy do skrzyń z piaskiem. Dobrze, że było go pod dostatkiem. Poczuliśmy sypać zawzięcie, ja łopatą, chłopcy gołymi rękami, a Emeryk flegmatycznie polewał płonące fotele i materace wodą z ogrodniczego węża. Ogień szybko przygasał.

Na szczęście na strychu nie było drewnianej podłogi, tylko polepa z gliny.

Ale dopiero gdy ugasiłszy pożar i ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia, zdjął nas prawdziwy strach. Co będzie z nami, jak się starsi dowiedzą o wszystkim? Może już prawdziwi strażacy pędzą tu do nas? Zrobiło nam się z powrotem gorąco.

Benon i moi druhowie Piraci woleli nie czekać na dalsze konsekwencje wypadku i wzięli czym prędzej nogi za pas.

Na placu boju zostałem ja sam. I Emuś na górze.

- Przystaw mi drabinę - powiedział - zejść na dół sprawdzić, czy coś się nie tli jeszcze.

Poszedłem na uginających się nogach po drabinę. Nie bardzo wierzyłem, że ją zastanę całą. Była jednak nienaruszona. Ogień tylko ją osmalił.

Emuś zszedł z dachu. Obejrzał dokładnie strych.

- Dobra robota - powiedział - ognia już ani śladu. A teraz chodźmy się umyć.

Zeszliśmy powoli ze strychu. Ledwie powłóczyłem nogami. Na dole babcia wyjrzała przez okno i uśmiechnęła się do nas.

- Bawicie się grzecznie?

- Grzecznie, babciu.

- W strażaków?

- Tak, w strażaków, babciu.

- Ale skąd tyle dymu? Pewnie u Myszków wędzą szynki na święta.

- Nie, babciu - wykrztusiłem - to my wędzimy.

- Szynki? - zdziwiła się nasza dobra babcia.

- Nie, różne takie rzeczy.

Rozmowa z babcią wykończyła mnie ostatecznie. Oparłem się ciężko o ścianę. Mój brat spojrzał na mnie z troską, a potem wydostał z kieszeni kostkę cukru i jakieś krople. Nakapał na kostkę i powiedział:

- Zażyj!

- Skąd to masz?

- Strażak musi mieć i takie rzeczy. Popatrzyłem na niego ciężkim wzrokiem.

- Czy ty nie jesteś zbyt przewidujący, Emeryku? Mój młodszy brat westchnął głęboko:

- Ktoś musi być przewidujący w rodzinie.

Nikodem, czyli tajemnica gabinetu

Już w drzwiach gabinetu przyrodniczego zrozumiałem, że stało się coś złego.

Zośka i Joasia zapłakane pełzały na czworaka po pokoju, zaglądały pod szafy, żardyniery, stoliki z akwariami i gablotami, a gruba Patrycja, prezes naszego kółka, chodziła wzburzona po pokoju i krzyczała:

- Niedolegi! Lalczyne niańki! Szmatkami wam się bawić, a nie pracować w poważnym gabinecie!

- Czemu tak wrzeszczysz? - zapytałem z niesmakiem. Krzykliwość i gburowatość Patrycji zawsze działały mi na nerwy.

- Czemu? - uniosła się. - Zgubiły rzekotkę drzewną!

- Myśmy wcale nie zgubiły. Ona musiała sama gdzieś wyskoczyć! - tłumaczyły zrozpaczone dziewczynki.

- Sama? Rzekotka dopiero wczoraj przebudziła się z odrętwienia zimowego! Jeszcze była senna, ociężała i nieruchawa...

Odjemek Mniejszy wzruszył ramionami.

- Ojej, o jedną żabę tyle gwałtu!

- Wcale nie o jedną! - oburzyła się prezeska. - To już druga żaba w tym tygodniu! We wtorek zginęła grzebiuszka ziemna.

- Jak mogła zginąć? - zapytałem. - Przecież terraria są zamknięte. Mają tylko otworki wentylacyjne. Ale przez nie nawet kijanka by nie przeszła.

- Właśnie dlatego krzyczę - westchnęła. - Te fajtlapy musiały zostawić otwarte terrarium.

- Wcale nie! Słowo daję, że było zamknięte - pochlipywała na kłęczkach Zośka.
- Sama sprawdzałam - dodała Joasia, ocierając oczy.
- No, to gdzie są te żaby? - zasapała Patrycja. - Pytam się, gdzie są? Co? Jak ja spojrzę teraz pani Szyckiej w oczy? Wszystko będzie na mnie! A za tydzień mamy właśnie przerabiać płyzy!
- Potrzyj - wręczyłem Odjemkowi tekturowe pudełko z szamoczącą się w środku myszą. Złapaliśmy ją dla naszego węża Kryspina, który spał w gablocie pod oknem.
Kryspin co tydzień pożerał jedną mysz.
- Co chcesz zrobić? - zapytał Odjemek.
- Pomogę im szukać - powiedziałem - one straciły głowę i nic nie widzą przez łyzy. A żaby pewnie poszły do umywalni. Żaby na wiosnę zawsze dążą do wody - dodałem z naukową pewnością.
Ruszyłem do komórki przy drzwiach, oddzielonej od gabinetu kotarą. Znajdowała się tam szafa z fartuchami oraz umywalka z kranami. Ale, mimo że obszukałem dokładnie cały ten zakątek łącznie z szafą, a potem jeszcze raz cały gabinet od początku, nie znalazłem nigdzie ani śladu żaby.
- To naprawdę śmieszne, co się z nią mogło stać - powiedziałem szczerze zdziwiony do zmartwiionych koleżanek. - Chyba że Kryspin zjadł?
- Kryspin? - Patrycja uniosła brwi.
- Kryspin przepada za żabami. Zaraz to sprawdzę. Podeszedłem do Kryspina.
Pocziwiec leżał zwinięty w kłębek, pogrążony w swym wężowym śnie. Wyjąłem go z gabloty i przejechałem mu ręką po brzuchu.
- Kryspin jest niewinny - oświadczyłem - zobaczcie same, ma linię bez zarzutu!
Gdyby dziś zjadł żabę, byłby gruby w jednym miejscu.
- W takim razie już nic nie rozumiem - powiedziała zrozpaczona prezeska - chyba że...
Nie dokończyła, bo w tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk Odjemka.
Spojrzałem. Z Odjemkiem działy się dziwne rzeczy. Miotał się po gabinecie, wykonując jakiś szaleńczy taniec. Podskakiwał. Wyrzucał ręce do góry, to znów szarpał jak wariat ubranie.
- Co ty wyprawiasz? Zwariowałeś?
- M... m... mysz! - wykrztusił. - Uciekła. Łapcie ją! - wypuścił z rąk przegryzione pudełko.
- Gdzie ona jest?
- N... n... na mnie.
- Nic nie widzę.
- P... p... pod ubraniem. Biega po mnie. Po całym ciele... Aj! Łaskocze!
Dopadłem do niego.
- Spokojnie, nie strasz myszy!
- Kto tu kogo straszy! - jęknął Odjemek.
- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Praca naukowa wymaga poświęceń. Zachowaj spokój godny badacza przyrody.
- Tak, łatwo ci mówić!

W tym momencie przerażona mysz wyskoczyła Odjemkowi z rękawa i czmychnęła pod szafę. Obaj rzuciliśmy się za nią.

- Czemu stoicie?! - krzyknąłem do dziewcząt. - Łapcie pokarm Kryspina.
- A żaby?
- Przestańcie robić historie z powodu jakiejś tam żaby. Pokarm Kryspina ważniejszy!
Dziewczęta rzuciły się nam na pomoc; zajęci szukaniem myszy na razie zapomnieliśmy o żabie.

Przez trzy dni był spokój, ale kiedy we wtorek o piątej po południu przyszedliśmy z Sykuckim na dyżur w gabinecie, zastaliśmy Patrycję w stanie zupełnego przygnębienia.

- Trzecia żaby zniknęła. Moczarowa - powiedziała.
- Szukałaś dobrze wszędzie? - zapytałem.
- Przeszukałam cały gabinet.
- I komórkę?
- Komórkę też.
- Może zagrzebała się z powrotem w glebie? - zajrzałem do terrarium.
- Szukałam. Przetraszałam całą ziemię, ale na próżno - westchnęła zrozpaczona.
- Pani Szycka już wie?
- Nie, to by ją strasznie zdenerwowało i zmartwiło. Wiesz, że ona ma słabe zdrowie.

- Wiem, dlatego to wszystko jest takie straszne...
- A swoją drogą to ciekawe - powiedział zamyślony Sykuś.
- Co ciekawe? - Że wszystkie żaby zginęły we wtorek, albo w piątek. Bardzo ciekawe.
- W piątki i we wtorki mamy lekcje w gabinecie - zauważyła Patrycja. Myślisz, że to ma coś wspólnego?

- Właśnie - powiedział.

- Myślisz, że ktoś po prostu kradnie nam żaby?

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

- Ale przecież my ostatni wychodzimy z lekcji. Zawsze sprawdzam gabloty i nigdy nic nie brakowało.

- Może ktoś kraść po lekcjach. Czy zamykasz gabinet na klucz?

- Tak. Klucz oddaję woźnej Bularskiej. Ostatnio, po tym jak zginęły tamte żaby, sprawdzam także okna i drzwi na balkon. Wszystko jest porządnie zamknięte.

- Nic w takim razie nie rozumiem... - westchnął bezradnie Sykuś. - Słuchaj no... - rzekł po chwili - czy tu naprawdę nic nie ginie oprócz żab?

- Nic - powiedziała. - Jeśli nie liczyć jednego pustego słoja, który zniknął w zeszłym tygodniu. Podejrzewam, że ta fajtlapa Joasia go stłukła, tylko nie chce się przyznać. Ale z ważnych rzeczy nic nie zginęło. I to jest właśnie najbardziej dziwne. Przecież jest tu tyle ciekawych eksponatów: i różne książki, i obrazy, i wąż, i jeź, i chomik, i złote rybki, a tymczasem giną tylko żaby. Po co komu żaby?

- Niektóre żaby są jadalne... - mruknąłem.

- Nie bądź śmieszny, myślisz, że ktoś złakomiłby się na żabę po to, żeby ją zjeść?

- Susuł jest bardzo żarłoczny - zauważyłem flegmatycznie - widziałem w zeszłym roku, jak zjadł ślimaka winniczka. Na surowo!

- Nie odważyłby się chyba zjadać własności szkolnej - powiedziała Patrycja. - Susuł jest żarłoczny, ale to porządny chłopak, i w ogóle nieśmiały. Już prędzej uwierzę, że to Burczyk dobiera nam się do żab. Po nim wszystkiego można się spodziewać. Wiesz, że on strzela z procy do wróbli...

- Ale jak tu się dostał? Jego klasa nawet nie uczy się w gabinecie - pokręciłem głową.

- Niesamowita historia! - jęknęła Patrycja.

- W szkole w ogóle dzieją się ostatnio dziwne rzeczy - zauważył Sykucki. - Czy wiecie, co się przytrafiło w ostatni piątek woźnej Bularskiej?

- Podobno na schodach skręciła nogę.

- Ale dlaczego skręciła? - Sykuś zrobił tajemniczą minę. Spojrzałem na niego zaskoczony.

- No, chyba po prostu potknęła się i skręciła. --Właśnie że wcale nie po prostu. Benon mówi, że to z powodu Nikodema. Jak nie wierzysz, to spytaj Krapula albo Bączka. Oni mówią to samo.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Z powodu Nikodema? Nic nie rozumiem.

Nikodem to imię starego woźnego naszej szkoły, który zmarł w zeszłym roku.

Cieszył się on rzadko spotykanym respektem nauczycieli i uczniów, a dla łobuziaków w rodzaju Benona był prawdziwym postrachem. Woźny Nikodem odznaczył się niegdyś jako żołnierz. Nie miał jednego oka, za to na piersiach nosił order Virtuti Militari. On jeden ze wszystkich woźnych miał przywilej zapędzania niesfornych uczniów za karę do prac porządkowych. Stłukłeś szybę, musiałeś sam ją wprawić. Nie wiedziałeś jak, Nikodem pokazał, ale musiałeś zrobić sam.

Rozlałeś coś „niechący”, musiałeś wiórkować i froterować poplamioną posadzkę. Śmierć Nikodema też nie była zwyczajna. Można powiedzieć, że padł on na posterunku w czasie pełnienia obowiązków służbowych, i nie ma w tym chyba przesady, ponieważ zasłabł nagle, goniąc po schodach Koczowników Benona, którzy wbiegli w zabłoconych butach do szkoły. Po pogrzebie Nikodema wszyscy patrzyli z potępieniem na Koczowników Benona. Chyba przez całe dwa dni, a może nawet trzy, w szkole było cicho, wszelkie gałgaństwo zamarło, nikt nie był niesforny i krnąbrny.

Przypomniałem sobie to wszystko i wzruszyłem ramionami.

- Nic nie rozumiem - powiedziałem. - Co Nikodem może mieć wspólnego z wypadkiem Bularskiej?

- Jak to? Nie słyszałeś, że w szkole zaczął straszyć duch Nikodema?

Roześmiałem się.

- Moda na duchy. Niedawno widziałem jednego na zamku w Melsztynie. A co do Susuła... to faktycznie coś bredził.

- Nie bredził, ale dokładnie opowiedział. Zresztą Susuł nigdy nie zmyśla, ma na to za mało fantazji. Pamiętaj, że został wtedy sam. Benon zamknął go w szkole, w schowku pod schodami na piętrze. Szkoła opustoszała, zapanowała głęboka cisza, a on wciąż jeszcze tam siedział... I wtedy w tej ciszy usłyszał pukanie i coś jakby chrzęst kości... Cały czas coś go straszycyło.

- Najlepszy dowód, że to bujda - odparłem. - Jeśli duch Nikodema miałby kogoś postraszyć, to chyba właśnie Benona, a nie Susuła. Susuł nic nie zawinił Nikodemowi.

- Nie znam się na tych sprawach - powiedział Sykuś. - Ale ty się nie śmieję, bo nie tylko Susuł słyszał. Jeśli chcesz wiedzieć, to cała nasza klasa słyszała ducha Nikodema w tym gabinecie, tu, gdzie właśnie stoimy...

- Nie pamiętam.

- Bo ciebie nie było tego dnia w szkole, ale ty słyszałaś, prawda? - Sykuś zwrócił się do Patrycji. Skinęła poważnie głową.

- Tak, słyszałam ciche pukanie. Pani Szycka też słyszała i nawet zapytała, kto puka. A Zośka pobiegła do drzwi i otworzyła je, ale tam nie było nikogo. Cały korytarz był pusty. Ale to nie pukało w drzwi. To pukało gdzieś w ścianę...

- Nie opowiadajcie głupstw.

- Kiedy tak naparawdę było... A woźna Bularska dawno już mówiła: „To wszystko dlatego, że uczniaki znów się rozpuścili i duch Nikodema nie może tego znieść, więc ich straszy zza grobu”.

A wtedy, co tę nogę skrzyła, to właśnie szła po schodach na górę i usłyszała to pukanie i jakieś dziwne odgłosy, jakby ktoś kołatką drewnianą uderzył, i dlatego się przestraszyła, omal nie spadła ze schodów i nogę skrzyła. Jeszcze teraz utyka i zrobiła się nerwowa.

- Bzdura - powiedziałem - woźna Bularska zawsze była nerwowa. Od naszego krzyku. I teraz ma różne przewidzenia. Ludzie nerwowi często tak mają. Mojej cioci to stale się tak zdaje, że telefon dzwoni. Biegnie do aparatu, podnosi słuchawkę, woła „halo”. A tam nikt się nie odzywa. To dlatego, że była kiedyś telefonistką i ma zszarpane nerwy. Zamiast powtarzać bajki o duchu Nikodema, pomyślmy lepiej, co zrobić.

- Trzeba złapać złodzieja - powiedział Sykucki.. -Ale tak?

- Mam pomysł - wycedził. - Złodziej zakrada się tu w jakiś tajemniczy sposób w każdy wtorek i piątek po naszych lekcjach. Powinniśmy zostać po lekcjach, schować się w gabinecie i czekać, kto przyjdzie.

- On ma rację - poparła Sykusia Patrycja. - To prosty sposób. Szkoda, że nam od razu nie przyszedł do głowy. W piątek zrobimy zasadzkę. Tylko nikomu ani słowa, bo spłoszycie złodzieja i wszystko na nic.

Po lekcji zoologii w piątek marudziliśmy długo w gabinecie udając, że sprzątamy.

Wreszcie wszyscy wyszli, zostało nas troje: ja, Sykucki i Patrycja. Niezwłocznie przystąpiliśmy do dzieła. Wszystko już mieliśmy obmyślane z góry. Najpierw zdjęliśmy pokrowiec z jednego z dwu ludzkich szkieletów, które stały w kącie gabinetu. Obnażony szkielet schowaliśmy za szafę, a pokrowiec naciągnęliśmy na prezeskę. Miała udawać zasłonięty eksponat. Trochę była za gruba jak na szkielet w pokrowcu, ale Sykuś orzekł, że to nic nie szkodzi.

- Nawet przyjemniej wygląda - zauważył - całkiem miły kościotrup; największą wadą kościotrupów jest to, że są zbyt chude.

Załatwiwszy w ten sposób Patrycję, teraz sami z kolei zajęliśmy zaplanowane pozycje. Ja wlałem pod stolik z terrarium i zasłoniłem się rozłożystym filodendronem, a Sykuś wdrapał się na szafę z książkami, owinał jakąś skórą, nakrył rogami i udawał jelenia.

Czekaliśmy niecierpliwie, z bijącymi nerwowo sercami. Nie wytrzymałobyśmy chyba długo w tych niewygodnych pozycjach, na szczęście nie upłynęło nawet pięć minut, kiedy ktoś ostrożnie nacisnął klamkę... Zastygłem w napięciu. Drzwi zaskrzypiały leciutko i do gabinetu wszedł... Michał z ósmej!

Z wrażenia o mało co nie rąbnąłem głową w akwarium. Coś takiego? Nigdy bym się nie spodziewał. Czyżby sławny wódz Piratów kradł zaby?

Wstrzymałem oddech i patrzyłem na niego oszołomiony. Mina intruza nie wróżyła nic dobrego, mało powiedzieć, że była to mina posępna - to była mina zaiste grobowa. Westchnął ciężko, widąc te ohydne kradzieże musiały poważnie obciążać jego sumienie.

Jednak, ku mojemu zdumieniu, nie skierował się do terrarium, ale wprost do szkieletów. Wyciągnął ręce, znów je opuścił, westchnął i wreszcie zaczął ściągać pokrowiec z pierwszego szkieletu. Nagle szkielet poruszył się niespokojnie.

Michał zbladł... cofnął się o krok. Przetarł oczy, jakby nie dowierzał.

- O rany! Co to? - wybełkotał. - Zdawało mi się chyba.

- Nie zdawało ci się. Stój i nie ruszaj się. Jesteś w naszych rękach - przemówił szkielet, po czym sam ściągnął z siebie pokrowiec i oczom osłupiałego Michała ukazała się Patrycja we własnej osobie.

- Zwariowałaś! - wyjąkał. - Czemu udajesz szkielet? Co to właściwie ma znaczyć?

- To ja chciałam ciebie zapytać - zachrypięła swym grubym głosem prezeska. - Czego tu szukasz o tej porze? Żab pewnie, co? Przyznaj się, przyszedłeś po żaby!

Zbliżała się do Michała z pięściami. Michał cofnął się wystraszony.

- Ja? Po żaby? Z tobą naprawdę jest niedobrze. A to co takiego! - wykrzyknął nagle. - Jeleń na szafie? Skąd się tam wziął?... Rusza się... Co tu się wyprawia? Nic nie rozumiem...

- Zaraz wszystko zrozumiesz, łotrze, opravco żab! - krzyknęła prezeska.

- Daj mi spokój, Patrycjo - rozległ się nagle głos z szafy. Michał ze zdumienia wytrzeszczył oczy. W pierwszej chwili musiało mu się zdawać, że to jeleń przemówił.

- Ja bardzo przepraszam... ale co, u licha, znaczy ta cała maskarada?

- Nic, stary - zeskoczył z szafy Sykucki - tylko ktoś kradnie nam żaby. W każdy wtorek i piątek po jednej. Chcieliśmy złapać złodzieja na gorącym uczynku.

- I myśleliście, że to ja? - wykrztusił Michał.

- To po co tu przyszedłeś? - zasapała Patrycja.

- Ja... nic... po prostu przyszedłem - mieszał się coraz bardziej Michał.

- Nie wiesz? - wysunąłem głowę spod terrarium. - On tu przychodzi popatrzeć na szkielety.

- I ty tu jeszcze, Bum? - jęknął Michał. - Ilu tu was jeszcze jest schowanych?

- Już więcej nie ma - odparłem. - On przychodzi patrzeć się na szkielety - powtórzyłem do Patrycji. - Beksa mi mówił, a Beksie Majta. Majta widział na własne oczy...

- Patrzeć na szkielety - zadrwiła Patrycja. - Po co?

- Ja... wiesz... tak sobie... To... to dobrze robi na samopoczucie. - Michał zaczerwienił się. - Jak mi jest smutno, zawsze tu przychodzę.

- I to pomaga?

- Pomaga. Zaraz robi mi się weselej.

- Że to nie twój szkielet?

- Jemu się robi weselej, kiedy pomyśli, że to szkielet Benona - uśmiechnął się złośliwie Sykucki.

- Daj spokój, też masz żarty, aż ciarki człowieka przechodzą. A ty uciekaj, Michał - zwróciłem się do smętnego admirała Piratów. - Dzisiaj się nie będziesz mógł pocieszyć. Gabinet zajęty. Robimy akcję.

- Już się pocieszyłem - uśmiechnął się kwaśno Michał. - Patrzenie na idiotów zawsze mnie pociesza.

- No, no, bratku! - krzyknęliśmy urażeni. Ale Michał wycofał się już z gabinetu.

- On nie mógł w zeszły piątek ukraść żaby, choćby z tego powodu, że przecież cała ich klasa była wtedy na wycieczce w Krakowie. Wrócili dopiero w niedzielę wieczorem - powiedziałem.

- No to co robimy?

- Nic, trzeba czatować dalej. Włóż z powrotem pokrowiec, Patrycjo, i ustaw się.

- Ja już nie chcę. Tu strasznie duszno.

- Ja się z nią mogę zamienić - powiedział Sykucki.

- Dobra - rzekłem. - Ale pod warunkiem, że Patrycja będzie jeleniem.

- Zgoda. Będę jeleniem.

Wciągnęliśmy więc pokrowiec na Sykuckiego, potem pomogłem Patrycji wejść na szafę. Ledwie sam zdążyłem ulokować się pod terrarium, kiedy usłyszałem skrzypienie drzwi... Nie do wiary, jak człowiek prędko oswaja się choćby z najdziwniejszą sytuacją. Tym razem nawet serce mi nie podskoczyło. Po prostu z zimną krwią patrzyłem, kto wejdzie.

W drzwiach ukazało się najpierw ucho dość okazałych rozmiarów, a następnie wsunęła się mała trójkątna twarzyczka... w której poznałem oblicze niejakiego Światka Dauera, zwanego Stawonogi-

em albo Uszatkiem, osobnika, który mimo niepozornego wyglądu zdążył się już zapisać rozmaitymi wyczynami w kronikach Niekłaja. Czyżby teraz objawił się światu w nowej postaci - amatora żab?

Rozglądał się przez chwilę, potem podszedł do szafy. Nagle wzrok jego padł na gablotę z żabami. Zrobił krok w jej kierunku. Przez chwilę przypatrywał się żabom, potem wyciągnął rękę.

Wtedy Sykucki nie wytrzymał nerwowo i zaczął iść w stronę intruza, a raczej deptać małymi kroczkami, ponieważ pokrowiec krępował mu ruchy. Świątek usłyszał szmer, obejrzał się i, ku swojemu przerażeniu, zobaczył, że szkielec w pokrowcu sunie w jego stronę. Jednocześnie jeleń na szafie poruszył się jak żywy. Tego było już za wiele! Nieszczęsny chłopiec wydał pełen przerażenia okrzyk i rzucił się do ucieczki.

- Łapcie go! - krzyknął Sykucki.

Zataczając się na nogach począł zdzierać z siebie pokrowiec. Ten jednak nie chciał mu przejść przez głowę, widać o coś zahaczył.

Nie mieliśmy jednak czasu pospieszyć mu z pomocą. Pobiegliśmy za Świątkiem.

Kiedy byłem na korytarzu, usłyszałem za sobą brzęk szkła i straszny łomot.

Ciarki mnie przeszły! To pewnie Sykucki rozwalił terrarium. Ale biegłem dalej. Patrycja za mną. Złapaliśmy Stawonoga na końcu korytarza, gdyż boczne drzwi, przez które chciał wybiec, okazały się zamknięte.

Wzięliśmy go pod ręce i bez słowa sprowadziliśmy z powrotem do gabinetu.

Tutaj oczom naszym przedstawił się żaloszny widok. Sykucki leżał na ziemi, wciąż jeszcze nie mógł się wyzwolić z pokrowca, i bezradnie poruszał odnóżami w powietrzu, podobny do chrząszcza przewróconego na grzbiet. Obok kłębiły się pająki. A więc na szczęście terrarium ocalało! Stłukł się tylko słój z pająkami.

Postawiliśmy Świątka w kącie i czym prędzej pozbieraliśmy pająki, wsadziliśmy je do nowego słoja, a potem uwolniliśmy ledwie żywego Sykuckiego z pokrowca.

Następnie zwróciliśmy się do Świątka, który wystraszony trząsł się w kącie.

- Po co były ci potrzebne żaby?

- Żaby...?

- Kradłeś do jedzenia czy do zabawy?

- Ja... kraść żaby?! Co wy! Ja przyszedłem zajrzeć do książki o małpach.

- Po co?

- Rozwiązuję krzyżówkę, a tam napisano: „Małpiatka żyjąca w zaroślach na Madagaskarze”. Chodzi mi o nazwę tej małpiatki.

- Nie wykręcaj się! - krzyknęła Patrycja. - Widziałam przecież wyraźnie, jak wyciągałeś łapę do naszych żab. Po to właśnie się zaczailiśmy, żeby cię złapać na gorącym uczynku. To ty kradniesz nasze żaby!

- Skądże znowu! - wykrztusił przerażony Świątek. - Zauważyłem tylko, że coś się poruszyło w gablocie z żabami, i wyciągnąłem rękę, żeby się przekonać, czy żaba mnie widzi i czy reaguje na ruch. Zresztą zapomnieliście, że ja sam przyniosłem wam jedną z tych żab. O, tę żabę śmieszkę, czyli wesoluchę, złapałem na bagnie. I tego jeża też przyniosłem... A wy z takimi podejrzeniami! Co za niewdzięczność! - westchnął rozżalony.

Zrobiło nam się głupio.

- To prawda, że on przyniósł wesoluchę i jeża - powiedziałem. - Dajcie mu spokój... To musi być ktoś inny.

- Ale kto? - zapytała Patrycja.

- Musimy czyhać dalej.

- Czy ja też mogę czyhać? - zapytał Świątek.

- Dobra, czyhaj!

Zanim jednak zdołaliśmy zająć pozycję do czyhania, usłyszeliśmy głośnie kroki i podniesione kobiece głosy.

Do gabinetu weszła pani Szycka, a za nią woźna Bularska.

- Cały czas krzyki, hałasy i gonitwy! - skarżyła się woźna. - Zamiast iść do domu albo do świetlicy, melinę sobie z gabinetu zrobili. Jeszcze, nie daj Boże, co stłuką i znowu będzie. Odkąd nieboszczka Nikodema zabrakło, świec Panie Boże nad jego duszą, rady sobie dać nie można.

- Rzeczywiście - przytaknęła ostro pani Szycka. - Co wy tu robicie o tej porze? Pracę w kółku zaczynamy przecież dopiero o piątej. Marsz mi zaraz na obiad. Prawdziwi biolodzy powinni wied-

zić, że odżywianie się jest podstawowym warunkiem życia... zwłaszcza jeśli ktoś wygląda tak żałośnie, jak ty, mój chłopcze - spojrzała z troską na chuderlawą postać Światka.

- Kiedy my... - chciałem powiedzieć o żabach, ale ugryzłem się w język. Nie miałem odwagi...

- No, już was nie ma! Zmiatajcie szybko! - powiedziała niecierpliwie pani Szycka. - Niech pani zamknie gabinet na klucz i nikogo nie wpuszcza aż do godziny piątej - zwróciła się do woźnej.

- Proszę pani... - zasapała Patrycja - a... a czy mogę przynajmniej sprawdzić, czy drzwi na balkon i okna są zamknięte?

Pani Szycka spojrzała na nią zdziwiona.

- Cóż to za nagle zapobiegliwość... No dobrze, sprawdź.

Patrycja pobiegła do drzwi i okien.

- W porządku - powiedziała.

Ale w jej głosie nie było wcale pewności. Bo i ona, i my wiedzieliśmy dobrze, że przecież i przedtem okna i drzwi były zamknięte, a jednak...

Kiedy pani Szycka wyszła, Sykucki zwrócił się do woźnej:

- Proszę pani, jeszcze jedno: ile jest kluczy do tego gabinetu?

Bularska zmarszczyła brwi.

- Dwa - odparła.

- I oba ma pani u siebie?

- Tak.

- I nikomu pani nie daje, tylko nauczycielom i nam z kółka siódmej klasy?

- Nikomu. Przecież w tym miesiącu tylko wasze kółko ma zajmować się gabinetem. Tak jest powiedziane.

- A czy naprawdę słyszała pani ducha Nikodema?

- Nie żartuj z nieboszczyka, bo ci język struchleje - pogroziła mu palcem Bularska. Wypchnęła nas z gabinetu i zamknęła drzwi na klucz.

Kiedy o piątej wróciliśmy do gabinetu, jeden rzut oka na gablotę przekonał nas, że i ty razem złodziej nie próżnował. Zniknęła żaba śmieszka, czyli wesołuszka...

Z całego zbioru pozostały tylko dwie ropuchy i pospolita żaba trawna. Gdyby mogły mówić! Ale one tylko patrzyły na nas nieruchomymi wylupiastymi oczyma, senne i odrętwiałe.

Nawet nie chciało nam się szukać. Wiedzieliśmy z góry, że to daremne.

Patrzyliśmy tępo w podłogę i milczeliśmy. Niepojęty spryt złodzieja przygłębił nas całkowicie.

Wreszcie odezwał się Sykucki:

- Nie możemy złapać złodzieja, bo on ma pomysł i sposób, a my nie mamy ani pomysłu, ani sposobu. Pozostaje już tylko jedno wyjście: oddać sprawę w ręce zawodowego detektywa.

- Zaraz - wykrzyknęła Patrycja. - A nasz Zenon Bum?! - Przecież my mamy znakomitego detektywa. Zenon, co tak oklapłeś? Prawie cię nie słychać. Rusz no głową! Wszyscy pamiętają, jak złapałeś złodzieja w Ustce i jak wspaniale spisałeś się w melsztyńskiej sprawie. Pisali o tobie w gazetach!...

- Daj spokój, Pat, nie wierz w to, co wypisują dziennikarze! - zaczerwieniłem się.

- No, no, nie bądź taki skromny. Nikt nie potrafił rozwiązać zagadki ginących kostiumów, dopiero ty... Aż dziw, że nie zająłeś się porządnie naszą żabią sprawą. Wiem, że to głupia afery w porównaniu z tamtymi i nie da ci takiej satysfakcji, ale to jest nasze zmartwienie, w naszej szkole, nas dotyczy, powinieneś więc poczuwać się... i w ogóle.

To była ostatnia chwila, żeby wymigać się pod jakimkolwiek pretekstem, wymyślić jakieś przekonywujące kłamstewko (bo w prawdę by nie uwierzyli) i dać dyla, ale zgaپیłem się i zacząłem się głupio tłumaczyć:

- Przecież byłem z wami, asystowałem...

- Właśnie, asystowałeś tylko, a tu nie chodzi o asystę - ucięła ostro Patrycja.

- Chodzi o pomysł i sposób! Pod tym względem zgadzam się zupełnie z Sykuckim.

Powinieneś włączyć swój szósty zmysł, przeczyścić detektywistyczny nos, wykorzystać swój niębotyczny iloraz inteligencji i wziąć się z sercem za sprawę. W końcu jesteś w zarządzie koła, a to do czegoś zobowiązuje.

- Tak jest! - włączył się Sykuś. - Już dawno złodziej byłby w naszych rękach, gdybyś przyłożył się poważnie do śledztwa i był mniej leniwy, kolego Bum!

- Ależ dajcie mi wytłumaczyć - zajęczałem.
- Nie ma żadnego tłumaczenia! Bierzesz się za robotę!
- Nie możesz nam odmówić!
- Ze zwykłej przyzwoitości.
- Po prostu nie wypada. No, Zenuś, bądź człowiekiem!

Tak osaczyli mnie i nacisnęli, apelując do jaśniejszych zakamarków mojej (mrocznej) duszy i próbując dotrzeć do ludzkich stron mojej (zwierzęcej w zasadzie) natury. W końcu Patrycja powiedziała:

- Niech się dzieje, co chce! Idę do pani Szyckiej, opowiem wszystko i zdam się na jej łaskę. Pewnie zostaną zdjęta ze stanowiska prezesa, ale niech tam... - machnęła ręką, wytarła głośno nos i popatrzyła na mnie bezradnie. Wyglądała żałośnie. Nic nie zostało w niej z ostrej, brutalnej, pewnej siebie dziewczyny.

To mnie rozbroiło. Mam (zgnębłą) słabość do bezradnych dziewczyn.

- Poczekaj trochę z panią Szycką - powiedziałem pochrzając. - Spróbuję pokombinować w tej sprawie. Spotkajmy się o piątej w budzie. Wypełnimy przedtem małe formalności.

- Będą formalności? - Patrycja zmarszczyła czoło.

- Niestety tak, bo nie chcę, żebyście mieli do mnie pretensje, jak mi się nie uda! Jestem przemęczony matką. Łeb mi pęka! Wkuwam dla Podleca. Zapowiedział wielki sprawdzian dla czwororęcznych. Mnie do nich zalicza. Siedzi mi w głowie stu diabełków z młotami pneumatycznymi i kuje. Dlatego niczego nie mogę zagwarantować.

Przyjęli do wiadomości, a mnie, ledwie wyszedłem na ulicę, łeb naprawdę rozbolał.

W co ja się pakuję! Czemu się godzę na tę rolę? Skończy się na tym, że znów będę musiał prosić Eśia o pomoc.

W domu po chudym obiedzie przemyślałem poważnie całą sprawę i doszedłem do wniosku, że prochu nie wymyślę, natomiast przyszło mi do głowy, że tym razem, zamiast kończyć na Eśiu, mógłbym od niego zacząć, nie tracąc przy tym twarzy w oczach Sykuckiego i Patrycji. Kwestia małej... mistyfikacji.

Taaaak - ziewnąłem. - To dobre rozwiązanie. Eśio był wciąż w dobrej formie i sypał pomysłami. Najbardziej kapitalny z nich zgłosił w ostatnich „dniach napięcia”, które co miesiąc występują w naszej rodzinie. Wszyscy wtedy po kolei mają sobie coś do zarzucenia i chodzą naburmuszeni, ale zamiast się wyładować, milczą ponuro i to jest najgorsze!

W związku z tym Eśio zaproponował, żeby jeden pokój przeznaczyć na „izbę ukojenia”. Będzie się tam wsadzać każdego, kto poczuje wzbierającą złość, także tatę i mamę. W pokoju tym będzie dużo przygotowanych przysmaków różnego rodzaju, między innymi: ptysie, eklery, napoleonki i kremówki, a także lody w sześciu smakach i atrakcyjne napoje (z wyjątkiem alkoholowych). Będą tam również półki z setką najtańszych talerzy oraz trzy nadmuchiwane manekiny o wyzywającym, szyderym wyrazie twarzy. Rozłoszczony członek rodziny będzie mógł do woli tłuc te talerze, cisnąć je o podłogę albo w manekiny, aż się zmęczy i poczuje, że złość mu mija. Może wtedy uraczyć się wszystkimi przygotowanymi dla rozłoszczonych smakołykami (dla pewności zaprawionych nerwosolem).

Projekt został przedstawiony na razie tylko tacie, który obiecał, że go przemyśli. To zabrzmiało zachęcająco.

Jeszcze lepiej poszło Eśiowi w szkole. Nadobna Klema (czyli pani dyrektor) przyjęła życzliwie propozycję Emeryka, aby utworzyć biuro pomocy naukowej dla tych, którzy nie nadszają za programem. Eśio był w swoim żywiole i całymi godzinami urzędował teraz w biurze.

Była właśnie godzina czwarta po południu. I wiedziałem, że tam Eśia zastanę.

Udałem się do lewego skrzydła gmachu naszej budy, gdzie była sala muzyczna, czyli, jak mówiliśmy, opera. Tam, w dalekim kącie przy oknach stały cztery stoliki. Na każdym z nich na złożonym w trójkątny rękaw bristolu umieszczono duży napis: Biuro Pomocy Naukowej.

Pomoc obejmowała na razie tylko cztery przedmioty: matkę, biologię, fizę i chemię. Przy każdym stoliku siedział specjalista od danego przedmiotu, co uwidoczniło w osobnych napisach.

Pozostanie dla mnie tajemnicą, jak specjaliści mogli cokolwiek komuś wytłumaczyć w przeraźliwej kakofonii dźwięków różnych instrumentów, od której puchły uszy.

Czyżby nie można było znaleźć w szkole innego miejsca dla tego szacownego biura?

Mojego młodszego brata zauważyłem przy stoliku „fizycznym”. On też miał przy sobie instrument - złocistą trąbkę. Co pewien czas zrywał się od stolika i trąbił, dołączając jasny przejmujący ton trąbki do ogólnej bezładnej wrzawy.

Czyżby dla relaksu? Ęsio ma dziwaczne obyczaje i dawno przestałem próbować wyjaśniać je racjonalnie.

Zadając gwałt uszom musiałem czekać, bo Ęsio załatwiał jakiegoś klienta, dryblasza chyba dwa razy większego od siebie, tłumacząc cierpliwie matołowi drugą zasadę termodynamiki. Kiedy wreszcie matoł spłynął, chciałem przystąpić do rzeczy, ale Emuś powstrzymał mnie:

- Zaraz... dokończę tylko list do urzędu miasta.

- Piszesz do urzędu? - wytrzeszczyłem oczy.

- Dokładnie do burmistrza, żeby nam pozwolono założyć boisko na dzikiej łące pod hałdami.

- Przecież zima się jeszcze nie skończyła.

- Takie sprawy trzeba zaczynać załatwiać w zimie, żeby zdążyli wydać decyzję na wiosnę - westchnął Emuś. - Nie wszystkie urzędy pracują tak szybko, jak nasze biuro.

Kiedy w końcu list był gotowy, podpisany i zaopatrzony w pieczętki, Ęsio, wkładając go do koperty, łaskawie zwrócił na mnie uwagę i zapytał z tym uśmieszkiem, który mnie zawsze tak drażnił:

- Cóż takiego cię do mnie sprowadza? Masz kłopoty z prawem Alcybiadesa jak Sonia w Melszynie?

Przygryzłem wargi i chciałem dać mu małą ścinkę w czołko połączoną z pompowaniem, ale opamiętałem się w ostatniej chwili. W końcu jestem tu nędznym petentem i to ja potrzebuję usługi. Więc udałem, że nie dostrzegam w słowach Emeryka uszczypliwości i powiedziałem:

- Jest głupia afera w budzie, chyba słyszałeś. Ktoś systematycznie kradnie żaby z terrarium w gabinecie przyrodniczym, Ęsiu.

- Obiecałeś! - Emeryk zmarszczył brwi i nastroszył się.

- Tak jest, jesteś Emerykiem... Przepraszam, Emeryku - poprawiłem się i opowiedziałem mu o cudach z ginącymi żabami. - Zniknęło już ponad dwadzieścia egzemplarzy różnych gatunków - zakończyłem. - Dawniej Patrycja pokrywała ubytki żabami, które łowili dla niej członkowie koła, brodząc ofiarnie po mokradłach i różnych wertepach... - urwałem nagle, bo Ęsio zerwał się niespodziewanie, porwał trąbkę i zatrąbił na stojąco, po czym opadł na krzesło i bez słowa wytłumaczenia wrócił do naszej rozmowy. Albo szczeniak jest stuknięty bardziej niż myślałem, albo umyślnie gra mi na nerwach. Ale nie dałem się wyprowadzić z równowagi.

- Jeśli chcesz znać moje zadanie - powiedziałem - to wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia ze złodziejem wewnętrznym, ale nikogo nie udało się przyłapać mimo urządzanych zasadzek. Żaby giną nadal, a nowych nie można dostarczać, bo z powodu zimy zagrzebały się w mule, w opadłych liściach, w ściółce leśnej i śpią odrętwiałe. Rozumiesz...

- Rozumiem - odparł Emuś. - Krótko mówiąc, Patrycja ma kłopot.

- Tak, boi się, że pani Szycka zauważy w końcu ubytki w żabiej kolekcji. Tę sprawę należy szybko wyświecić. Zająłbym się nią osobiście, ale jestem, jak wiesz, w dołku matmy, a moja jedyna szansa, to wygrać ten sprawdzian, który Podlec zapowiedział. Muszę się przygotować. I nie mogę sobie teraz zaprzętać głowy żabami. Ty zrobisz to lepiej i szybciej.

W odpowiedzi Ęsio wydobyl z dużej czarnej teczki mniejszą teczkę czerwoną, jakby mi skądś już znaną.

- Co to jest? - zapytałem, przeczuwając niebezpieczeństwo.

- Nie udawaj, że zapomniałeś - odparł Ęsio, wyciągając z mniejszej teczki plik papierów dużego formatu. - To klasyfikator. - Już powiedziałem ci, że nie możesz liczyć na żadną... hm... współpracę ze mną, dopóki nie podpiszesz się pod dokumentem o klasyfikacji. Sesse i Pfeffe nic ci nie mówią? Sortymenty? Inspiratorzy?

Jęknąłem.

- Czy musimy się w to bawić? - zapytałem płaczliwie. - Mam wziąć udział w tej dziecinadzie?

- Nikt cię nie zmusza; nie chcesz, nie podpisuj, ale osobiście radziłbym ci poskromić swój bimbalizm, przestać kolegować się z Kikutnikami takimi jak Liszeniec i Obraza, i szukać sobie przyjaciół wśród osobników z klasą, zwłaszcza tych sklasyfikowanych jako Sesse.

- Ty oczywiście jesteś Sesse i figurujesz na tej liście - rzekłem z krzywym uśmiechem.

- Nie - odparł spokojnie. - Nie zostałem jeszcze sklasyfikowany.

- A czemóż to? - zapytałem złośliwie. - Masz jakieś nie znane mi grzeszki na sumieniu? Jakieś brudy nie tylko za paznokciem?

- Nie chodzi o grzeszki. Po prostu nie sprawdziłem się jeszcze wystarczająco, nie stanąłem przed próbą, bo prócz zwykłych wymogów kandydat musi jeszcze wykazać się odwagą, a ja nie miałem okazji.

- Spokojna głowa - powiedziałem. - W naszej miejscinie i całej okolicy czeka na ciebie mnóstwo okazji. Tylko że przy tym możesz porządnie oberwać. Weź to pod uwagę.

- Będę się trzymał blisko ciebie. W razie czego liczę na twoją pomoc.

- Chyba przesłyszałem się.

- Nie, usłyszałeś dobrze. Przecież jesteś Sesse.

- Ja?! - zatkało mnie. - Wolne żarty! Emeryk wzruszył ramionkami.

- Tak zostałeś zaszeregowany w kartotece ściśle według klasyfikatora: Sesse, sortyment A!

- Co takiego?! Ja w kartotece? Według klasyfikatora?! Niby z jakiej racji?! - zatrząśłem się.

- Właśnie patrzę - mruknął Emeryk ze wzrokiem wbitym w klasyfikator. - Patrzę i widzę, że masz wcale piękne konto... Nie przeżywałaś Wiktorii bobslejka, kiedy była sparaliżowana i jeździła na wózku, a nawet dwa razy wciągnąłeś ją na trzecie piętro, kiedy winda była zepsuta... Nie boisz sprzeciwić się Benonowi, który robi często obrzydliwe rzeczy! Uratowałaś z łap Koczowników wiewiórkę Kitę i wypuściłeś ją z klatki na wolność. Kiedy Jarkowi Kleptusowi ukradziono łyżwo-rolki, pożyczyłeś mu swoje, bo uznałeś, że on ma większe szanse wygrać i zdobyć puchar dla szkoły...

- Dosyć! - przerwałem czerwony ze wstydu. Smarkacze podglądali mnie i klasyfikowali bezczelnie, choć nikt ich nie upoważnił... - Wymażcie to! Nie życzę sobie! Protestuję!

- Twój protest nic nie znaczy - oznajmił z urzędową powagą Emuś. - Każdy ma prawo oceniać cię i klasyfikować.

- Będziesz inaczej śpiewał, jak ci założę nelsona - zasapałem. - I zrobię ci małe kęsim-kęsim! Dawno już nie ujeżdżałem cię i rozbestwiłeś się na dobre!

- Obiecałeś! - przypomniał groźnie Emeryk.

Zgrzytnąłem zębami.

- Nie potrafię się opanować i dołożę ci.

- Potrafisz i opanujesz się, bo jesteś Sesse - odparł spokojnie Emeryk. - A teraz decyduj się szybko - podsunął mi dokument. - Widzisz, że ludzie czekają.

Rzeczywiście, do smarkacza ustawiła się kolejka i patrzyła na mnie wrogo, że zabieram mu czas...

- Jeszcze cię dopadnę - wykrztusiłem, biorąc długopis do ręki.

- Uspokój się i podpisuj bez gadania albo wynoś się! - zamruczał Emeryk.

- Podpiszę pod jednym warunkiem - wycedziłem. - Na pewno zauważyłeś, że prezes Patrycja Ciapkowska chętnie przebywa w moim towarzystwie, chyba mnie lubi i jest przekonana o moich detektywistycznych talentach i szóstym zmyśle...

- A ty nie chciałbyś jej rozczarować - dokończył Emuś.

- No właśnie, zgadujesz moje myśli, Emusiu.

- Rozczarowanie kogoś jest zawsze smutne - dodał. - Już to przerabialiśmy i uzgodniliśmy w Melsztynie.

- Tak jest... rozczarowanie jest niezdrowe, rzekłbym, moralnie, bo odbiera wiarę...

- W ludzi. Po cóż więc sprawiać zawód tak wspaniałej, tak ufnej i wrażliwej dziewczynie jak Patrycja? - mruzczał Ęsio.

- Otóż to! - podchwyciłem.

- I jaka jest na to rada? - zapytał Emeryk.

- Zebyś zabrał się do śledztwa, ale... - urwałem zakłopotany.

- Ale co?

- Ale jako mój asystent - dodałem cicho. - Jako bardzo zdolny, obiecujący kandydat na detektywa, który właśnie zdaje egzamin praktyczny. Pod moim kierunkiem.

- O, to coś nowego! - uśmiechnął się Ęsio.

- Nie bój się, tak cię tylko przedstawię, ale nie będę się wtrącał do niczego - szepnąłem mu do ucha.

- Wiesz, Zenon, znów mi zaimponowałeś - powiedział Ęsio. - Jaka szkoda, że nie chcesz być inspirowanym! - Masz prawie genialne pomysły. To bardzo ciekawe, co mi proponujesz.

- Więc zgadzasz się?

- Jeśli oddasz mi hełm dobrze wyczyszczony i błyszczący.

- Oczywiście, Emusiu - uśmiechnąłem się miło.

- I... jeśli złożysz swój podpis w klasyfikatorze - dodał.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Nie mogę cię zwolnić z tego obowiązku. Przepisy nie pozwalają.

Złożyłem więc podpis przyrzekając sobie, że jeszcze kiedyś odkuję się na tym męczycyduży. Ęsio wywiesił tabliczkę „Przerwa do godziny dziewiętnastej”, a ja zaprowadziłem go przed główne wejście szkoły, gdzie już czekały na nas władze kółka w osobach Tytusa Sykuckiego i Patrycji Ciapkowskiej.

- Mała zmiana planu - powiedziałem. - To mój brat Emeryk - przedstawiłem Ęsia. - Jest moim asystentem i będzie tu zdawał egzamin praktyczny z kryminalistyki i detektywologii ogólnej.

Emuś przywitał się grzecznie z władzami kółka, po czym od razu wyjął z teczki pół arkusza częściowo zapisanego papieru.

- To jest zobowiązanie. Zajmiemy się przedmiotową sprawą tylko pod warunkiem, że podpiszecie zobowiązanie.

- Jakie znów zobowiązanie?

- Przeczytajcie i podpiszcie - podsunął nam formularz.

Przeczytaliśmy zdumieni.

Przyrzekamy odpowiadać szczerze na wszystkie pytania, które nam zada kol. Emeryk Bum, nie śmiać się, nie przeszkadzać mu w pracy śledczej.

Sykuś i Patrycja spojrzeli na mnie zaskoczeni.

- Podpiszcie - powiedziałem. - Uprzedzałem, że będą małe formalności.

Podpisali i myśleli, że to koniec uciążliwych operacji wstępnych, ale Emeryk zatrzymał ich ostro.

- Jeszcze musicie uiścić opłatę manipulacyjną.

Sykuś i Patrycja znów spojrzeli na mnie.

- Emeryk zaraził się biurokracją, pracując w różnych kółkach naukowych - wyjaśniłem. - Ale to zdolny uczeń mojej szkoły detektywów.

- To ile mamy zapłacić? - westchnął Sykuś.

- Kilową torbę okruchów dla ptaków - rzekł Ęsio.

- Nie jesteśmy przygotowani. Może jutro...

- Dobra, niech będzie jutro - zgodził się Emeryk. - Widzicie, że nie jestem biurokrata. Prawda?

- O, tak... - Patrycja i Sykuś chrząknęli niepewnie - czy to już wszystko?

- Jeszcze tylko przyrzekniecie, że za wykrycie złodzieja uiścicie w ciągu tygodnia honorarium w kasie biura. Dwa kilo makulatury na budowę boiska.

- Przyrzekamy.

- No to możemy iść - powiedział Emeryk.

Woźna Bularska niechętnie wręczyła nam klucze do gabinetu przyrodniczego.

- A ty tu po co strażaku? Nie pali się przecież - spojrzała podejrzliwie na Emeryka i jego wielką tekę.

- Dzisiaj jestem urzędnikiem, proszę pani - oświadczył poważnie Emuś.

- Aha, tylko żebyś nie urzędował zbyt głośno - ostrzegła surowo. - Żadnych krzyków i biegania, bo ja już nie mam nerwów.

- No, wie pani - wyprostował się z godnością.

Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie, wyjął ze swojej teki dużą lupę filatelistyczną i najpierw zabrał się do sprawdzania zamków w drzwiach na korytarz i na balkon oraz okien.

- No tak - powiedział, otrzepując ręce - z zewnątrz nikt nie mógł tu wejść. Zamki są nienaruszone, a drzwi balkonowe zamykają się na zatrask. Można je otworzyć tylko od strony gabinetu. A zatem kradzieży dokonuje tak zwany złodziej domowy.

Mój brat miał rację: złodziej jest tubylcem!

- Może ktoś podrobił klucz - zauważył Sykuś.

Emeryk jeszcze raz obejrzał klucz i potrząsnął stanowczo głową.

- Nie, to jest specjalny klucz. Raczej go trudno podrobić.

- A jeśli złodziej użył wytrycha? - powiedział Sykucki.

- Wątpię - odparł Emeryk - ten zamek jest dość odporny na wytrychy. Zresztą, nie zauważyłem żadnych śladów manipulowania obcym narzędziem... Musimy poszukać innych śladów.

To powiedziawszy zaczął dokładnie obszukiwać cały pokój łącznie z komórką, gdzie był kącik czystości. Zaglądał do gablot, do szaf, a także pod gabloty i pod szafy. Przetrzęsnał każdy kąt. Wreszcie zaczął ostukiwać pięścią ściany.

- Co robisz? - zapytała zdziwiona Patrycja.

- Sprawdzam, czy nie ma tu gdzieś ukrytego wejścia.

- I co?

- Ukrytego wejścia nie ma.

- Więc co w końcu odkryłeś? - zapytał zdenerwowany Sykuś.

- Parę kropel rozlanej wody koło żabiego terrarium. Ale to zrozumiałe Mówiliście przecież, że zginął wam jakiś pusty słoje.

- Myślisz, że złodziej nalewał do tego słoja wodę?

- Tak myślę.

- I wpuszczał tam żabę?

- Być może - mruknął zamyślony Emeryk. - Mówiliście, że we wtorki i piątki macie w tym gabinecie ostatnie lekcje?

- Tak, kończą się o godzinie pierwszej - rzekła Patrycja.

- Czy na tych lekcjach nie zdarzyło się nigdy nic dziwnego?

- Nie... to były zwykłe lekcje - odparła. - Chociaż przypominam sobie - dodała po chwili - że raz zdarzyła się dość śmieszna historia z myszami.

- Z myszami? - zaciekał się Emuś.

- Znaleźliśmy pod stolikiem papierową torbę po cukrze, a w tej torbie dwie nieżywe myszy. Pani Szycka bardzo się zdenerwowała i pytała, kto przyniósł te myszy do szkoły i po co, ale nikt się nie przyznał. Więc pani kazała dać je wężowi do zjedzenia.

- A innych ciekawych wypadków nie było?

- Nie... chyba nie.

- Ejże - zauważył Sykucki. - Zapomniałaś powiedzieć o duchu Nikodema.

- Słyszeliście podczas lekcji ducha Nikodema? - zapytał zmienionym głosem Emeryk.

- To i ty wierzysz w ducha Nikodema? - spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

Emeryk uśmiechnął się pod nosem, ale nie odpowiedział. Przeszedł natomiast jeszcze raz do komórki z umywalnią. Po chwili usłyszeliśmy jego głos:

- Czy myjecie tu po lekcji ręce?

- Nie - odparliśmy.

- Nikt nie myje?

- Nikt... No przecież tak się znowu nie brudzimy.

- Szkoda - westchnął Emeryk - gdybyście się tu myli po lekcjach, żadne wasze żaby by nie zginęły.

- Nie rozumiem...? - uniosłem brwi.

- Potem zrozumiecie, brudasy. A te fartuchy w szafie zawsze tu wiszą?

- Tak.

- Używacie ich w czasie lekcji?

- Nie, wkładamy je tylko wtedy, kiedy po południu pracujemy w kółku.

- Tylko pani Szycka wkłada na początku lekcji fartuch - dodała zawsze skrupulatna Patrycja - i bambosze.

- Po co - zapytał Emeryk.

- Bo w gabinecie jest dość chłodno i pani Szycka marznie.

- Kto chowa ten fartuch i bambosze z powrotem do szafy?

- Chłopcy.

- Zaraz po lekcji?

- Tak, zaraz po lekcji.

- To doskonale - powiedział zadowolony Emeryk.

- Co doskonale? - zdziwiła się znowu Patrycja.

- Bo sprawa jest wyjaśniona.
- Wyjaśniona? Jak to? - spojrzeliśmy na niego z niedowierzaniem.
- Po prostu wyjaśniona.
- Chcesz powiedzieć, że wiesz już, kto kradnie żaby?
- Właśnie.
- I wiesz, dlaczego?
- Chyba tak.
- No, więc kto? - zapytaliśmy z narastającym podnieceniem.
- Chłopcy z waszej klasy.
- A którzy chłopcy?
- Najpierw ja was jeszcze o coś zapytam. Prawda, że fartuchy i bambosze pani Szyckiej chowają po lekcji stale ci sami chłopcy?
- Skąd wiesz? - wykrzyknęliśmy.
- Domyśliłem się. Jak się nazywają ci chłopcy?
- Krapulski i Bączek.
- Ach, Krapul i Bączek! - rozjaśnił się Emeryk. - To by się zgadzało. Spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni.
- Chcesz powiedzieć, że... że to oni właśnie... te żaby... - wyjąkałem.
- Nie inaczej.
- Ale w jaki sposób? - wykrzyknąłem. - Przecież gabinet jest zamknięty na klucz! I sam powiedziałeś, że tu nikt nie może wejść!
- A po co miałyby wchodzić? Nie musi - uśmiechnął się Emuś.
- Nie rozumiem! Gadajże szybko po ludzku!
- Nie musi wchodzić... przecież wystarczy zostać - wycodził flegmatycznie.
- Zostać?
- Zostać po lekcji. Właśnie Krapul i Bączek zostawali. Dlatego żaby znikają zawsze wtedy, kiedy mieliście lekcję biologii. We wtorki i piątki. Spojrzeliśmy na Emeryka oniemiała.
- Przecież myśmy wychodzili zawsze ostatni, bo porządkowaliśmy stoliki, i nigdy nie widzieliśmy, żeby Krapul i Bączek zostali. Dlaczego ich nie widzieliśmy? - pytała Patrycja.
- Bo oni się kryli.
- Gdzie?
- Właśnie to było najważniejsze pytanie - powiedział Emeryk - najważniejsze i najtrudniejsze... No, bo przecież nie wystarczyło zostać po lekcjach, trzeba się było jeszcze schować, i to tak, żeby nikt nie widział. Ale jak i gdzie? We właściwym gabinecie zostawaliście przecież wy, żeby robić porządek, więc gabinet jako kryjówka odpadał. Pozostawała tylko ta komórka, tylko ten kącik czystości, z szafą i umywalnią, odgradzony od właściwego gabinetu kotarą. Patrzcie! - Emeryk wszedł do szafy i zakrył się fartuchami. - Prawda, że nic mnie nie widać? Nawet gdyby ktoś otworzył szafę.
- Podeszliśmy blisko, odemknęliśmy szafę. Rzeczywiście nic nie było widać. Emuś zadowolony wyszedł z szafy i wyjaśniał dalej swoje zdumiewające odkrycie:
- Jednej rzeczy tylko mogli się obawiać. Że to wzbudzi podejrzenie, jak oni po każdej lekcji pójda do umywalki, tym bardziej że, jak wiecie, obaj panowie nie grzeszą zbyt zamięłowaniem do czystości i zdradzają zasadniczy wstręt do szcotołki i mydła. Krapul wymyślił więc sposób, żeby jego mały spacer do kącika czystości nie wydał się podejrzały. Nie darmo nazywają go Ekspertem.
- Co za sposób?
- Bardzo sprytny... i łatwy zarazem. Po prostu pewnego dnia zaofiarował się, że będzie wraz z Bączkiem odnosił fartuch i bambosze pani Szyckiej do szafy. Powinniście chyba pamiętać...
- Spojrzeliśmy z podziwem na Emeryka.
- Tak... to prawda - powiedziała Patrycja - pamiętam dobrze ten dzień, kiedy oni nagle się zaofiarowali... Pani Szycka była bardzo zaskoczona i my też. No, bo żeby Krapul i Bączek zdobyli się na taką uprzejmość, to do nich nie pasowało.
- Ale zgodziła się?
- No, pewnie. Była nawet bardzo wzruszona tą ich uczynnością.

- Więc oni odnosili i odtąd wchodzili bez niczyich podejrzeń i na oczach wszystkich za kotarę - ciągnął Emeryk. - Ale czy kto z was widział, żeby stamtąd wychodzili?

- Ja nie - odparłem.

- Ja też nie - mruknął wciąż jeszcze oszołomiony Sykuś.

- Kto by tam patrzył - wzruszyła ramionami Patrycja - byliśmy przecież zajęci... i nigdy by nam do głowy nie przyszło, że oni stamtąd nie wychodzą.

- Właśnie - powiedział Emeryk. - Ale to im się tylko dlatego tak łatwo udawało, ponieważ nie myliście rąk. Bo gdybyście zaraz po lekcji biegli do umywalni, to im już trudniej byłoby się chować w szafie albo w ogóle by się nie odważyli i żaby pewnie by ocalały. A tak bez żadnych przeszkód się chowali i ukryci za fartuchami spokojnie czekali, aż wyjdziecie z gabinetu i zamkniecie drzwi na klucz. Potem bezpiecznie wylazili, zabierając kolejną ofiarę z zabiej gabloty, pakowali ją do słoja z wodą...

- Dlaczego z wodą?

- Bo woda też im była potrzebna.

- Do czego?

- Potem się sami domyślicie... Więc zabierali żabę, otwierali drzwi na balkon, zatrzaskiwali je i nie było już po nich ani śladu.

- Ale co robili z tą żabą na balkonie?

- Na balkonie nic. Co mieli robić na balkonie - uśmiechnął się tajemniczo Emuś. - Ale chyba pamiętacie, co się znajduje przy balkonie.

- Drabinka kominiarska! - wykrzyknąłem.

- Myślisz, że oni schodzili po niej? - zapytał podniecony Sykucki.

- Raczej wspinali się - rzekł spokojnie Emeryk. - Wiecie przecież, co tam jest w górze?

- No, dach - odparł zdziwiony Sykuś.

- A w dachu? - pytał dalej Emeryk.

- W dachu? Co może być w dachu? Nic.

- Ech, gapy, fajtlapy, nie znacie własnej szkoły - zakpił Emeryk. - Macie tu przecież fotografię szkoły od strony boiska. Przyjrzyjcie się dobrze - pokazał - tu jest nasz balkon, a nad balkonem?...

- Okienko w dachu! - szepnął Sykuś.

- No właśnie - odetchnął Emeryk. - Do tego okienka można się dostać po drabince kominiarskiej. To jest okienko od małej izdebki na strychu. Nazywają ją „gołębnikiem”.

- Prawda! - przypomniał sobie Sykuś. - Ale nie wiedziałem, że ono jest akurat nad balkonem gabinetu.

- Byłem tam w jesieni - ciągnął Emeryk - z sierżantem Żółwikiem, wiecie, wtedy po pożarze u Morocha, kiedy sprawdzaliśmy porządki na strychach. Dawniej, jeszcze przed pierwszą wojną, zamykano tam uczniów za karę. Teraz nikt tam nie wchodzi. Gołębnik służy za skład zapasowej dachówki. Ale to przytulna izdebka. I ciepła, bo komin grzeje. Od strony strychu jest zamknięta na wielką zardzewiałą kłódkę, można się jednak dostać do niej po drabince, bo okienko ma zepsutą zasuwkę.

- I ty myślisz, że oni tam właśnie z tą żabą...

- Ale po co, u licha! - wykrzyknęli Sykuś i Patrycja, zaintrygowani.

- To jest właśnie zagadka - powiedział Emeryk - ale mam pewne podejrzenie... Pewność nawet...

- Powiedz!

- Sami zgadnijcie.

Spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Nic mądrego jakoś nie przychodziło im do głowy.

- Nie zgadniemy chyba - powiedziała Patrycja.

- Nie szkodzi. To przecież łatwo zobaczyć - uśmiechnął się Emuś. - Idziemy!

To mówiąc otworzył drzwi na balkon. Wyszliśmy po kolei.

- Idź pierwszy - Emuś popchnął mnie do drabiny - tylko cicho... cichuteńko.

Począłem ostrożnie wspinać się po drabinie. Reszta towarzystwa drapała się za mną. Nagle zastygliśmy nieruchomo. Z góry dobiegł nas jakiś dziwny dźwięk. Ni to klaskanie, ni głos drewnianej kołatki, ale bardzo dźwięcznej. A potem wyraźny stukot.

- Duch Nikodema! - szepnęła struchlała Patrycja.

- Idziemy dalej! - popędził nas Emeryk.

Czułem, że nogi mi dygoczą, ale dzielnie ruszyłem w górę. Wkrótce osiągnąłem poziom dachu i okienka. Było uchylone, ale zakryte od wewnątrz kawałkiem starej ceraty, zza której prześwitywało słabe światelko. Zawahałem się...

- No, śmiało - szepnął Emeryk - zaraz zobaczymy ducha Nikodema.

Z bijącym sercem uchyliłem bezszelestnie ceratę i z wrażenia omal nie spadłem z drabiny.

Przy ścianie izdebki stał na jednej nodze... bocian i uderzał niecierpliwie dziobem w drewnianą belkę. Koło ptaka klęczał Krapul we własnej osobie i oglądał mu uważnie skrzydło. Obok siedział Bączek. Na kolanach trzymał słój z wodą, w której pływała nasza nieszczęsna wesołucha.

- Chyba będzie mógł latać. Po kontuzji ani śladu - mruknął zadowolony Krapul.

Puścił skrzydło ptaka, poklepał go po grzbiecie i skinął na Bączka.

- Daj mu teraz kolację.

Bączek pospiesznie podsunął słój bocianowi.

- Nasza żaba! - krzyknąłem, pchnąłem okienko i jednym susem wskoczyłem do izdebki. Ale było już za późno. Bocian jednym sprawnym ruchem dzioba pochwycił ofiarę i biedna wesołucha zniknęła nagle w jego zachłannej gardzieli.

Krapul i Bączek przerażeni zerwali się na równe nogi.

- Kto to?!

- Urzędowa inspekcja - rozległ się za moimi plecami głos Emeryka - w sprawie ducha Nikodema.

- Tu nie ma żadnego ducha Nikodema - wykrztusił Krapul.

- Widzę właśnie - powiedział spokojnie Emeryk - jest za to pan na długich nogach. Skąd go wzięliście?

- Znaleźliśmy.

- Znaleźliśmy na bagnie, przy strumieniu w olszynach.

- Dawno?

- Jeszcze w listopadzie. Był ledwie żywy, na pół przemarznięty... i miał kontuzję skrzydła. Więc go zabraliśmy.

- Ale dlaczego tutaj?

- A gdzie? Szukaliśmy dla niego odpowiedniego miejsca, żeby mógł spokojnie przezimować. To miejsce wydało nam się najlepsze.

- Dlaczego nikomu nic nie powiedzieliście?

Krapul wzruszył ramionami. Powoli dochodził do siebie.

- Co mieliśmy mówić - odparł hardo. - To był przecież nasz bocian.

- Sprawy bocianów należą z urzędu do kółka przyrodniczego - powiedział oficjalnym tonem Emeryk - powinniście byli wiedzieć.

- Tak, żeby go nam zabrali. Nie chcieliśmy, żeby ktoś o nim wiedział... My sami umiemy się troszczyć o ptaka. Co, Wojtek, może ci źle było? - poklepał ptaka po skrzydłach.

Bocian zaklekotał radośnie.

- Pewnie, co mu miało być źle - zasapała Patrycja - wypaś się na naszych szkolnych żabach!

Krapul chrząknął strapiiony.

- Nie dało się inaczej. Z początku karmiliśmy go myszami, ale wyłapaliśmy wszystkie do szczętu i byliśmy w kropce.

- Zresztą, Wojtkowi myszy nie odpowiadały. On woli żaby - pociągnął nosem Bączek.

- Myszy są niezdrowe dla bociana - dodał z przekonaniem Krapul.

- Akurat to nieprawda - powiedział Emeryk - ale w tej chwili to nieważne. Musimy spisać protokół.

- Co? Jaki protokół? - zaniepokoił się Bączek.

- W sprawie kradzieży żab.

- Nie... ty... daj spokój... Co tam żaby. Bociany są ważniejsze! Ich jest mało i znajdują się pod ochroną.

- Kradzież jest kradzieżą. Co innego, gdybyście powiedzieli, ale tak...

- Nie... nie... bracie, tylko bez protokołów - zdenerwował się Krapul. - Załatwmy to jakoś... Jak tylko żaby się przebudzą, nałapiemy wam, ile zechcecie. Zwrócimy... Tylko żeby się pani Szycka nie dowiedziała.

- Boicie się?

- Kto się nie boi pani Szyckiej? - westchnął Krapul. - Ona nie rozumie, ona nigdy nie miała bociana... Wy też nie rozumiecie. Czy widzieliście kiedy głodnego bociana, i do tego sierotę? Kiedy przychodziliśmy do niego, tak się cieszył, klekotał, stukał nas dziobem. Nie mogliśmy przychodzić do niego z pustymi rękami. Wy byście też ze skóry wyłazili, żeby przynieść mu żabę. No, spójrzcie na niego... Czy jest wspanialszy ptak na świecie?

Popatrzyliśmy na boćka i chrząknęliśmy niepewnie. To prawda. Wspaniały ptak. Nic dziwnego, że potrafił zmiękczyć nawet takiego Krapula.

- On już niedługo odleci - powiedział Bączek.

- Wkrótce będą jego imieniny i wtedy postanowiliśmy go wypuścić. Urządzimy mu uroczysty odlot.

- Wątpię, czy odleci - powiedział Sykucki. - Jest w złej kondycji. Całą zimę nie latał. Musi najpierw potrenować.

- No, to będzie trenował - powiedział Krapul - dopuszczę was do spółki, całe wasze kółko, i będziemy trenować go razem, tylko załatwcie z tymi żabami, jak gramatykę Kocham! - mrugnął do nas chytrze okiem.

- Chcesz przekupić urzędnika? - zmarszczył brwi Emeryk. - Nic z tego. Urzędowe pismo do pani Szyckiej musi pójść. Ale nie bój się.

- Myślisz, że rozumie?

- Jakoś jej wytłumaczymy, żeby się nie gniewała. Mamy wprawę! Nie takie sprawy już się załatwiało - powiedział Emeryk, zamykając teczkę. - No, czas na mnie - uściśnął wszystkim ręce. - A pamiętajcie, że mam u was dwa kilo makulatury plus opłata manipulacyjna. Cześć!

Pożegnanie z Grynderem

Chociaż od początku żywiłem niejasne obawy, iż przez nienasyconą aktywność Czajduszy popadnę w tarapaty, to jednak, gdy owego pamiętnego majowego dnia powiedział: „zagospodarujemy staw”, doznałem poważnego wstrząsu.

- Co powiedziałeś? - wykrztusiłem, łudząc się jeszcze, że uległem omamom słuchowym na skutek ostatnich przejść psychicznych i wyczerpania nerwowego.

Czajdusza uśmiechnął się pod swoim garbatym nosem, zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa wywołały, przeczyścił okulary chusteczką i wycedził flegmatycznie:

- Tak jest, chłopaki. Zagospodarujemy staw! Drużyna uzyskała zgodę Urzędu Miasta. Od dziś stajemy się drużyną rybacką. Oczyszczymy śluzy, przetrzebimy trzciny i wpuścimy do stawu narybek. Będziemy mieli ryby. Prócz tego w zimie - ślizgawkę. Zmontujemy także przystań kajakową i będziemy urządzać regaty... Niewykluczone także kąpiele i zawody pływackie, o ile uda nam się odmulić nieco staw... Oczywiście, musicie najpierw przegłosować. Gdyby wam nie odpowiadało...

Nie dali mu dokończyć. Naturalnie, wszystkim odpowiadało. Podniósł się radosny harmider. Wszystkich ogarnął szalony entuzjazm.

Przez moment siedziałem zupełnie oszołomiony. To nawet dobrze, bo byłbym się wygłupił jakimś beznadziejnym protestem. A tak zdołałem przyjść nieco do siebie.

Prawda, że nieobliczalny pomysł

Czajduszy stawiał mnie w głupiej i drażliwej sytuacji, i zmuszał do podjęcia kłopotliwej decyzji, którą chciałem odwlec, ale może z tym stawem to dopiero plany i w ogóle nic pilnego, a z planami, wiadomo, różnie bywa. Postanowiłem więc wybadać Czajduszę.

- To świetny pomysł - powiedziałem. - W sam raz na Akacje.

- Wakacje?! - zarzął Czajdusza. - Nic podobnego. Musimy natychmiast przystąpić do roboty. Trzeba wam wiedzieć, że o ten staw starał się również dyrektor Ośrodka Doświadczalnego z Kikutów Wielkich, no, ale staw jest na gruntach Dłubkowa i dlatego przyznano go nam, harcerzom z Dłubkowa. Z tym, że musimy natychmiast wziąć się do roboty. Inaczej odbiorą nam i oddadzą temu zachłannemu dyrektorowi.

Nie byłoby żartowania" - pomyślałem przygnębiony, a głośno zauważyłem:

- Robimy przecież teraz kajak. Czy nie za dużo tego dobrego?

- Kajak zrobimy swoją drogą - odparł bez troski Czajdusza. - Drugi zastęp nam pomoże.

Postanowiłem ostudzić trochę jego entuzjazm.?

- Przypuszczam, że wiesz, dlaczego czcigodne prezydium tak chętnie pozbyło się tego stawu?

- No... spodobał im się nasz pomysł. Przewodniczący powiedział, że miło mu poprzec aktywność młodzieży, jest zresztą członkiem Koła Przyjaciół Harcerstwa.

- Naiwny jesteś, Czajdusza - uśmiechnąłem się krzywo. - Ojcowie miasta dlatego tak chętnie pozbyli się stawu, bo to jest pechowy staw. naprawdę nic nie słyszeliście o tym? Niemożliwe! Chłopcy popatrzyli na siebie nieco zdezorientowani.

- Ty na pewno musiałeś coś słyszeć, Słodyszek - zwróciłem się do tęgiego, flegmatycznego chłopaka, którego ojciec, jak wiedziałem był znakomitym wędkarzem.

Słodyszek poczerwieniał i zmieszał się nieco.

- Nic takiego nie słyszałem, tylko... - zawahał się.

- Tylko co? - naciskałem.

- Tylko tatuś mówił, że w stawie nie trzymają się ryby.

- No, proszę! - potoczyłem triumfalnie wzrokiem po izbie - oto zdanie wytrawnego wędkarza: „W stawie nie trzymają się ryby”.

Czajdusza chrząknął niecierpliwie.

- To dlatego, że staw jest zaniedbany. Ryba wymaga fachowej opieki. A właściwie nie rozumiem, co ty masz przeciw stawowi.

- Ja? Zupełnie nic - powiedziałem oglądając sobie paznokcie. - Mam tylko nadzieję, że przedtem przejdziemy mały kurs...

- Nie bój się! Pan Rzeżucha z ośrodka w Kikutach udzieli nam wskazówek.

- To świetnie, Czajdusza - uśmiechnąłem się - tylko że ja nie to miałem na myśli.

- A co?

- Mały kurs dzudo.

Czajdusza wytrzeszczył oczy.

- Nie bardzo cię rozumiem, Zenek.

- Więc nie załatwiłeś dzudo? - zapytałem ostro.

- No... nie... Po co?

- Ale chyba załatwiłeś w takim razie w PZU.

- Załatwiłem w UM.

- Mówię wyraźnie: w PZU. Słyszałeś chyba o Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń? Tam się ubezpiecza. Ubezpieczyłeś?

- Co miałbym ubezpieczyć?

- No... nasze zęby.

- E, żarty sobie stroisz - zdenerwował się Czajdusza.

- Bynajmniej. W okolicy stawu zdarzały się ostatnio nieszczęśliwe wypadki. Nie wiem, czy słyszeliście, że działają tam Kikutnicy - powiedziałem poważnie.

- Kikutnicy działają nad rzeką - mruknął Czajdusza - to jest ich najdalszy zasięg.

- Mylisz się. Niektórzy Kikutnicy działają już w rejonie stawu. Są na to dowody. Bardzo przykre dowody - dodałem ponuro.

Wzmianka o Kikutnikach nieco poskutkowała. Wiadomo było, że co złe, to z Kikutów. A już najgorsi - tamtejsi chuligani. Zapanowała nieprzyjemna cisza. Postanowiłem energicznie kontynuować natarcie. Wzrok mój padł na anemicznego chudeusza z szóstej, nawiasem mówiąc mojego młodszego brata Emeryka, którego ostatnio przezwano Szpinakiem, ponieważ w szkole należał do szpinakowatych, to jest tych, którzy otrzymywali do obiadu osobne porcje szpinaku, przeciw anemii.

- Słuchaj no, Emuś - powiedziałem - zdaje się, że widziałem w zeszłym miesiącu, jak z niewyraźną miną wracałeś chyłkiem znad stawu.

Emeryk wzdrygnął się, jakby przyłapany na gorącym uczynku.

- No to co, że wracałem?

- Mnie nie chodzi o to, że wracałeś, tylko że miałeś niewyraźną minę. Czy przypadkiem coś ci się nie przydarzyło?

Emuś poprawił sobie nerwowo kołnierzyk koszuli, a potem wyjąkał wstydliwie:

- Widziałem trupa.

- Co takiego?! - wykrzyknął Czajdusza. - Nie opowiadaj bajd!

- Ja... ja naprawdę... Byłem tam razem z Krzymusiem i w trzinach zobaczyliśmy trupa. Miał marynarkę w kratkę...

- Krzymuś, czy to prawda? - przerwał mu Czajdusza.

Krzymuś odchrząknął przejęty.

- Tak. To był jakiś nieświeży trup. Głowę miał napęczniałą jak balon i całą czarną. Leżał w bagnie przy stawie. Na pół utopiony.

- No i co? - zdenerwował się Czajdusza.

- No i nic... ode... odeszliśmy sobie - bąknął Krzymuś.

- Nie zawiadomiliście policji?

- My nie, ale pan Piotrowski zawiadomił. To nasz sąsiad. On też poszedł tam kiedyś na spacer z narzeczoną i omal nie potknął się o trupa. Oboje bardzo się przestraszyli i pobiegli na policję. Policja poszła tam z psem, ale już nic nie znalazła, tylko kapelusz dziwnego fasonu, jakiego nikt nie nosi w okolicy... Babcia mówi, że to musieli być bardzo starzy topielcy. Może jeszcze sprzed wojny. Bagno konserwuje. I oni raz wypływają, to znowu grzęzną, bo bagno się rusza jak ciasto, a oni, ci topielcy znaczą się, jak rodzynki w tym cieście...

Wszystkim zrobiło się bardzo niedobrze.

- Przestań, duży chłopak, a takie bzdury wygaduje - oburzył się Czajdusza i skrzywił z niesmakiem.

- Ja przecież nic... tylko babcia...

- Dosyc.

- Tak jest, druhu - Krzymuś pociągnął nosem i usiadł odprowadzony współczującym wzrokiem kolegów.

Teraz już nie wątpię, że barwna relacja obu chłopców przesądzi ostatecznie losy „drużyny rybackiej”. Przez dłuższą chwilę wszyscy siedzieli porażeni.

Pierwszy odezwał się Słodyszek.

- Po tym, co usłyszeliśmy, mnie się zdaje... - zaczął łamiącym się z emocji głosem.

- Skończmy już tę dyskusję - przerwał mu zniecierpliwiony Czajdusza.

- On właśnie chce zakończyć i wyciągnąć ostateczny wniosek - wziętem w obronę Słodyszka. - Daj mu się wypowiedzieć!

- Czy chcesz wyciągnąć ostateczny wniosek? - zwrócił się do Słodyszka wyraźnie skwaszony Czajdusza.

- Tak, chcę wyciągnąć.

- No, to wyciągaj, tylko szybko.

- Mnie się zdaje - chrząknął Słodyszek - że... eee... to jest w dechę.

- Co w dechę? - zapytałem krótko i niespokojnie.

- No, wszystko.

- Co wszystko? - zapytałem bardzo już niespokojnie.

- No, że tam są ci... to-topielcy i węże, i Kikutnicy, i w ogóle... Nareszcie coś ciekawego w Dłubkowie - oblizał wargi.

Oślupiałem. Ale nim zdołałem coś powiedzieć, już podniósł się mój młodszy brat Emeryk i wyjąkał:

- Tak, to będzie ra-raczej pa-pa-pasjonujące.

- Eee-emocjonujące - zabrzączał lekko zębami Kwiczół.

- Po-podniecające! Odprężające! Przygodowe! Naukowe! Wyczynowe! - podniosły się zewsząd głosy. I wszystkim zaświeciły się oczy.

Patrzyłem na nich z obrzydzeniem.

- Czajdusza, zrób coś! Powiedz im! Widzisz, że smarkacze podniecają się niezdrowo!

Czajdusza potrząsnął stanowczo kudłatym łbem.

- Nie mogę tłumić entuzjazmu.

- To jest chorobliwe zaczadzenie brudną sensacją.

- Nie, to odwaga. Oni chcą pokazać, że są dzielni, że nie zastraszą ich węże, topielcy i Kikutnicy.

I słusznie - Czajdusza wyprostował się z godnością - harcerz jest odważny.

- Ależ to jest po prostu ciekawość. Niezdrowa ciekawość.

- Mylisz się. I stwierdzam, że odstajesz od zespołu, Zenku. Pamiętaj, że harcerz chce wiedzieć więcej, niż wie...

Dałem za wygraną. Ręce mi opadły. Było jasne, że sam Czajdusza uległ niebezpiecznemu zaczadzeniu i że popełniłem niewybaczalny błąd, próbując ich zastraszyć. W rezultacie przybliżyłem tylko niebezpieczeństwo. Zaraz bowiem podniosły się okrzyki:

- Chłopaki, walmy obejrzyć ten staw!
- Tak jest! Czajdusza, prowadź, bracie! Nad staw!
- Mała wycieczka dobrze nam zrobi!
- Marynujemy się! Grunt to świeże powietrze!

Roznamiętnieni, z wypiekami na twarzy, bojowo zaczęli naciskać Czajduszę.

Czajdusza spojrział na zegarek.

- To daleko... kilometr drogi, nie wiem, czy... - zawahał się. - Ale właściwie dobrze byłoby rozejrzeć się wstępnie w sytuacji. Zresztą i tak musimy pobrać próbki wody.

- Jakie znów próbki? - zapytałem.

- Dla biologa. Pan Piecha powiedział, żebyśmy mu dostarczyli kilka próbek wody ze stawu, zanim będziemy zarybiać, bo trzeba zbadać, czy nie ma tam fenolu i czy mikroflora jest właściwa. Dobra jest! Idziemy - zdecydował się nagle.

Przerażony rozpaczliwie szukałem sposobów, żeby ich powstrzymać od fatalnego zamiaru.

- Nie możecie iść... - wybelkotałem-tam są... tam są dzikie gęsi.

- To świetnie - zapalił się z miejsca Kwiczół - można by zapolować!

- Protestuję! Harcerz jest przyjacielem przyrody.

- To nie wolno polować?

- Nie wolno - oświadczyłem kategorycznie. - Albo się jest przyjacielem przyrody, albo jej oprawcą. Czajdusza, wyjaśnij.

Czajdusza spojrział na mnie ciężkim wzrokiem spod szkieł.

- Nie jestem pewien. Muszę spytać druha hufcowego, jak jest właściwie z polowaniem. Gdyby nie było wolno, musielibyśmy podjąć walkę z kołem łowieckim w Panwi...

- Ja widziałem, że u druha hufcowego wisiał przed sylwestrem zajęc w oknie. Zastrzelony - oświadczył Kwiczół.

Czajdusza chrząknął zakłopotany.

- Musiałbym się poradzić... W każdym razie, to ładnie, Zenek, że dbasz o przyrodę - zwrócił się do mnie. - Nie bój się, dzisiaj nie będziemy polować. Zresztą wydaje mi się, że teraz jest czas ochronny na dzikie gęsi...

- To na razie moglibyśmy je tylko podglądać - upierał się Kwiczół.

- To jest zabronione. Nie słyszałeś, że jest czas ochronny? Gęsi teraz siedzą na jajkach. Jak gęś siedzi na jajkach, nie wolno jej podglądać, bo to ją denerwuje i takie zdenerwowanie gęsi może się fatalnie odbić na potomstwie. Ile razy mam ci powtarzać, zakuta pało: harcerz jest przyjacielem przyrody.

- Tak, ale poznaje jej piękno i tajemnice.

- Chodzi ci o piękno gęsi?

- W każdym razie o tajemnice.

Nasza dysputa w tym żalonym stylu trwała jeszcze pewien czas, wreszcie pojąłem, że nie ma co liczyć na szlachetne uczucia zastępy względem gęsi wysiadujących jaja, przynajmniej do czasu zasięgnięcia przez Czajduszę miarodajnych opinii w przedmiocie tego punktu prawa. Tym bardziej, że ten zajęc w oknie druha hufcowego bardzo mi zaszkodził. Sięgnąłem więc po ostatni argument.

- No, więc dobrze, brykajcie nad staw. Tyle wam tylko jeszcze powiem, że właśnie przyszły deski do salonu drzewnego. Jeśli natychmiast ich nie odbierzemy, budowa kajaka leży na całym. Pamiętajcie o Braciach Wiekuiстых!

Z ulgą stwierdziłem, że ta wiadomość zrobiła właściwe wrażenie na zastępie rybaczym. Na dźwięk słów „deski” i „Bracia Wiekuiścici” wszyscy znieruchomieli jak zakłęci. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że aczkolwiek elegancki sklep drzewny był dumą Dłubkowa (ostatnio uzyskał estetyczne umeblowanie z tworzyw sztucznych, dywan z folii, stojaki z polichlorku winylu oraz żardyniery winidurowe z plastikowymi kwiatami, w związku z czym właśnie przemianowano go na „salon”), to jednak zwykła deska była tam równie rzadkim zjawiskiem, jak ananasy w naszych delikatesach. Co gorsze, na każdy transport desek rzucali się zachłanni Bracia Wiekuiścici.

Podjeździeliśmy, że dysponują oni stałym wywiadem, a nadto mają swą wtyczkę wśród personele salonu, nie mówiąc już o tym, że cieszą się specjalnymi względami z racji swej publicznej uży-

teczności. Firma ich bowiem wyrabiała pewien artykuł niezbędnej, a niekiedy wręcz pierwszej potrzeby, a mianowicie - trumny.

Dlatego moja wiadomość zrobiła tak duże wrażenie na zastępie i uruchomiła natychmiast niespożyta energię Czajduszy.

- Chłopaki, biegnijmy do salonu! - zawołał. - Wyrwać z rąk trumniarzy deski to naczelne zadanie chwili.

Już byłem pewien, że sprawa stawu została chwilowo odroczone, gdy nagle Czajdusza zreflektował się:

- Wszyscy nie muszą biec! Grunt to podział pracy, panowie. Po czym, odzyskując swą niepospolitą przytomność umysłu, zadysponował krótko:

- Kwiczoł i Słodyszek zrobią miejsce w szopie. Krzymuś sprowadzi riksę, a ty, Zenek, i Emeryk pobierzecie próbki wody ze stawu. Najlepiej koło półwyspu. Nie możemy odkładać tej pracy. Pan Piecha chciał mieć na jutro te próbki. Cześć!

Zatkało mnie w pierwszej chwili.

- Ja mogę pobrać, ale Emeryk? Dlaczego Emeryk? Ja sam potrafię.

Niestety, Czajdusza wybiegł już z izby na swoich szczudłowatych nogach, wydając dźwięki właściwe ptakom brodzącym. Rzuciłem się za nim.

- Ależ zaczekaj, wariacie!

- Czuuuwaj, Zeeenek! - obejrzał się tylko i pognał.

Nie było sensu go gonić, miałem za krótkie nogi. Zresztą, czy zmieniłby decyzję?

Był pod tym względem więcej niż uparty.

Kiedy reszta chłopaków ulotniła się, spojrzałem ze złością na Emeryka. Szczeniak wydawał się nieco zakłopotany funkcją, która na niego spadła, ale próbował robić dobrą minę, a nawet uśmiechnąć się do mnie.

Bardzo to mnie zdenerwowało.

- Te, Szpinak, przestań się zgrywać i słuchaj...

- Nie jestem już Szpinak - przerwał mi i przygryzł wargi. - Mam dobre analizy. Nie wierzysz, to mogę ci pokazać - sięgnął do kieszeni.

- Dobra jest, nie musisz się legitymować - mruknąłem. - Słuchaj no, Szpinak, to jest... Emuś, możesz biec z nimi po te deski. Ja sam załatwię próbki.

- Dziękuję ci - cholerny Ęsio wyprostował się z godnością. - Jesteś bardzo uczynny, ale nie musisz się poświęcać.

- No, no, stary, nie bądź taki honorowy. Wiem, że miałeś ochotę pobiec za Czajdusza.

- Mylisz się, Zenonie Bum - oświadczył Ęsio oficjalnym tonem - od początku miałem ochotę pójść nad staw.

- Co takiego?

- Słyszałeś chyba, że nazwałem ten projekt pasjonującym. Zmierzyłem go ciężkim wzrokiem.

- Powiedziałem, nie zgrywaj się! To nie są żarty. Zeszłej niedzieli ukąsił mnie tam padalec w goleń i zatrul mnie jadem. Ledwie się dowlokłem do domu, taki byłem zatruty. Szczęście, że był to mały padalec i że udało mi się wyssać część jadu, bo już by Bracia Wiekuiści brali mnie do przymiaraki. Chcesz zobaczyć? Wciąż jeszcze mam ślad - podciągnąłem nogawkę.

Emuś nie zdradził jednak objawów lęku ani nawet większego zainteresowania.

- Musiałeś się pomylić. To był chyba komar. Padalce nie są jadowite.

Spojrzałem na niego ze wstrętem. Szczeniak był obkuty w zoologii. Nie znosiłem przemądrzałych, obkutyh szczeniaków. Mimo to dla celów taktycznych przemogłem ów naturalny wstręt i z fałszywym uśmiechem przygarnąłem go serdecznie ramieniem.

- Słuchaj, Emuś - powiedziałem pieszczotliwie. - Dlaczego jesteś taki uparty? Może ty się boisz, że...

- Ja niczego się nie boję - zapewnił mnie pospiesznie.

- Oczywiście. Nie to miałem na myśli - zapewniłem go równie pospiesznie. - Tylko że ty się może boisz, żebym ja nie pomyślał, że się boisz, i dlatego...

- Dlaczego miałbyś pomyśleć? - naburmuszył się Emeryk.

- Ponieważ w zeszłym miesiącu widziałem, jak wyrzywałeś zdrowo znad stawu, wydając przy tym z paszczy dźwięki, których nawet przy największej życzliwości dla ciebie nie mógłbym nazwać bojowymi.

Ęsio posiniał wyraźnie, a jego trójkątna twarz wydłużyła się niezmiernie.

- Naprawdę widziałeś? - wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

- Widziałem, ale słowo daję, teraz już wierzę, że nie jesteś Szpinak i że się nie boisz. Nie musisz mi udowadniać.

- Naprawdę wierzysz?

- Niech mnie Bracia Wiekuiści meblują, jeśli nie wierzę.

Emuś westchnął.

- Dziękuję ci, Zenku, że wierzysz, ale widzisz... ja sam jeszcze niezupełnie... to znaczy... uwierzyłbym, gdyby... no, sam rozumiesz, że muszę... osobiście...

- Wystarczy - wyciągnąłem chusteczkę i wytarłem dokładnie nos, co mi się zdarzało tylko w chwilach zupełnej rezygnacji. Znałem te historie. Jeśli tak sprawy stoją, to za nic nie uda mi się odciągnąć bębna od stawu. On musi pójść! To sprawa klasyfikacji.

- Kiedy chcesz pójść? - zapytałem przygnębiony, spoglądając na zegarek.

Emuś również spojrzął na zegarek.

- Za godzinę i trzynaście minut - określił precyzyjnie.

- Dlaczego dopiero za godzinę? Nie możesz teraz? - Pomyślałem, że gdybyśmy już teraz szybko załatwili naszą sprawę nad stawem, to może ominęłaby mnie przykrość, ale Ęsio potrząsnął stanowczo głową.

- Teraz nie mogę. Dopiero za godzinę i trzynaście, a raczej za dwanaście minut, bo minuta już upłynęła.

- Dlaczego akurat za godzinę i dwanaście minut?

- Bo wtedy mam okienko.

- Jakie okienko, do stu buble?!

- W czasie. Teraz muszę pędzić na angielski.

- A nie możesz wybrać się wieczorem? Na przykład o siódmej?

- Nie. Wtedy odrabiam matkę. Do siódmej trzydzieści pięć. A potem histę do ósmej zero zero. Potem jem kolację... A potem już będzie ciemno, więc rozumiesz...

- Rozumiem - przygryzłem wargi. - Jesteś uregulowany.

Spojrzałem na niego ze wzmocnionym wstrętem. Jeśli szczeniak jest tak uregulowany, no to sprawa wygląda beznadziejnie. Rozpaczliwie zastanawiałem się, co da się jeszcze zrobić. Nic się nie dało. Wyjście było tylko jedno. Już od miesiąca wiedziałem przecież, że będę musiał to zrobić.

Przygotowałem nawet specjalną deklarację na piśmie w tym przedmiocie. Nosiłem ją w kieszeni, by we właściwym momencie zrobić z niej użytek, ale wciąż brakowało mi odwagi. Czy dzisiaj potrafię? Należałoby „rzucić kości”, jak mówił Juliusz Cezar. Czy będę Cezarem?

- Co ci jest? - zapytał wystraszony Emuś.

- Nic, zastanawiałem się, czy będę Cezarem - odburknąłem.

Emuś spojrzął na mnie podejrzliwie.

- Jesteś chory?

- Nie, tylko... przykro mi, Emusiu, ale wobec tego, że tak u ciebie stoją sprawy z czasem, będziesz musiał iść sam, bo ja za godzinę i dwanaście minut...

- Za godzinę i dziewięć minut - poprawił mnie Emuś, spoglądając na zegarek.

- Za godzinę i dziewięć minut - powtórzyłem - będę bardzo zajęty. Dlatego będziesz musiał pójść sam.

- Sam? - Emerykowi znów twarz się wyraźnie wydłużyła. - Czajdusza mówił, żeby pobrać wodę koło jakiegoś półwyspu. Nie wiem, czy trafię. Tam wszystko tak zarośnięte, zupełnie nic nie widać.

- Tak, musisz koło półwyspu - mruknąłem rozdrażniony. - W innym miejscu nie dobrniesz do wody. Trzciny i bagno. Ugrzęźniesz.

- Czy ja tam trafię? - przygryzł wargi i patrzył na mnie wyczekująco. - Zupełnie nie wiem...

- Ja też nie wiem. Co się tak gapisz!

- Ja... już nic - chciał odejść.

- Czekaj! - zatrzymałem go i nerwowo zacząłem grzebać w kieszeniach. Znalazłem wreszcie kawałek ołówka i kartkę papieru. - Narysuję ci, jak masz iść. Popatrz, tu odchodzi od drogi ścieżka. Potem dojdiesz do tej uschniętej wierzby i zaczniesz tędy okrążyć staw. Trzymaj!

Emeryk schwycił kartkę.

- Wiedziałem - uśmiechnął się do mnie. - Jesteś przecież Sesse...

- Och, daj mi spokój i spływaj! - przerwałem mu ostro. Emeryk pobiegł.

Odprowadziłem go ponurym wzrokiem. „Pierwsza kość została rzucona - pomyślałem - ale co będzie dalej?” Od pewnego czasu moje życie uległo przykryj komplikacji. Rzecz w tym, że stałem się dwulicowy i prowadziłem podwójną grę. Coś w tym rodzaju jak nasz sąsiad, pan Bedłka, ze spółdzielni szewców i cholewkarzy „Solidność”, który prowadził podwójną buchalterie i teraz ma przykrość w sądzie z powodu tej podwójności.

Cała ta historia zaczęła się jeszcze w lutym, kiedy na stawie pękały lody.

Dostałem wtedy na lekcji polskiego „bombę” od pani Dzwonkowskiej. Odesłała mnie do domu i kazała przyjść z ojcem. Muszę od razu zaznaczyć, że padłem ofiarą nadzwyczajnej niesprawiedliwości. Czy warto było bowiem robić tyle zamieszania tylko z tego powodu, że ukłułem strzykawką lekarską Pleksika w pewną, dobrze zresztą umięśnioną, okolice ciała? Co prawda, ukłucia tego dokonałem w momencie dość specjalnym, a mianowicie, gdy Krzymuś deklamował Odeę do młodości, i pani Dzwonkowska uznała krzyk Pleksika za profanację Ody, a mój czyn za przykład zwyrodnienia młodzieży. Na próżno tłumaczyłem, że nie mam osobiście nic przeciwko Odzie i Adamowi Mickiewiczowi, i że chodziło po prostu o zakład.

Mianowicie Pleksik założył się ze mną, że wytrzyma ukłucie igły w wiadome, dobrze umięśnione miejsce, wychodząc z założenia, że miejsce to znosiło już nieraz o wiele gorsze próby. No cóż, nie wytrzymał.

Niestety, tłumaczenie to jakoś nie zainteresowało pani Dzwonkowskiej. Bardzo ją natomiast zainteresowało, dlaczego przyniosłem do szkoły strzykawkę. Rzecz jasna, na to pytanie nie mogłem udzielić zadowalającej odpowiedzi. Dlaczego przyniosłem strzykawkę? A co miałem przynieść? Każdy coś przynosi do szkoły. Trzeba by od razu zapytać, po co Kobuz przyniósł do szkoły mysz, po co Czubkówna przyniosła aparat do łapania oczek, a Słodyszek elektryczną maszynkę do golenia. Każdy coś przynosi do szkoły, więc ja przyniosłem strzykawkę, bo moja mama jest pielęgniarzką.

Tak więc poczułem się głęboko i niesprawiedliwie dotknięty przez panią Dzwonkowską. To straszne, jak pedagodzy mało dbają o wrażliwe nerwy młodzieży.

Och, zawiodłem się na pani Dzwonkowskiej. Czy musiała się obejść ze mną tak niedelikatnie? Czy nie mogła załatwić tej sprawy z pomocą pedagogicznej łyzy?

Gdyby stanęła przede mną bezbronna, a po jej steranej twarzy spłynęłaby duża, ciężka, nauczycielska łza, z pewnością wrzuciłbym się i skruszył. Trudno mi wprawdzie udzielić stuprocentowej gwarancji, mimo to jednak pani Dzwonkowska powinna była najpierw spróbować cichej łyzy. A tu od razu - od zwyrodnialców... i żebym nie wracał bez ojca. To ostatnie było oczywiście niemożliwe, ale trudno mi było wytłumaczyć pani Dzwonkowskiej... No bo jak można komuś wytłumaczyć, że nasza rodzina jest doskonała i takie rzeczy, jak „bomba” z polskiego i sprowadzenie ojca do szkoły, w ogóle nie mogą się u nas zdarzyć.

Roztrzęsiony nerwowo i ogólnie rozgoryczony na ludzi i świat odczułem potrzebę głębokiego zaszycia się w miejsce smutne i odludne, pasujące do mojego roztrzęsienia i rozgoryczenia. Udałem się więc nad staw.

Tu jednak spotkało mnie zrazu małe rozczarowanie. Tego południa staw nie był zupełnie bezludny. Zastałem tam już dwu osobników mniej więcej w moim wieku.

Jeden był krępej, silnej budowy, w kusej wiatrówce, bardzo przyszczaty i kudłaty, drugi - draęał o dziewczęcej cerze, wystrojony w wytworną ortalionową kurtkę.

Tego drugiego nawet znałem trochę z międzyszkolnych zawodów w koszykówce.

Wiedziałem, że nazywa się Ireneusz Liszeniec i że jego ojciec jest dyrektorem Doświadczalnego Ośrodka Rolnictwa PAN w Kikutach Wielkich. Obaj z równie ponurymi, jak znudzonymi minami ćwiczyli skoki przez szczeliny w lodzie.

Normalnie wołałbym zejść im z oczu. Nie miałem zbyt dobrego wyobrażenia o chłopakach z Kikutów. Owego dnia jednak moje nadzwyczajne rozgoryczenie domagało się rozładowania. Nie tylko więc nie zszedłem im z oczu, ale zdjąwszy płaszcz ulepiłem spokojnie dwie ciężkie kule z mokrego śniegu, a następnie wycelowałem je po kolei w głowy znudzonych osobników.

Oba pociski ugodziły celnie. Oszołomieni Kikutnicy wydali gniewny okrzyk, ściągnęli z siebie kurtki i rzucili się w moją stronę. Przez kilka minut polowaliśmy wzajemnie na siebie, buszując wśród martwych trzciny, suchego sitowia i bezlistnych kęp wikliny, potem gonitwa przeniosła się na

pękający lód. Moje rozgoryczenie i ich gniew wypaliły się szybko i rozładowały, a jedyna zacieklność, jaka nam pozostała, to zacieklność zabawy, szalonej gonitwy i skoków po luźnych, chyboczących się krach.

Ten karkołomny popis został uwieńczony wspólną i nie zaplanowaną kąpielą w lodowatej wodzie tudzież wzajemną akcją ratunkową. Na szczęście zostały na brzegu nasze wierzchnie okrycia, a w nich zapalki. Sytuacja nie wyglądała więc zbyt tragicznie. Resztę dnia spędziliśmy na suszeniu odzieży przy ognisku i wymianie poglądów na tematy zasadnicze. Przy okazji dowiedziałem się, że ten przyszczaty Kikutnik nazywa się Jeremi Obraza, że jego rodzice są fryzjerami, a on ma zamiar poświęcić się karierze sportowej i specjalizuje się w dżudo jako obiecujący junior klubu LZS. To ostatnie zresztą najmniej mi się spodobało.

Szybko doszliśmy do zgodnego wniosku, że świat (a zwłaszcza Dłubków i Kikuty Wielkie) jest źle urządzone i że prawie dorośli mężczyźni cierpią ucisk, marnując swoje talenty. Przekonałem się przy tym, że moi nowi przyjaciele to bardzo pomysłowi i mądry chłopcy. Oprócz wyżej wspomnianych ogólnych wniosków, umieli wyciągać także bardziej praktyczne i konkretne. Usłyszawszy o nadzwyczajnej niesprawiedliwości, jaka mnie spotkała w szkole, zauważyli od razu, że moja kąpiel w stawie daje mi pewną niezwykłą szansę, którą bezwzględnie powinienem wykorzystać. Zgodziłem się bez wahania. Ireneusz i Jeremi udali się natychmiast do mojego ojca i oświadczyli, że zamierzałem pozbawić się życia, skacząc do przerębli, a powodem tego desperackiego kroku była niesprawiedliwość szkolna. Na szczęście oni byli w pobliżu i mnie uratowali. Oczywiście wobec tak tragicznego zdarzenia sprawa strzykawki od razu przestała się liczyć. Rodzice przyjęli mnie z otwartymi ramionami, a Ireneusz i Jeremi dostali od ojca nagrodę pieniężną, którą się zaraz ze mną sprawiedliwie podzielili. Tak powstał załóżek „funduszu wyzwolenia”. Potem nasza współpraca stała się bardziej ścisła i doprowadziła wkrótce do założenia Związku Wolnych Traperów o bardzo konkretnych już założeniach i planach. Pośród nich czołowe miejsce zajmowała akcja oznaczona kryptonimem „Ucieczka”.

Ucieczka nasza została zaplanowana na koniec czerwca i miała być protestem.

Kategorycznym i zasadniczym.

Każdy z nas miał powody do protestu kategorycznego i zasadniczego. Powodem protestu Jeremiego Obrazy było skandaliczne wprost nieinteresowanie się jego szlachetną osobą i ignorowanie jego bujnej indywidualności przez odpowiedzialne czynniki rodzicielskie, pochłonięte bez reszty zajadłą wojną domową z niejakimi Bulwiciami, okupującymi sąsiednią izbę i zagęszczającymi w sposób równie niesympatyczny, jak niechlujny czcigodną rodzinę Obrazów. Dotychczasowe delikatne formy protestu Jeremiego, jak na przykład pełne samozaparcia powstrzymywanie się od mycia i strzyżenia, czy też żałobne zapuszczanie paznokci, w ogóle nie zostały zauważone, inne zaś, jak zatrucie atmosfery domu produktami desperackich eksperymentów chemicznych, rozkręcenie kranu i zalanie łazienki, pokrywanie ścian niecenzuralnymi napisami oraz wpuszczenie szczura do kuchni, zostały uznane za przejaw pożytecznej bojowej akcji przeciwko ohydnej rodzinie Bulwiciów.

W tej sytuacji Jeremiu opadły ręce, a my po rozpatrzeniu sprawy doszliśmy do wniosku, że ucieczka Jeremiego Obrazy jest nie tylko usprawiedliwiona, ale wręcz konieczna.

Z kolei Ireneusz Liszeniec postanowił zaprotestować przeciwko konieczności noszenia białych kołnierzyków, przeciwko odbieraniu mu prawa brudzenia rąk, rozbijania kolan, płamienia ubrań, nie-odwiedzania ciotki Sabiny, która dręczyła go tortami, nieuczenia się gry na skrzypcach, przeciwko stawianiu mu młodszej siostry za przykład tudzież ogólnie - przeciwko modelowaniu go, modulowaniu i modyfikowaniu przez zachłannych modelatorów, modulatorów i modyfikatorów rodzinnych oraz przeciwko uważaniu go przez czynniki domowe za pępek świata.

Sprawa Ireneusza Liszeńca była więc także stosunkowo prosta, bo kto jak kto, ale Ireneusz Liszeniec miał zasadnicze powody do protestu.

Natomiast jeśli chodzi o mnie, rzecz była nieco bardziej skomplikowana, a motywy mojego protestu nie tak oczywiste. Nie musiałem nosić białych kołnierzyków ani grać na skrzypcach, miałem nie narzucającą się ciotkę oraz znośnych rodziców, którzy przejawiali umiarkowane zainteresowanie moją cenną osobą i nie stawiali mi mojej młodszej siostry za wzór. Nie byliśmy zagęszczeni i mieliśmy normalne mieszkanie, w którym wszystko było na swoim miejscu. Mój ojciec - inżynier - dbał o sprawność techniczną naszych urządzeń domowych, mama - pielęgniarzka - o zdrowie cielesne, a wujek ksiądz i stryjek aktywista troszczyli się, choć nieco z dystansu, lecz pieczołowicie, o

nasz pion moralny. Och, byliśmy szczęśliwą rodziną i wszyscy sąsiedzi uważali nas za wzór doskonałości.

Mimo to myliłby się bardzo ten, kto by sądził, że nie mam powodów do protestu, zważywszy doskonałość naszej rodziny. Choć może się to wydać dziwne, postanowiłem zaprotestować właśnie przeciwko tej doskonałości. Wrodzona aktywność obracała mnie bowiem ku mniej doskonałym stronom życia, gdzie mógłbym coś naprawiać i ulepszać oraz być podziwiany i potrzebny, zaś zupełna doskonałość naszego domu nie dawała mi pola do popisu. Moje nieśmiałe próby wykazania aktywności w pieleszach domowych i najskromniejsze nawet eksperymenty techniczne były z góry skazane na haniebne niepowodzenie. Ojciec był bowiem u nas jedynym majstrem, a na dwu majstrów w domu nie było miejsca. Przekonałem się o tym ostatecznie w związku z eksperymentem podłączenia termoforu babci do piecyka gazowego. Mała eksplozja, która po tym nastąpiła, i lekkie zatrucie domowników gazem oraz pewne obrażenia cielesne, których doznałem, przekreśliły definitywnie moje szanse. Skonfiskowano mi resztę narzędzi, a mnie samego zabandażowano i zapędzono do łóżka. Przez długie tygodnie byłem bandażowany, tak że jedyną umiejętnością techniczną, którą w rezultacie opanowałem, było bandażowanie.

Z tych wszystkich względów postanowiłem zaprotestować. Zdając sobie jednak sprawę, że powody mojego protestu mogą się wydać kolegom I. i J. mało przejrzyste, dość niepojęte, a nawet niedorzeczne, uznałem za celowe stworzyć przekonujący powód, do naszego wewnętrznego użytku. W tym celu wymyśliłem niejakiego Gryndera. Grynder był moim dalekim kuzynem. Miał krzywe nóżki, wydatny brzusek, złote zęby i małe, przenikliwe oczka osadzone pod wypukłym czołem. Oczywiście, czołem wyłysiałym. Z zawodu był iluzjonistą. Występował na estradzie. Zamieszkał u nas w zimie, kiedy był chory i opuszczony, lecz rychło przyszedł do siebie i objął nas w wyłączne posiadanie.

Wtedy przekonaliśmy się, kim naprawdę był Grynder. Był hipnotyzerem i pokątnie trudnił się magią. Matka i ojciec ulegli mu całkowicie i zaspokajali każdą jego zachciankę, a Grynder był bardzo wymagający. Na jego życzenie zaczęły pojawiać się u nas: hawajskie cygara, koniak martel, kawior, ostrygi i szampan. Ponieważ lubił szalowo ubrane kobiety, matka musiała sprawić sobie futro z norek, zagraniczne toalety i olśniewającą biżuterię. By mu dogodzić, ojciec zapracowywał się i rujnował, bo Grynder był nienasycony. Zmusił nas do przemeblowania mieszkania, pomalowania ścian na jaskrawe kolory, kupna puszystych dywanów oraz do spraszania gości na wystawne przyjęcia, bo lubił błyszczeć w towarzystwie i popisywać się swoją magią.

Ja też stałem się ofiarą strasznej przemocy Gryndera. Mnie jednak dręczył nieco inaczej. Przede wszystkim zmuszał do najbardziej uciążliwych posług osobistych.

Co dzień, zniewolony, goliłem go i kąpałem w wannie jego owłosione cielsko, robiłem mu pedicure, lakierowałem paznokcie oraz czyściłem buty. Potem zamykał się ze mną w pokoju, ustawiał mnie pod ścianą i ćwiczył na mnie rzuty nożem, a kiedy się zmęczył, dla odmiany wprawiał się w przekłuwaniu na wylot moich rąk długimi szpilkami. Nic mnie to nie bolało i kiedy rodzice pytali, czy się nie nudzę, odpowiadałem, że jestem zachwycony.

Ale nie to było najgorsze. Niekiedy pozwalał sobie na ohydne żarty. Mówił mi, że jestem psem, a ja chodziłem na czworakach, skomlałem, łasiłem się do niego i lizałem mu ręce, a potem mówił mi, że jestem łotrem, a ja przedrzeźniałem kaleki, wyśmiewałem się ze starców, obrzucałem plugawymi wyrazami przechodniów i robiłem różne, jeszcze gorsze rzeczy, o których wolę nie mówić, zbyt wielki wstręt mnie ogarnia. A kiedy wreszcie znowu stawałem się sobą i odzyskiwałem wolę, Grynder opowiadał mi o wszystkim, co robiłem, i śmiał się ze mnie. A ja skręcałem się z palącego wstydu, a potem w nocy długo nie mogłem zasnąć, gryzłem palce w bezsilnej wściekłości i łkałem z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Te moje ponure opowieści o Grynderze zrobiły wielkie wrażenie na obu kumplach i zapewniły mi zdecydowaną przewagę w Związku Wolnych Traperów, jako że cierpienia żadnego z nich nie mogły się równać z moimi. Niestety, obudziłem w nich także niezdrową ciekawość i ciągle nalegali, bym im pokazał, choć z daleka, Gryndera.

Nie mogłem tego uczynić, ale za to pokazałem im zdjęcie... Wyszukałem je w albumie rodzinnym. Kuzyni nasi nie grzeszyli na ogół pięknnością i jeden z nich, po małym retuszu, nadawał się doskonale.

Zgodziwszy się, że wszyscy trzej mamy powody do protestu kategorycznego i zasadniczego, rozpoczęliśmy bezzwłocznie staranne przygotowania do akcji, która miała być jego wyrazem. Ogłos-

zenia policyjne na temat zaginionych, typu: „wyszedł z domu i nie wrócił...”, artykuły w gazecie o ucieczkach nieletnich obywateli oraz literatura piękna w tym przedmiocie uświadomiły nam w pełni ryzyko, jakie podjęliśmy. Wszystkie opisane tam przypadki kończyły się bądź haniebnie, bądź zgoła tragicznie. Nie chcieliśmy narażać się na schwywanie i kompromitację, toteż wyteżyliśmy cały nasz geniusz, by zmniejszyć ryzyko do minimum. Miała to być ucieczka rozsądna i przemyślana we wszystkich szczegółach.

Wymagało to skupienia wewnętrznego, odosobnienia i ciszy. Do tych celów nadawał się doskonale staw i jego najbliższe okolice. Miejsce było rzadko odwiedzane, ponure i niesympatyczne. Zdarzało się, rzadko co prawda, że zabłąkał się tu jakiś pijak (ci wszędzie trafiają), zapalony wędkarz, wagarujący uczeń czy zakochana para, tych sporadycznych intruzów potrafilśmy jednak płoszyć dość skutecznie. Zadanie ułatwiały nam pokutujące wśród okolicznej ludności bajki o niewyłowionych topielcach, tkwiących od lat w bagnach przy stawie, oraz zabobonny lęk ludu przed niewinnymi padalcami, których żyło tu trochę i których parę okazów hodowaliśmy w słoju na półwyspie, żeby je mieć pod ręką w razie potrzeby...

Należy z przykrością stwierdzić, że te uboczne formy naszej działalności wkrótce przyćmiły istotny cel naszych spotkań. Poczuliśmy się panami stawu i z pilnowania go uczyniliśmy przedmiot samoistnej, w miarę niegodziwej i dość makabrycznej rozrywki. Ustanowiliśmy mianowicie tak zwane prawo stawu. Istotnym jego artykułem był przepis, iż nikt nie może bezkarnie przekroczyć granicy naszego rezerwatu. Każdego, kto by się ośmielił tę granicę naruszyć, czekały zabiegi zniechęcające pierwszego, a w razie potrzeby - także drugiego i trzeciego stopnia.

Najpierw czekały intruza ostrzegawcze tabliczki. Pierwsza z nich miała na celu wyrobienie szacunku dla pozostałych. Głosiła ona, że „przejścia nie ma”, chociaż widać było za nią ślad wydeptanej ścieżki, podsuwający intruzowi myśl, że przejście istnieje, tylko jest zakazane. Wiedzieliśmy, że intruz teraz na pewno będzie usiłował przejść tą ścieżką właśnie dlatego, że jest zakazana. Istotnie, włąził i... wpadał w pułapkę. Po paru krokach grzął po pas w bagnie. Gdy potem natrafił na tabliczkę z trupa główką, ostrzegającą: „Uwaga! Żmije!” albo „Przejście wzbronione! Miny!” czy też „Niebezpieczeństwo! Teren malaryczny!”, miał już przed nimi respekt i wycofywał się przezornie.

Wobec bardziej opornych czy też odpornych stosowaliśmy Juliusza. Juliusz był trupem. Składał się z czarnego balonu od piłki oraz z konstrukcji drucianej, na którą wkładaliśmy odpowiednio dobrane ciuchy. Miał tylko jedną rękę, ale za to jaką! Z prawdziwego wosku, rozczapierzoną dramatycznie. Stanowiła ona były rekwizyt reklamujący manicure w zakładzie fryzjerskim państwa Obrazów i została dostarczona przez Jeremiego. Ręka ta, stercząca z bagna, robiła nawet na najśmielszych duże wrażenie i zniechęcała skutecznie, zwłaszcza pijaków i zakochanych.

Najbardziej uparty okazał się niejaki pan Dorosz, nałogowy wędkarz i samotnik.

Namiętność jego była tak wielka, że zdołał się uodpornić nawet na Juliusza.

Pogodziwszy się z przykrym faktem ciągłego potykania się o topielców i wdeptywania w gniazda padalców, systematycznie w sobotę i w niedzielę po południu okupował nasz półwysep na stawie, jedyne zresztą miejsce, gdzie można zarzucić wędkę bez narażenia się na ugrzęźnięcie po szyję w błocie. Robiliśmy mu różne szczeniackie kawały.

Przybywał zazwyczaj z solidną wałówką, składającą się z pieczonego drobiu, jaj na twardo i ćwiartki chleba. Zarzucał wędkę, a następnie zabierał się ochoczo do konsumpcji. Ledwie jednak związał serwetkę pod brodą i wyjął z teczki nóż, widelec oraz wiktuały - do uszu jego dobiegały z pobliskich zarośli jęki. Zrazu próbował je lekceważyć, jęki jednak przybierały na sile, zmieniały się w podejrzany charkot i rżenie, raz po raz akcentowane zdławionym okrzykiem: „ratunku!” Dorosz nie wytrzymał wreszcie nerwowo i uzbrojony w widelec zaczynał penetrować sąsiednie chaszczce. Jęki oddalały się coraz bardziej, a Dorosz grzął w bagnie. Kiedy, niemiłosiernie uszargany i wyczerpany bezowocnymi poszukiwaniami, powracał w końcu na swoje legowisko, stwierdzał z osłupieniem, że haczyk wędki został odgryziony przez „nieznany gatunek ryby”, a pieczony drób - pożarty przez padalce, które przez ten czas zdążyły się zagnieździć w jego kapeluszu, teczce i marynarce.

Tak więc bawiliśmy się beztrąsko. Grynder, perspektywa niedalekiej ucieczki i przestrzeganie praw „rezerwatu” pochłaniały mnie całkowicie. Zdawało się, że już nic nie zdoła zakłócić naszej podniecającej zabawy, gdy nagle sprawa się na nowo pogmatwała. Z powodu Czajduszy.

Pierwszy zachłysnął się Czajduszą Emeryk. Miesiąc temu, pamiętam, to był piątek, bo jadłem postny barszczyk w stołówce szkolnej, wpadł podniecony Emuś i wykrzyknął:

- Słuchajcie... wszyscy słuchajcie!... Mamy wielkiego inspiratora! - dech mu zapierało z autentycznego uniesienia. - Największego... najwspanialszego... najsilniejszego! Jakiego nikt tu jeszcze nie oglądał... Jest z nami... zamieszkał w Dłubkowie. Inspiruje i imponuje. Potężnie inspirowuje! Czy widzieliście człowieka, który zawsze wygrywa?! I wszystko umie? Pływa, biega, skacze, gra w tenisa i na gitarze, zna chwyt dzudo i sumo, a także kickboxing...

- I oczywiście tańczy jak fordanser - dodałem szyderczo, ale Ęsio odparł poważnie:

- Tak. Może zatańczyć nawet poloneza i makumbę.

No, no, taki wszechstronny człowiek? Słuchałem nieufnie rewelacji Ęsia. To, co mówił o Czajduszy, to właściwa mu przesada. Z pewnością przysłano po prostu jakiegoś młodego, ale cwane go instruktora harcerskiego do imponowania smarkaczom.

Okazało się jednak wkrótce, że w słowach Ęsia przesady było mało. Typ był naprawdę niesamowity. Przetestowali go z bolesnym dla siebie skutkiem Kikutnicy.

Wyczuwając w nim słusznie grożące całej kikuckiej mafii niebezpieczeństwo, postanowili prewencyjnie spuścić mu manto i zasadzili się na niego koło „dzikiego stawu”, przy ścieżce biegnącej od jeziora do miasta. Czajduszą przemierzał tę trasę codziennie, ćwicząc z fąflami „bieg po zdrowie”. Jak opowiedzieli naoczni świadkowie, uporał się z napastnikami sam jeden w ciągu zaledwie piętnastu sekund. Trzech z nich trzeba było zawieźć do szpitala.

Po załatwieniu Kikutników nikt już nie wątpił, że Czajduszą jest wielki i wspaniały. Stał się człowiekiem roku, a fąfle z paczki Ęsia uznały typa jednomyślnie za czołowego inspiratora, co było największym wyróżnieniem z ich strony.

Co do mnie, taki typ jak Czajduszą przygnębiał mnie, uświadomiłem sobie bowiem, jak wielki dystans dzieli nas od siebie. Nigdy mu nie dorównam, był dla mnie niedosiężny i nawet nie marzyłem, by kiedyś słowem odezwał się do mnie. Tym bardziej byłem zaskoczony, kiedy w ubiegłą sobotę zatrzymał mnie pod kinem i powiedział:

- Widziałem twój trening w basenie. Policzyłem cię: czterdzieści razy po dwadzieścia pięć metrów stylem zmiennym bez odpoczynku. Forsowny trening. Dobry byłeś!

Skrzywiłem się. Owszem, przepłynąłem wczoraj kilometr jak wariat, ale byłem wtedy po kolejnej bombie z matny i zrobiłem to z czystej wściekłości na siebie, a on myślał, że trenuję. Więc jednak nie czyta w myślach Wielki Pan Inspirator.

To mnie trochę rozluźniło. A on poklepał mnie jak kumpla po łopacie i powiedział:

- W przyszłym tygodniu rusza nasz kurs pływania. Jesteś mi potrzebny.

Potrzebny? To mnie poruszyło. Nikt dotąd mi nie mówił, że jestem potrzebny. A potem jeszcze spytał mnie, czy to prawda, że umiem bandażować.

- Skąd wiesz? - zaciekałem się.

- Od Kryspina Antańka z ósmej. Podobno fachowo udzieliłeś mu pierwszej pomocy, jak go potracił opel. A Emeryk Bum to potwierdził, to zdaje się, twój młodszy brat, którego przeżywasz Ęsiem. Pomysłowo. A jeszcze niedawno założyłem się, że nie może być słów zaczynających się na „ę”! Emerykowi też podobno zmieniałeś opatrunki po wypadku. Czy to prawda?

A kiedy potwierdziłem, zapytał, czy nie mógłbym jego zabandażować. Tak po prostu zapytał z kamienną twarzą, więc ja też odpowiedziałem bez żadnych dodatkowych pytań, z jeszcze bardziej kamienną twarzą, że mogę go zabandażować.

Wtedy zabrał mnie do siebie do domu, wręczył mi bandaż i kazał się bandażować.

Więc zacząłem: najpierw głowę, potem piersi, nogi, a na końcu ręce, lewą zawiesiłem na zrobionym z bandaża temblaku. Czajdusza przejrzał się w lustrze i orzekł, że robię to lepiej od pielęgniarek.

- Masz do tego prawdziwy talent - powiedział, a ja czerwieniłem się coraz bardziej i rosły mi skrzydła. Potrzebowałem tych słów, a on wiedział, jak do mnie zagadać. Akurat byłem w psychicznym dołku z powodu tych bomb z matny i tego Gryndera w naszym domu.

A Czajdusza dodał jeszcze:

- Przekonałem się, że jesteś w tej sztuce oblatany. No i cacy, specjalisto, bo w moich kadrach nie ma szans, kto nie jest prawdziwym specjalistą. „Specjalisto”, tak powiedział, o rany! To mnie już rozrzewniło na amen, słowo daję! Nikt dotąd tak mnie nie nazwał... I te kadry?...

Czajdusza coś tam jeszcze mrucał, ale nie bardzo rozumiałem, bo z wrażenia jakby mnie zamroczyło. Zapamiętałem tylko, że powiedział na zakończenie:

- Od dziś jesteś u mnie instruktorem, ale nie kupuj czapki ani munduru. Przyrzeczenie złożysz, jak ci się lepiej przyjrze. Przez ten czas naucz się Prawa!

No, nie! Tu zbuntowałem się, i to był moment, żeby powiedzieć Czajduszy, że nikt go nie upoważnił do decydowania za mnie i stanowczo zaprotestowałem. Ale coś mi się stało i nie zaprotestowałem.

Nie przypuszczałem wtedy jeszcze, że to mi tak skomplikuje życie. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że „prawo stawu” pozostaje w małej sprzeczności z Prawem Harcerskim i że odtąd będę miał dwie twarze i będę prowadzić podwójną grę, ale to mnie z początku tylko podniecało.

Przychodziłem więc dalej nad staw i spotykałem się z traperami jak gdyby nigdy nic. Zdawało mi się, że nic się nie zmieniłem, a jednak oni musieli coś zauważyć, bo nagle stali się jacyś dziwni. Co raz rzadziej mówili ze mną o ucieczce, a gdy wspominałem o Grynderze, milkli nie wiadomo czemu. Czasem patrzyli na mnie z jakimś zakłopotaniem czy może raczej troską i wiedziałem, że chcą mnie o coś zapytać... Wtedy czułem się winny. Czułem, że kogoś zdradzam i kogoś oszukuję.

Należało wyjaśnić sytuację i na coś się zdecydować, ale jakoś nie mogłem z nikim zerwać. Nie chciałem nikogo tracić i nic poświęcać, a może po prostu się bałem, że ani jedni, ani drudzy nie wystarczą mi sami.

Lecz dzisiaj nastąpią rozstrzygnięcia. Emeryk pójdzie nad staw, podpadnie pod „prawo stawu”, a ja będę musiał wybierać...

W pierwszej chwili chciałem pobiec za Emusiem, dogonić go i opowiedzieć mu o wszystkim. O sobie, o traperach i o surowym „prawie stawu”. Może wtedy przerazi się i odstąpi od swego zuchwałego zamiaru.

Lecz nie pobiegłem i pozwoliłem mu odejść. A kiedy zniknął mi z oczu, pomału ruszyłem do domu. Jest przecież inne wyjście. W ogóle nie pójść dzisiaj nad staw.

Wykręcę się potem jakoś przed traperami. Powiem, że Grynder mnie zatrzymał czy coś takiego... Niech sami zniechęcą Ęsia. Co prawda, jeśli nie przyjdę, będą wściekli. Na pewno od dawna mnie już podejrzewają i jeśli dzisiaj nie przyjdę, mogą pomyśleć, że się na dobre urwałem. I to ich rozżali. A potem wpadną w złość i będą niebezpieczni. Zwłaszcza Jeremi Obraża. Kiedyś nam wyznał: „Ja to mam czasem ochotę kopać i gryźć, i rąbać wszystko na kaszę. I z trudem się powstrzymuję. Ale czuję, że kiedyś przyjdzie na mnie taka godzina, że w głowie mi coś pstryknie, i już się nie powstrzymam. Ulżę sobie i przerobię wszystko na kaszę”.

Bardzo możliwe, że teraz właśnie przyjdzie na Jeremiego Obrażę ta godzina, ulży sobie na Emusiu, zniechęci go zbyt okrutnie i przerobi na kaszę. A wszystko z mojego powodu. Zrobiło mi się gorąco. „Nie! Nie ma rady, Zenonie Bum! Trzeba będzie pójść nad staw i rzucić kości. Doprawdy, bardzo mi przykro, ale chyba nie ma innej rady, dzielny Zenonie Bum!” Czekali już na mnie w trzcinach, w naszym zwykłym, dobrze zamaskowanym miejscu przy zwałonym pniu wierzby. Pień ten tworzył rodzaj pomostu prowadzącego przez muliste mielizny przybrzeżne do głębszej wody. Na jego końcu chwiała się lekko nasza traperska łódź, a w niej żałośnie sflaczały Juliusz.

Nie tracąc czasu, od razu przystąpiłem do akcji.

- Panowie, dziś mała zmiana w programie. Zostawiamy w spokoju staw i pryskamy do miasta. Grają Dwa złote kołty. Ostatni dzień! Koniecznie musimy pójść. Ci kowboje pokazują tam podobno pewne pożyteczne chwytty. Myślę, że mogłyby się przydać...

- Zamknij się - zgasił mnie ostro Liszeniec i wymienił z Obrażą znaczące spojrzenia, po czym obaj westchnęli ciężko.

Zaniepokoiło mnie to bardzo. Do ich znaczących spojrzeń byłem wprawdzie od pewnego czasu przyzwyczajony, ale dlaczego westchnęli?

- Czy przyniosłeś bandaże? - zapytał ponuro Obraża.

- Jakie bandaże? - zdumiałem się.

- Och, znów zapomniałeś. Miałeś przecież uczyć nas bandażowania.

- To jest w planie przygotowań - dodał pośpiesznie Liszeniec.

Istotnie, przypomniałem sobie, że poprzednim razem wspominali coś o bandażowaniu, ale wyleciało mi z głowy.

- Nie mam bandaży - mruknąłem.

- Szkoda. Ale na szczęście ja mam - powiedział Obraża i wyciągnął z kieszeni zwinięty kłęb bandaży bardzo wątpliwej czystości.

- Do licha z bandażem! - zakląłem. - Co was właściwie napadło?! Dziś smarujemy do kina. Bandażowanie nie jest pilne.

- Jest bardzo pilne. Pakuj się do łodzi.

- Ależ...

- Bez gadania. Płyniemy na półwysep i tam spokojnie nauczysz nas bandażować.

Patrzyłem na nich oszołomiony. To jakaś mania z tym bandażowaniem. Niedawno Czajdusza, a teraz znowu oni. Wszystkiego się mogłem po nich spodziewać, ale nie tego, że pewnego dnia staną się nienormalni.

Nim jednak mogłem wyrazić swoje wątpliwości co do stanu ich umysłu, już mnie wepchnęli do łajby. Usiadłem zrezygnowany obok Juliusza i pomyślałem, że jestem tak samo bezwolny i żalony jak on... Dlaczego pozwoliłem się wsadzić? Dlaczego od razu nie powiedziałem tego, co miałem im powiedzieć?

Milczeli przez całą drogę. Czuję, że jest coś złego w tym ich milczeniu. I dlaczego tak im zależało na bandażowaniu? A może to podstęp? Może chcą mnie po prostu wywieźć w ustronne miejsce, aby tam zdemaskować i rozprawić się ze mną?

Trzeba się mieć na baczności.

Wciąż pogrążony w niespokojnych myślach nie zauważyłem nawet, że dobiliśmy do drugiego brzegu.

- Wysiadaj! - trącił mnie wiosłem Liszeniec. Wygramoliłem się z łajby i na wszelki wypadek usiadłem sobie parę kroków od nich. Liszeniec i Obraza znów wymienili spojrzenia, po czym zabrali się do rozwijania bandaża.

- Knujesz coś? - zapytał Obraza.

- Zgadłeś - spróbowałem uśmiechnąć się blado.

Wokoło panowała cisza. Jak okiem sięgnąć, tylko trzciny i woda, błyszcząca między nimi jak zastygłe srebro. Idealne miejsce, żeby się ze mną rozprawić bez świadków - pomyślałem.

Nagle ciszę zmaćił łopot skrzydeł. Z drugiego brzegu wzbily się w powietrze dwie dzikie kaczki, a w chwilę później rozległ się nieco drżący, ale czysty sopranik.

Ktoś śpiewał: „Już zachodzi czerwone słoneczko za zielonym borem"... Wzdrygnąłem się. Nie ulegało wątpliwości. To był głos Ęsia... Jednak przywłókł się. I dodawał sobie otuchy bezczelnym podśpiewywaniem. Bardzo mnie zdenerwował.

Spojrzałem na kolegów I. i J. Udawali, że nie słyszą, dranie. Ale przestali rozwijać bandaż. Obraza był teraz strasznie zajęty czyszczeniem paznokci, a Liszeniec bawił się jakby od niechcienia nożem. Niby nie patrzyli na mnie, ale czułem, że obserwują mnie. I czekają. Czekają, żebym zadziałał. To był przecież mój dzień i do mnie należało zniechęcenie intruza.

Chcą mnie sprawdzić... i tym wyczekującym milczeniem przyciskają mnie do muru.

No, więc dobrze... Przyciskajcie! Tym dla was gorzej! Zobaczycie, że macie do czynienia z Cezarem... Słowo daję, rzucę zaraz kości! To jest właśnie moment, żeby je rzucić. Samiście tego chcieli. Za chwilę porażę was i zmiążdżę moją szlachetną deklaracją. Sięgnąłem do kieszeni.

- Panowie - odchrząknąłem - zachowajcie spokój właściwy traperom. Oczekujecie, żebym zadziałał, otóż zadziałam, bądźcie pewni. Przygotowałem dla was małą niespodziankę... zaraz wam coś przeczytam.

Spojrzeni na mnie zaskoczeni, z wyraźnym niepokojem. Zaśmiałem się nerwowo.

- Tylko spokojnie, panowie, to może być dla was wstrząs, ale bądźcie mężczyznami... - pospiesznie grzebałem w kieszeniach.

Gdzież może być ta kartka, u licha? Przetrzaśnąłem kieszenie wiatrówki, potem marynarki, zewnętrzne i wewnętrzne - nadaremnie. Zacząłem grzebać coraz bardziej nerwowo w kieszeniach spodni, ale kartki nigdzie nie było, więc zacząłem wywracać gwałtownie kieszenie, ale zamiast kartki wyleciała mi tylko strzykawka.

I to mnie bardzo speszyło. Chciałem ją podnieść, ale Liszeniec był szybszy.

Porwał ją z ziemi i nie zamierzał wcale oddać, udając, że się nią bawi. To już mnie całkiem speszyło. Czuję, że bez tej kartki nie wykrztuszę ani słowa...

Jednocześnie w tym właśnie momencie przypomniałem sobie, że to chyba na tej właśnie kartce narysowałem plan dla Emusia, a w takim razie... w takim razie znajduje się w jego rękach, a co gorsza, na pewno przeczytał, co jest napisane po drugiej stronie... więc jestem w dodatku skompromitowany...

- Co się z tobą dzieje? - zapytał z niepokojem Liszeniec.
- Nic... pozwólcie mi się skupić...
- Ale co właściwie chciałeś nam przeczytać?
- Co? - zmieszałem się. - Jak to, co miałem przeczytać... przecież powiedziałem... Projekt zniechęcania.

- Zniechęcania?
- Tak, projekt nowych metod zniechęcania. Mam nowe pomysły... jak zniechęcać... Wymyśliłem trzeci stopień...

Dlaczego tak powiedziałem, zamiast powiedzieć to, co zamierzałem? „Powiedziałeś tak, bo nie jesteś Cezarem.” Co takiego? Ja nie jestem Cezarem? Co za posądzenie!

Nie powiedziałem im, bo... bo właśnie coś lepszego przyszło mi do głowy. „Co za bzdura! Nie powiedziałeś, bo zląkłeś się rzucić kości.” Ja? Zląkłem się?! Też pomysł! Nie powiedziałem, bo właśnie przyszło mi do głowy, że gdybym powiedział, to może wyjaśniłbym swoją sytuację, ale czy uratowałbym Emusia? Oczywiście, że nie uratowałbym Emusia i jeszcze bym zaszkodził. Przecież gdybym teraz powiedział... to na pewno wprowadziłbym Jeremiego w niebezpieczny stan i przyszlaby na niego ta godzina, o której mówił, i przerobiłby Ęsia na kaszę...

Czy mógłbym go obronić? Bardzo wątpię, wzięwszy pod uwagę zawziętość Ireneusza i chwyt Jeremiego oraz to, że przyszlaby na niego ta godzina...

Pomyślałem o tym wszystkim i orzekłem, że dla dobra Emusia nie powinienem nic mówić, a nawet mi nie wolno. I bardzo mi się to spodobało. Tak bardzo mi się spodobało, że aż się nieco zaniepokoilem. Bo trochę za bardzo mi się spodobało. „Jesteś śmierdzącym, rozkładającym się tchórzem, który w dodatku jest tak zakłamanym, że nie chce się do tego przyznać!” Protestuję! Jestem tylko przebiegły, mądry i rozsądny. Emeryka można uratować tylko w pewien sposób. Już wiem, jaki. Powiem, że pójdę zniechęcić bezczelnego intruza. Zabiorę Juliusza i popłynę łajbą... Żeby zmylić ich czujność, każę Ęsiowi wydawać przeraźliwe krzyki, świadczące, iż jest zniechęcany, a potem weźmiemy próbki wody i damy razem drapaka... „Ohydny tchórz, będziesz się potem czuł tak, jakbyś się najadł mydła, boś uciekł.” Co? No, niby racja. Ale kto powiedział, że muszę uciekać.

Tylko Ęsiowi każę uciekać, a sam wrócę. Wcale nie dam drapaka, tylko właśnie wrócę, żeby udowodnić, że nie jestem tchórzem, do stu zabublonych bubli! Wrócę, obetrę ręce i oświadczę traperom znudzonym głosem: Smarkacz jest już zniechęcony, było bardzo zabawnie. I dodam jeszcze:...ale rzecz w tym, że ja też jestem zniechęcony... do was. Zachowajcie spokój właściwy traperom i bądźcie mężczyznami. I wreszcie wszystko im powiem... „Powiesz?” Oczywiście. „Jednym słowem, wspaniale wybrnąłeś.” No, pewnie! Gdy ma się głowę na karku, zawsze można jakoś wybrnąć. Przystępujemy zatem do rzeczy...

Uśmiechnąłem się w tym momencie i powiedziałem niedbale, wydłubując sobie brudek zza paznokci, co niewątpliwie należało w tym wypadku do manewru dyplomatycznego:

- Panowie, właśnie zastanawiałem się, jak zniechęcić bezczelnego fąfla. Kusilo mnie wypróbować na nim moje nowe metody, ale myślę, że Juliusz na początek wystarczy.

To mówiąc sięgnąłem po Juliusza, ale Ireneusz powstrzymał mnie stanowczo.

- Zostaw!

- Dlaczego? - spytałem niespokojnie.

- Widzisz... - Ireneusz spuścił oczy - ja już zniechęcałem Juliuszem tego fąfla.

- Zdążyłeś? - zdumiałem się.

- Tak, on tu już długo się kręci.

- I co?

- Wydawał się zniechęcony skutecznie, ale, jak widzisz, wrócił.

- Uparty facet.

- Tak, dość uparty - Ireneusz bawił się moją strzykawką. - Wyjątkowo odporny.

- Wart specjalnej nagrody - uśmiechnął się Obrza.

- O, na pewno - mruknąłem nieco zdenerwowany.

- Co byś powiedział, na przykład, gdybyśmy mu pozwolili przejść? - przymrużył oczy Liszeniec.

Do licha, co to może znaczyć. Spojrzałem na nich niespokojnie. Jakieś nowe metody. Z pewnością wystawiają mnie na próbę.

- Masz doskonałe pomysły - wycedziłem.

- Prawda? Tobie też szkoda szczeniaka.

- Przestań, wzruszyłeś mnie - pociągnąłem nosem.
- A w ogóle, czy nie uważasz, że cała rzecz stała się odrobinę męcząca i nudna?
- Liszeniec spojrział mi w oczy.
- Z ust mi to wyjąłeś - odparłem.

Teraz nie miałem już wątpliwości, że chcą mnie sprawdzić.

- To ładnie, że jesteśmy zgodni - odetchnął Liszeniec. - A więc postanowione. Nie będziemy zniechęcać.

Nie wierzyłem im ani za grosz. Oczywiście, mają w zanadru jakiś nowy kawał.

Pozwolą tu podejść Emusiovi, a potem z nim się zabawią. Postanowiłem działać bardziej energicznie.

- Dosyć żartów - rzekłem ostro. - Zabieram się do faceta. Jeśli on taki odporny, zastosuję mu drugi stopień. Oddaj mi moją strzykawkę, Liszeniec.

Przygryźli wargi. Wyraźnie było im nie w smak, że pokrzyżowałem im plany.

- Czy strzykawka będzie ci potrzebna do drugiego stopnia? - zapytał Liszeniec.

- Ra... raczej tak - mruknąłem. - Pożycz mi również swój nóż.

Ujrzałem w ich oczach wahanie i jakiś podejrzący błysk. Nie ufali mi, do licha, więc aż tak mi nie ufali! A potem Obraza powiedział:

- Wiesz co, stary, to my lepiej sami załatwimy ten drobiazg.

- Wy?! - oniemiałem na moment. Tego nie przewidziałem. Widać sprawy stoją znacznie gorzej, niż myślałem. - Wy? Dlaczego wy? - wykrztusiłem.

- To będzie dobra zabawa - powiedział powoli Obraza, nie patrząc mi w oczy. - Zniechęcić takiego upartego szczeniaka to będzie dobra zabawa, no nie, Irek?

- Tak - skinął głową Liszeniec. - Dawno już nie mieliśmy dobrej zabawy.

Poruszyłem się niespokojnie.

- Dzisiaj jest mój dzień - rzekłem twardo.

- Głupstwo, wyręczymy cię - uśmiechnął się blado Obraza.

- Dzisiaj jest mój dzień - powtórzyłem ponuro.

- To nic, odstąpisz nam szczeniaka. Mamy na niego diabelną ochotę.

- Nie mam zamiaru. Szczeniak należy do mnie!

- Odbijesz sobie innym razem, dzisiaj nie jesteś w sosie.

- To prawda. Nie jestem dzisiaj w sosie i dlatego chcę sobie poprawić humor. Przygotowałem sobie mały dowcipny zabieg.

- Nie bój się, my też nie spartaczymy.

Spojrzałem na nich przerażony. Dlaczego tak nalegają?

- Co chcecie mu zrobić?

- Mały zabieg balneologiczny* - rzekł skromnie Liszeniec.

- Borowinę?

- Tak, z okładami i masażem.

Wzdrygnąłem się. „Borowina” polegała na nacieraniu delikwenta pokrzywami, a następnie na kąpieli błotnej. Wyobraziłem sobie nieszczęsnego Emusia poddanego tej operacji i przeszedł mnie mały dreszcz. Ładna historia! Postanowiłem jechać na całego.

- Rozśmieszacie mnie - powiedziałem. - Z czym do kogo, proszę gości. Zabieg balneologiczny dla takiego faceta? To nie jest zwykły natręcik... Mam pewne podejrzenia... Mniejsza z tym... -w każdym razie on wymaga specjalnego potraktowania i nie ma mowy, żebym go oddał w wasze niedołężne ręce. Rozumiecie, to jest wy_klu-czo-ne! Wasze sposoby są blade i bez wyobraźni... Może zauważyłeś, Obraza, że odwróciłem głowę, kiedy robiłeś borowinę temu chłopakowi ze Szpi-tar. Otóż ziewałem z nudów. Nasze zabawy straciły „pieprza”. Postanowiłem skończyć z tym radykalnie. Obmyśliłem cały nowy program. Nie jest on jeszcze całkiem dopracowany, ale to już jest coś...

- Co chcesz mu zrobić? - zapytał zdenerwowany Liszeniec.

Wyciągnąłem się leniwie na trawie. Przez kilka sekund trzymałem ich ciekawość w napięciu.

* Balneologia - nauka o leczniczym działaniu kąpieli, wód leczniczych i czynników klimatycznych.

- Och, mam różne warianty - uśmiechnąłem się. - Szkoda, że zapomniałem zabrać ze sobą notatki. Dałbym wam do przestudiowania. Na przykład taka „kaczka dziwaczka”.

- Kaczka dziwaczka? - spojrzeli na mnie spođe łba. - Co to jest?

- Potrzeba do tego parę rekwizytów - odparłem. - Kilka metrów liny, worek, zapalki, smoła i pierze.

- Dlaczego pierze? –

- Kaczka ma pierze - odparłem.

- A smoła? - zapytał Liszeniec.

- Żeby się pióra trzymały. Niedomyślny jesteś, Irku.

- Nie mamy smoły - zauważył ponuro Liszeniec.

Przyglądałem im się z satysfakcją. Stwierdziłem, że „kaczka” zrobiła na nich pewne wrażenie.

- Istotnie, nie mamy smoły - powiedziałem swobodnie. - Wobec tego proponuję warianty zastępcze, równie efektowne. Co byście powiedzieli na „rower wodny”? Kładziemy intruza na wznak w łajbie, wiążemy ręce do burty, a między palce u nóg kładziemy zwitki papieru. Podpalamy. Intruz pedałuje nogami w powietrzu. Jest bardzo zabawnie.

Liszeniec i Obraza poprawili nerwowo kołnierzyki.

- Ciekawe - wycedził matowym głosem Liszeniec. - Masz jeszcze coś?

- Pokrewny sposób to „motyl” lub, jeśli wolicie, „ognisty ptak”. Tym razem przywiązujemy facetowi nogi, a papierki przyczepiamy do palców rąk.

Liszeniec i Obraza oblizali wargi.

- Nadzwyczaj pomysłowe - wykrztusił Obraza. - Czy to już wszystko?

- Skądże - roześmiałem się. - Może być „łódź podwodna” - potrzeba tylko worka i liny, „krokodyl” - główny rekwizyt - deska nabita gwoździami, „rak nieborak” - wystarczy tylko para obcę-gów lub szczypce. Służę także „tańcem łabędzia”, „rzęsorkiem”, „rozwiązadą”...

- Dosyć! - przerwał Obraza. - Przekonaliśmy się, że masz bogaty program. Kiedy zdażyłeś to wszystko obmyśleć!?

- Stale o tym myślę - wyznałem skromnie. - To moje hobby. Najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy w nocy, kiedy obmyślam zemstę na Grynderze. Lecz dosyć, panowie - urwałem pospiesznie, gdyż zauważyłem, że Ęsio zbliżał się już niebezpiecznie do naszego półwyspu.

- Czas zacząć zabieg zniechęcający. Myślę, bracia traperzy, że te rekwizyty na razie muszą wystarczyć... Nie byłem przygotowany - to mówiąc, zerwałem się z ziemi i korzystając z ich oszołomienia, porwałem nóż oraz worek, którym okrywaliśmy Juliusza.

Liszeniec i Obraza zerwali się także.

- Co chcesz mu w końcu zrobić?

- Zrobię mu „kaczkę” - odparłem bez namysłu.

- Nie masz przecież smoły ani pierza?

- To nic, zrobię mu „kaczkę” niepełną, czyli skubaną. Za to szpikowaną.

Liszeniec stanął przede mną.

- Czy jesteś całkowicie zdecydowany zrobić mu „kaczkę”? - zapytał dziwnie namaszczonym głosem.

- Jestem całkowicie zdecydowany - odparłem.

- Twierdzisz to z całą powagą?

- Twierdę to z całą powagą - powtórzyłem uroczyście.

- I trwasz mocno przy swoim zamiarze? Trwam.

- Zenonie Bum, jesteś twardym traperem!

- Jestem traperem zatwardziałym i bezlitosnym - oświadczyłem _ życie mnie do tego zmusza (i wy - chciałem dodać, ale ugryzłam się w język).

Liszeniec i Obraza zbliżyli się jeszcze bardziej do mnie.

- Nie widzę innego wyjścia - mruknął Liszeniec.

- Ja też nie - zasapał Obraza.

- A zatem słuchaj, Zenonie Bum - powiedział Liszeniec - Jako zatwardziały i bezlitosny traper zostajesz uwięziony przez harcerzy.

- Co takiego!!! - wybełkotałem, ale nim moje osłupienie minęła oni rzucili się na mnie, powalili na ziemię, naciągnęli worek i związali go.

- Co to ma znaczyć?! Zwariowaliście?! - miotałem się w worku.

- Przykro nam, że jesteś zaskoczony. To nasza wina, że spadło to na ciebie tak nagle... - mówił zadyszany Liszeniec. - Powinniśmy wcześniej ci powiedzieć, ale jakoś nie mogliśmy się zdobyć.

- Baliśmy się, że bez nas zrobiłbyś jeszcze gorsze rzeczy - dodał Obrazia. - Jesteś tak okropnie zepsuty, Zenonie!

- Zresztą... zresztą chcieliśmy, żebyś przedtem nauczył nas bandażowania.

- Bo właśnie teraz w naszej drużynie zdobywamy jedną taką sprawność i musimy się tego nauczyć.

- Jak to w drużynie?! - krzychałem. - Bez głupich żartów! To kłamstwo! Łzecie! Nie jesteście! Nie możecie być harcerzami!

- Niestety, wciągnięto nas.

- Byliśmy, widać, za mało odporni.

- Za długo nas dręczyłeś...

- Napelniałeś niesmakiem.

- I strachem.

- I chyba dlatego straciliśmy odporność.

- A to dobre! - śmiałem się gorzko. - Rozśmieszajcie mnie dalej.

- Dawno już nie powinniśmy być z tobą, ale... ale wzruszałeś nas - pociągał nosem Obrazia. - Tyle cierpiałeś przez tego Gryndera, więc żal nam było... Nie chcieliśmy cię zostawiać samego. I nawet cię lubiliśmy - Obrazia znów pociągnął nosem i pogłaskał mnie przez worek.

Zatrząsałem się ze wzburzenia.

- Tak, nie mieliśmy serca - westchnął Liszeniec. - Nie mieliśmy serca opuścić cię w nieszczęściu. Czułeś się tak dobrze z nami. Wiedzieliśmy, że jesteśmy ci potrzebni. Dlatego byliśmy przy tobie, chociaż nudziłeś nas już od dawna.

- I zmuszałeś do dziwnej zabawy.

- Dzwiny i raczej brzydkiej.

- Co?! Ja was zmuszałem?! Oszuści! To bezczelność wykręcać tak kota ogonem! - pieniełem się w worku. - Więc wy sami nie mieliście powodów do protestu?

- No... nie... To wszystko była prawda - odparł zakłopotany Liszeniec. - Mieliśmy powody do protestu... tylko... niezupełnie tak go sobie wyobrażaliśmy... A ty miałaś takie niesamowite pomysły... Myśleliśmy, że to może z powodu Gryndera twój umysł uległ zamięnieniu i musisz w ten sposób... Ale my...

- My nie byliśmy tacy zawzięci - mruknął Obrazia.

- Ani tacy twardzi - dodał Liszeniec. - Podskakiwaliśmy tylko.

- Tak, podskakiwaliśmy tylko do twojego poziomu - wyznał zażenowany Obrazia - bo... bo nie chcieliśmy, żebyś myślał, że jesteśmy gorsi... no, to znaczy... eee - zająknął się - to znaczy lepsi... no... po prostu inni.

- Ale dzisiaj przebrałeś miarę, Zenonie.

- Obnażyłeś całą swoją złośliwość i zaciekłość.

- Nadzwyczajne okrucieństwo i zepsucie.

- Tak jest, przekonaaliśmy się, że jesteś niebezpieczny.

- I że rozwija się w tobie groźna mania.

- Może nawet powinieneś dać się zbadać. Nie jesteś całkiem zdrowy, Zenonie. Zwyrodniałeś.

- I dlatego nie możemy dłużej być z tobą.

- I musieliśmy cię unieszkodliwić.

- Idioci! Kretyni! - szamotałem się w worku. - Wypuście mnie natychmiast! Ratunku! Na pomoc! - krzychałem rozpaczliwie.

- Jak ci nie wstyd - powiedział Liszeniec - mógłbyś przynajmniej zachować fason...

- Puszczajcie, ja też jestem harcerzem - bełkotałem. - Słowo harcerza, że jestem harcerzem... Właśnie wam miałem wszystko wytłumaczyć, ale wy... - urwałem nagle, bo zrozumiałem, że i tak mi nie uwierzą. Spóźniłem się. Gdybym im teraz powiedział, wszystko zabrzmiałoby idiotycznie. Musiałbym przecież słowo w słowo mówić to samo, co oni do mnie mówili. Tak... troszeczkę się spóźniłem i dranie mnie ubiegli.

Postanowiłem więc zachować pełne godności milczenie i popadłem w zadumę nad dziwnymi zaawiliściami życia. Zastanawiałem się właśnie, co robić w mojej głupiej sytuacji, gdy usłyszałem szelest trzciny i mlaskanie błota pod czyimiś stopami.

Po chwili do moich uszu dobiegł znajomy głos mojego młodszego brata:

- Tutaj ktoś krzyczał „ratunku”.

- E, chyba ci się zdawało - bąknął Liszeniec. „Emusiu, braciszku, ratuj!” - chciałem zawołać, ale wstyd mi się zrobiło, że zobaczy mnie w tak żalonym stanie, i ugryzłem się w język.

- Ależ tam się coś rusza - w głosie Emeryka dźwięczało zarówno przerażenie, jak szlachetne zainteresowanie humanistyczne. - Czy wy oszaleliście?! Trzymacie w worku człowieka?

- Człowieka? - wymamrotał zmieszany Obraza. - No... niezupełnie.

- Jak to niezupełnie? - oburzył się Emuś. - Tu przecież wyraźnie sterczy ludzkie ucho!

Istotnie. Nie wzięli pod uwagę, że worek ma dziurę, a moje uszy są dość rozłożyste. Chciałem czym prędzej schować ów demaskujący szczegół mojej osoby, ale było już za późno. Ęsio z podziwu godną przytomnością umysłu uchwycił je w palce.

- To przecież ucho Zenka! - wykrztusił zaskoczony. - Takie wielkie i niekształtne!

- No... no! - wykrzyknąłem urażony do głębi. - Do stu bubli stęchłych. Tylko nie bezkształtne, licz się ze słowami! Moje uszy mają kształt artystyczny i zostały zaplanowane z rozmachem!

- To on! - zawołał podniecony Emuś. - Jego głos! - krzyczał ucieszony, jakby odnalazł skarb.

Wzruszył mnie. Mam naprawdę kochającego brata.

- Zaraz - wykrztusił osłupiały Obraza. - To ty znasz Zenona?

- No, pewnie! To przecież mój brat! - Emuś sapiąc rozwiązywał worek. - Jak mogliście trzymać go w worku... To... niezdrowo - dodał po chwili.

- E... nic... nie szkodzi - wymamrotałem, wynurzając się z worka. - Myśmy się tylko bawili...

- Tak, bawiliśmy się - uśmiechnął się krzywo Liszeniec. - Jak tu trafiłeś, koleś? - zapytał skwaszony.

- No... zwyczajnie. Zenon narysował mi plan... naszkicował drogę...

- Plan? Jak to?! Z jakiej racji? Chciał cię zwabić? - wypytywał Obraza.

- Nie... przeciwnie... On mi odradzał. Bo my mieliśmy razem, zaraz po zbiórce...

- Po jakiej zbiórce?

- No, naszej... harcerskiej...

- Co?! Chcesz powiedzieć, że Zenon jest harcerzem? - wytrzeszczył oczy Obraza.

- Nie rozśmieszaj mnie! To jakaś zmowa! Nie wierzę! - zdenerwował się Liszeniec.

- Pokaż ten plan.

Emeryk wyciągnął zwinięty kawałek papieru. Liszeniec i Obraza schwycili go niecierpliwie i zaczęli oglądać, podnieceni.

- Tu jest coś napisane, po drugiej stronie - zauważył Obraza. - Czcigodni traperzy - zaczął sylabizować - jak mówi poeta, żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami. Należy także dodać, że diabelnie nudziłem się z wami. Lecz dziś was rzucam i powiem wam na odchodne, co myślę o was, żalodne bagienne szympanasy... - W tym miejscu głos Jeremiego Obrazy przemienił się w niewyraźny bulgot i szybko umilkł.

- To właśnie chciałem wam odczytać - uśmiechnąłem się szyderczo - lecz na skutek roztargnienia właściwego twórczym umysłem kartkę oddałem Emusiowi. Wobec tego moja deklaracja uległa pożałowania godnej zwłoce. Lecz obecnie jest do wglądu i możecie ją przestudiować. Czytaj dalej, Jeremi.

- Nie... już wystarczy - poczerwieniał Liszeniec - jesteśmy dostatecznie zorientowani.

- To dobrze - powiedziałem.

- Wyjaśnij nam jedno... - Irek Liszeniec patrzył w ziemię.

- O co wam chodzi? - zapytałem szorstko.

- Co z twoim Grynderem?

Zmieszałem się.

- Grynder? Wyjechał. Na występy zagraniczne. Dosyć długie tournée po całym świecie. Pożegnaliśmy się bez żalu. Wybaczcie, druhowie, ale mam do pogadania z moim bratem. Chodź, Emuś - pociągnąłem Ęsia w stronę ścieżki do miasta. - Chodź, uparciuchu. Wydaje mi się, że twój klasyfikator wystukuje sepleniąc coś, co brzmi jak Sesse... Sesse. No i dobrze. Jesteś Sesse. Wszystkim to udowodniłeś, ale nie kuś więcej losu, nie wystawiaj swojego życia na loterię. Ja też mam nerwy i tylko jednego brata!

Kto Sesse, a kto Pfeffe???

Tego pamiętnego dnia tak się złożyło, że ja i Emeryk pełniliśmy razem funkcję dyżurnych na korytarzu. W pewnej chwili usłyszeliśmy głośny plusk wody w umywalni. Zajrzeliśmy, to ten nowy uczeń, Artur Pastuszek, mył się energicznie pod kranem. Na czole miał guza i skaleczenia.

- Co ci się stało? - zagadnąłem.

- Tygrys mnie drapnął - zażartował. - Nie wiedziałem, że w tej budzie jest prawdziwy zwierzy-niec.

Roześmialiśmy się. To prawda, mieliśmy w naszej szkole kilkanaście ciekawych okazów zwierząt w terrarium, w paru klatkach i w dużej wolierze. Były to przeważnie różne biedne stworzenia uratowane przez dzieci, a także przez samą Klemę, która była znaną miłośniczką zwierząt.

Wśród tej menażerii wyróżniała się para kruków: Adaś i Mela, oswojony bocian Wojtek, wąż zaskroniec Kryspin, trzy żółwie, chomik, białe myszki, a także dwanaście (!) żab różnego sorty-mentu.

Wróciliśmy na korytarz; do ukończenia raczej nudnego dyżuru pozostało nam już tylko parę mi-nut, gdy usłyszeliśmy dobiegającą ze stołówki szkolnej dziwną wrzawę: krzyki i... krakanie. Po-biegliśmy tam natychmiast i stanęliśmy jak wręci.

Zobaczyliśmy naszego kruka Adasia na wolności! Kracząc kołował tuż nad głową struchlałej Klemy, widać niepewnej jego zamiarów. Nagle opuścił się niżej, porwał kiełbaskę z dyrektorskiego talerza i czmychnął przez okno.

W jadalni za to pojawiła się jego partnerka Mela. Z białą myszką w dziobie podleciała do pana Cykuta od fizy, który, nieobecny duchem i pogrążony w sobie tylko wiadomych myślach, smętnie raczył się chudym kapuśniaczkiem szkolnym.

Czyżby chciała z wdzięczności za opiekę i leczenie okrasić fizykowi obiad tłustą apetyczną myszką?

To trwało jeden moment. Wszyscy zastygli z wrażenia. Mysz wpadła do wazy z zupą.

Chłupnęło. I coś w rodzaju jęku przebiegło przez salę. Pan Cykut jakby otrząsł się z zadumy i do-lał sobie z wazy pół chochli kapuśniaczku z przyjemnym zdziwieniem, że natrafił na biały smako-wity pulpecik. Sięgnął ochoczo po nóż i widelec...

Tymczasem Klema dzielnie pokonała już osłupienie. Zerwała się rozniewana z miejsca i chciała wybiec na korytarz, ale drogę zagrodziło jej... stado żab wytrwale pielgrzymujących skokami do wyjścia.

- Dyżurni do mnie! - krzyknęła.

Pobiegliśmy.

- Je... jesteście - wyjąkałem.

- Co się tu dzieje?! Te kruki... te żaby...

- Chy... chyba jakaś awaria w gabinecie bio - bełkotałem.

- Gdzie pani Szycka? - denerwowała się dyrektorka. Odpowiedział jej przejmujący krzyk ni-ewieści. Przyrodniczka wyskoczyła na korytarz. Wykonując jakieś niezwykle płasy otrząsała się z białych myszek, które ją gęsto obsiadły.

Wzburzona Klema natychmiast zarządziła dochodzenie w sprawie tych skandalicznych wypad-ków. Błyskawicznie powołana przez nią komisja śledcza udała się bezzwłocznie do pracowni, gdzie mieściła się nieszczęsna menażeria. Mnie i Emusia też tam wezwano jako dyżurnych.

Pracownia przedstawiała opłakany widok: stłuczone gabloty, rozbita woliera i terrarium, podłoga zasłana odłamkami szkła, porozrzucane książki i plansze.

Zdenerwowana papuga wrzeszczała wniebogłosy:

- Rrratunku! Rrrorzabiają! Wstrrrrętnie bachorry! Smarrrrka-cze! Drrraka! Drrraka!

Ale uwagę komisji zwróciła przede wszystkim mała brązowa żabka skacząca po zaśmieconej podłodze i gruba dziewczynka w okularach z ładnymi jasnymi warkoczykami, próbująca niezdarnie tę żabkę złapać. Rozpoznaliśmy w niej naszą Patrycję Ciapkowską z VIIa, prezeskę kółka zoolo-gicznego w naszej szkole.

- Na miłość Boską! - załamała ręce dyrektorka - Coś ty tutaj wyprawiała.

- Ja nic... to... to nie ja - wykrztusiła zaczerwieniona prezeska.

- Nie ty? A niby kto? - zaatakował Patrycję pan Cykut od fizy. - Ty jedna z uczniów masz klucz do pracowni. I ty jedna masz osobliwe pomysły. Czy pani dyrektor wie - obrócił się do Klemy - na czym ją przyłapałem w zeszłym tygodniu? Przyniosła na moją lekcję pijawkę w słoiku, wyjęła ją i karmiła własną krwią.

- Co takiego?!

- Przystawiła ją sobie do policzka, a potem straszyla nią dziewczynki.

- Wcale nie straszyla, ja tylko chciałam im pokazać narząd gębowy pijawki - bronila się płaczliwie prezeska.

- Sprawa jest jasna - powiedział pan Cykut z groźną miną - prezes Ciapkowską chciała się zabawić ze zwierzakami i została zaatakowana przez kruki i węża. Uciekając przed nimi stłukła terrarium i gablotę... a ponieważ zapomniała zamknąć za sobą drzwi, zwierzęta rozpierzchły się po szkole.

- Nie, to nie tak - wyksztusiła rozpaczliwie Ciapkowską. - Tu ktoś musiał być przede mną! Ja... ja właśnie dlatego tu zajrzałam, bo zobaczyłam uciekające z pracowni zwierzęta i... i próbowałam je wylapać.

- Nie kłam! - ucieła dyrektorka. - Nie dość, że nadużyłaś naszego zaufania, to w dodatku nie masz odwagi cywilnej, żeby się przyznać, i próbujesz różnych wykrętów. Jestem zmuszona zdjąć cię z funkcji prezesa i odebrać ci klucz. Potem jeszcze porozmawiam z tobą. A teraz dość, weź się za sprzątanie, zmieciesz szkło i pobierasz książki i plansze. Wy jej pomożecie - zwróciła się do mnie i do Emusia, po czym wraz z komisją opuściła pracownię.

- To naprawdę nie ja - wymamrotała Patrycja, gdy zostaliśmy sami - czemu mi nie wierzą? Wy też mi nie wierzycie, prawda? - spojrzała na nas oczami pełnymi łez.

- Wierzymy ci - rzekł Emeryk. - Gdybyś zderzyła się z gablotą i terrarium, miałabyś prawdopodobnie pokaleczone ręce, a także czoło lub nos, a poza tym ta druga żaba... Patrzcie, wyszła spod szafy - wskazał na nieforemne, szkaradne stworzenie z pękatym brzuchem i pobrużdżoną, pomarszczoną skórą.

- To nie żaba, to ropucha - zauważyłem. - Nie było takiej w terrarium.

- " Otóż to! - uśmiechnął się Emeryk.

- To ropucha Jarka Kleptusa - wymamrotała zdumiona prezeska. - Widziałam ją u niego. Pokazywał mi... O Boże, czy to znaczy...

- Że tu był Kleptus - rzekł Emuś - ale nie sam.

- Skąd wiesz?

- Sam jeden Kleptus nie poczyniłby takich spustoszeń. Tu była bijatyka, nawalanka i odpychanie. A wiadomo, przy odpychance odepchnięty uderza jak pocisk w co popadnie, w tym wypadku uderzył w regał, skąd wysypały się książki i plansze, oraz w gablotę, w wolierę i w terrarium, skąd uciekły zwierzęta. Tak, dwu chłopaków tu się biło...

- Kim jest ten drugi?

- Chyba Artur Pastuszek. Widzieliśmy go w umywalni, szorował łapy, na czole miał guza i skaleczenia. Tak, sprawców to my znamy, ale w tej sprawie problem nie w tym, kto to zrobił, a w tym, żeby się przyznać i oczyścić nam prezeskę Ciapkowską z niesłusznych zarzutów.

- Tak jest - powiedział Emeryk - wszystko będzie zależeć, co Kleptus i Pastuszek są wari. Czy w ich osobach mamy do czynienia z kolegami sortymentu A czy B, a może C? Nie znamy ich jeszcze dokładnie i nie możemy powiedzieć, czy są Sesse, czy Pfeffe. Trzeba by ich sprawdzić delikatnie.

- Jeśli są jeszcze w budzie - mruknąłem. - Jeśli to są ludzie sortymentu C, to na pewno tchórzliwie dali dyla.

Nasz niepokój rozwiął się w następnej chwili, bo oto uchyliły się ostrożnie drzwi i do pracowni zajrzał... Artur Pastuszek we własnej osobie. Czyżby sprawdzało się porzekadło, że przestępcę ciągnie do miejsca przestępstwa?

- Fatalnie to wygląda - zauważył, rozglądając się po pobojuwisku, po czym zwrócił się do Patrycji i do nas. - Zagnali was do roboty?

- Sprzątanie to detal - odrzekłem - nie boimy się pracy, ale zdjęli nam prezesa. Za cudze grzechy. Przyfastrygowali jej tę drakę ze zwierzętami. Straszna niesprawiedliwość, bo przecież wiadomo że to nie ona.

- A kto? - zapytał Artur Pastuszek, patrząc w podłogę.

- Dwu dżentelmenów - powiedziałem - jeden nazywa się Kleptus, właściciel ropuchy, a drugi... - zawiesiłem głos.

- Drugiego nazwiska nie znamy - rzekł Emeryk - i może nigdy nie poznamy, jeśli Kleptus weźmie winę na siebie.

- Dlaczego miałby wziąć? - zamruczał Artur Pastuszek.

- Bo on prawdopodobnie jest Sesse - odparłem. - Tak, na pewno jest Sesse - dodałem po namyśle.

- Sesse?

- Ty jesteś nowy, to jeszcze nie wiesz, jak to jest. Można być Sesse, to dobrze, albo Pfeffe, to bardzo źle. Wszystko zależy, na jakim poziomie główkuje. Kwestia poziomu i smaku, no i takiego małego robaczka, co gryzie, o, tutaj - stuknąłem Artura Pastuszka palcem w miejsce, gdzie, jak podejrzewałem, ten łotr miał serce.

- Tak, koleś - rzekł Emuś - dlatego jesteśmy dobrej myśli. Kleptus pójdzie do Klemy, odważnie powie, jak było, i oczyści prezesa. Klema jest okropna i staroświecka, ale ma jedną dobrą cechę. Lubi i podziwia odważnych. Gdy ktoś się popisze odwagą cywilną i powie prawdę, nawet gdy jest to nieprzyjemna prawda, surowe oblicze Klemy rozjaśnia się i zaczyna promieniować jak słońce. W tej niezwyklej kobiecie budzą się wtedy przedziwne uczucia. Ty jesteś tutaj nowy, Pastuszek, i tego nie wiesz, ale warto, żebyś wiedział. Inteligentne chłopaki wykorzystują sprytnie tę cechę Klemy i z każdej draki wychodzą bez szwanku.

- Masz doświadczenie? - Artur uśmiechnął się krzywo.

- Ona należy do Klubu Wspaniałych Gogów. Jest ich więcej, niż ci się zdaje. Mój krewniak Dziadek też ma taką panią w Warszawie. Mówię ci, jak Klenia pozna, że nie jesteś Pfeffe, to zaczyna sama szukać okoliczności łagodzących i zamienia się w twojego obrońcę.

- Bujasz!

- Mówię ci! Taka dziwaczka! Kleptus już dobrze wie o tym! Raczej bezbłędnie rozegra sprawę - rzekł z przekonaniem Emeryk i poklepał Patrycję po ramieniu. - Głowa do góry, siostró, to tylko kwestia minut, gogom będzie wstyd, że cię niesłusznie oskarżyli, zaraz przywrócą ci honor, odzyskasz tytuł, stanowisko i spokój.

- Spokoju to ja chyba nie odzyskam, póki ten drugi sprawca nie zostanie wykryty - odburknęła, patrząc Pastuszkowi na buty. - Wciąż będę się obawiać, że powtórzy swój numer. Bo jak to się stało, że potrafił przeniknąć do zamkniętej na klucz pracowni?

- Naprawdę jesteś ciekawa? - zapytał Pastuszek, podnosząc nagle głowę.

- Tak.

- Więc ci powiem. Kleptus podsadził tego drugiego do okna, okna były uchylone z powodu malowania, a ten drugi dostał się łatwo do pracowni, a potem wpuścił przez drzwi Kleptusa, bo były zamknięte na zatrask i dawały się łatwo od wewnątrz otworzyć. Prosta sprawa.

- Skąd to wiesz? - zapytała ostro Patrycja.

- Bo ja byłem tym drugim. Przykro mi - przygryzł wargi Pastuszek. - Nie mieliśmy żadnych złych zamiarów. Nie chodziło o zabawę. Chodziło o doświadczenie. Chcieliśmy sprawdzić, czy bociany jedzą ropuchy.

- To chyba oczywiste - mruknąłem.

- Wcale nie - rzekł Pastuszek. - Ropuchy nie należą do żab, wydzielają jad przez gruczoły na skórze. Byłem przekonany, że bociany czują wstręt do ropuch, a Kleptus, że nie, no więc postanowiliśmy sprawdzić... Ale wybuchła kłótnia, jak podać boćkowi Wojtkowi ten wątpliwy przysmak i kto ma to zrobić. Zaczęliśmy wydzierać sobie ropuchę i popychać się. Kleptus pchnął mnie tak mocno, że uderzyłem w regał. Regał przewrócił się na terrarium i rozbił szybę. Podnieśliśmy go, chcieliśmy zakryć dziurę w terrarium planszami i zabezpieczyć jakoś węże, ale nie dało rady. Były szybsze i pouciekały na korytarz. Wtedy przestraszyliśmy się i też uciekliśmy. No, to wiecie już wszystko... A my, siostró - zwrócił się do Patrycji, siląc się bohatersko na swobodny ton - pójdziemy razem do Klemy sprawdzić, czy jej oblicze zacznie faktycznie promieniować, gdy porażę ją prawdą i tylko prawdą.

Poszli, a ja i Emuś odprowadziliśmy ich ciepłym wzrokiem. Miło było wiedzieć, że nowy kolega, którego jeszcze nie znaliśmy, okazał się Sesse i że śmiało możemy zaszeregować typa do sortymentu A w naszej złotej kartotece.

Sekret panny Kimberley

W ten pamiętny weekend, w sobotę, Emeryk obudził mnie o piątej rano. Był już ubrany i zajeżdżało od niego fiołkowo, pewnie kretyn skropił się znowu tą damską wodą kwiatową, żeby okiełznać swoje niesforne włosy. I rzeczywiście były gładziutko ulizane.

- Wstawaj! - ściągnął ze mnie kołdrę. - Nie ma sensu gnić w łóżku, zanosi się na piękny dzień, pogoda jak ta lala! Mam dla ciebie propozycję. Pojedźmy do Szpitar-Zdroju. Zwiedzimy muzeum i galerię Wężerowiczów. Podobno mają rewelacyjne rzeczy...

Tak, Szpitary-Zdrój to małe uzdrowisko, piętnaście kilometrów od naszego Dłubkowa, przeżywało aktualnie wspañałą koniunkturę i coraz częściej było na ustach turystów, nie tyle z powodu wód mineralnych, ile za przyczyną Wężerowiczów. Była to stara i znana rodzina organistów szpitarских. Niedawno zmarły nestor rodu, również syn organisty, pierwszy wyłamał się z wiekowej tradycji. Był to niespokojny duch i jego kariera organisty zakończyła się równie szybko, jak skandalicznie. Będąc pod wpływem alkoholu, pozwolił sobie podczas wizytacji kościoła przez księdza biskupa zagrać na organach miast pobożnej fugi swoje własne wariacje na tematy wzięte z modnych wtedy utworów rockandrollowych, co wywołało, rzecz jasna, ogólne zgorszenie i protesty wiernych. Wyrzucony z pracy przez proboszcza podejmował się różnych zajęć. Wreszcie zaciągnął się na statek rybacki płynący na łowiska afrykańskie. W Abidżanie zszedł na ląd i słuch po nim na pewien czas zaginął, on tymczasem przedostał się do Katangi i zaciągnął do armii najemników walczących o oderwanie tej bogatej prowincji od Konga i utworzenie tam samodzielnego państwa.

Podobno wtedy to zgromadził zaczątki olbrzymiej fortuny, w dość tajemniczych zresztą i niejasnych okolicznościach. W jego rękach znalazła się część tak zwanego (żartobliwie) skarbu King-Konga, czyli zrabowanych przez najemników diamentów i innych drogich kamieni. On sam wyjaśniał, że kosztowności te dostał od samego Mojżesza Czombego, szefa rządu Katangi jako nagrodę za uratowanie mu życia. Incydent miał miejsce na początku lat sześćdziesiątych. Pełniąc w nocy wartę w pałacu rządowym, Wężerowicz zastrzelił dwa tresowane lamparty nasłane przez wrogów premiera w krytycznym momencie, gdy już wskakiwały przez okno do jego sypialni.

Zawistni mówili o Wężerowiczu, że zawarł pakt z diabłem, bo los mu bajecznie sprzyjał. Nie stronił od ryzyka, a przecież zawsze wychodził cało z najgorszych opresji. Łącząc pasję przygód ze zdolnościami handlowymi, szybko pomnożył swój majątek, tak że gdy w połowie lat sześćdziesiątych osiadł w Belgii, był już biznesmenem pełną gębą, szacowanym na sto milionów dolarów z okładem. Z afrykańskiej awantury wyniósł nie tylko całą skórę, worki twardej waluty i pokaźną część mitycznego skarbu King-Konga, lecz także przywiózł sobie uroczą młodą żonę, piękną Mulatkę o czekoladowej urodzie i o imieniu Mirella.

Jego syn Adalbert (czy jak niektórzy mówią - Albert) z równym powodzeniem kierował interesami i w ciągu siedmiu lat potroił fortunę dzięki śmiałym operacjom finansowym „na granicy prawa”. W roku 1995 niespodziewanie wrócił w rodzinne strony, do Szpitar, kupił zrujnowany pałac baronów Hellmanów i, łącząc przyjemne z pożytecznym, urządził w głównym korpusie pałacu swoją rezydencję, a w przyległych do bocznych skrzydeł pawilonach - galerię obrazów oraz muzeum ze zbiorami zabytków starożytnej kultury śródziemnomorskiej.

Główną atrakcją był tam dział egipski z eksponatami z czasów osiemnastej dynastii, a zwłaszcza pięć sarkofagów z tej epoki, jeden z nich ze świetnie zachowaną mumią.

Wszystko to było oczywiście warte zwiedzania. Obiektywnie więc rzecz biorąc, kierunek Szpitary-Zdrój to był niezły pomysł na wycieczkę, jednakże miałem nader ważne powody, aby odmówić i powiedziałem do fąfla:

- Spadaj! Po pierwsze, chce mi się jeszcze spać, a po drugie, byłem tam w zeszłym roku. Z wycieczką szkolną.

- Z wycieczką, to się nie liczy - nie ustępował mój brat męczydusza. - Poza tym muzeum wzbogaciło się ostatnio o nowe zbiory. Zobaczyłbyś prawdziwą mumię egipską, wyjętą z trumny i rozwinętą z bandażów.

Istotnie, mumia była rewelacją w takiej miejscinie jak Szpitary. Z jej powodu do muzeum ciągnęły tłumy zarówno tubylców, jak turystów i pacjentów pobliskiego sanatorium. Rozeszły się bowiem pogłoski, że jest to mumia przedwcześnie zmarłej (od ukąszenia kobry) egipskiej księżniczki Nefrete i że posiada ona cudowną moc uzdrawiania. Pierwszy doznał jej mocy emerytowany listonosz, dziadek mojego kolegi, pan Kleptus, człowiek bardzo nieufny, który stale podejrzewał, że jest

oszukiwany. Chcąc sprawdzić, czy mumia nie jest podrobiona i nie jest przypadkiem atrapą z papier mache lub plastiku, z ciekawości dotknął ją palcem.

W tym samym momencie, jak wieść głosi, ustąpiły mu bóle reumatyczne najpierw w ręce, potem w nogach, a potem w krzyżu i odzyskał pełną władzę w kończynach do tego stopnia, że tą uzdrowioną ręką jednym ciosem powalił ochroniarza, który niezbyt grzecznie zbeształ go za dotykane eksponatu, a także dwu innych agentów, którzy próbowali wyprowadzić emeryta-boksera z muzeum.

Wiadomość o „cudzie w Szpitarach” rozeszła się szybko po okolicy i do mumii zaczęły się ustawiać długie kolejki chorych, w tym przywożonych w wózkach paralityków. Ilość zwiedzających zwiększyła się jeszcze trzykrotnie, gdy po dotknięciu mumii niejaki Waldemar Ramiączko, od lat cierpiący poważnie na wątrobę i pozostający na ścisłej diecie, poczuł, że ustępuje mu zgaga i wraca apetyt na tłustą golonkę z chrzanem. Natychmiast udał się do pobliskiego baru Elefant i tam w obecności wielu świadków spożył dwie golonki z podwójną porcją chrzanu i zakropił czterema literatkami wyborowej, bez żadnych przykrych następstw, co potwierdziła miejscowa prasa. Niestety, wraz z rosnącą popularnością mumii zjawily się problemy. Mumie zaczęto rozkradać. Najpierw ktoś uciął jej palec. Mimo wzmożenia ochrony dwa dni później ukradziono drugi palec. Nie pomogło zakładanie mumii rękawiczek, kradzieże nie ustawały. W następnej kolejności złodzieje dobrali się do włosów egipskiej księżniczki i tu wzmocniona ochrona tudzież zakładanie mumii czepków zapobiegawczych nie ukróciły bezczelnych kradzieży. W tej sytuacji Wężerowiczowie nakazali z powrotem zabandażować szczelnie mumie specjalnym „bandażem pancernym”, zaś jako ludzie interesu rozpoczęli sprzedaż włosów mumii (zaopatrzonych w certyfikaty) w przystępnej cenie trzech dolarów ewentualnie dziesięciu złotych za sztukę. Proceder ten spotkał się z ostrą krytyką świata kultury. Zarzucano Wężerowiczom chciwość i niesmaczne, niegodne żerowanie na zabytkach tudzież profanację zwłok księżniczki. Rzekłem więc do Eusia:

- Masz spóźnione wiadomości, mumia jest z powrotem zawinięta.

- Powiedziałem tylko, że mumia jest rozwinięta ze starych oryginalnych bandaży - odparł Emuś.

- A zresztą, wciąż tak wygląda, jakby była rozwinięta, ponieważ nowe bandaże są wprawdzie pancerne, ale całkowicie przezroczyste. Tak więc twoje wiadomości są niepełne i naprawdę powinienes zobaczyć, jak ona teraz się prezentuje. Ubierają ją podobno w egipskie stroje, w fikuśne spodniczki i wdzianka. Reklamuje kostiumy plażowe i kąpielowe różnych domów mody.

- To rzeczywiście niesmaczne - skrzywiłem się - a teraz daj mi spać.

Ale smarkacz wciąż nie dawał za wygraną. Nudziarstwo i natręctwo, to wrodzona cecha Eusia. Połaskotał mnie w podeszwę, aż podskoczyłem i kusił mnie dalej:

- Będiesz mógł sobie zrobić zdjęcie z mumią. Wężerowiczowie biorą pięć złotych za pozę normalną, a za dopłatą jeszcze dwu złotych będziesz mógł przytulić się do księżniczki...

- Dziękuję. Nie chcę się przytulać ani w ogóle...

- Ale w każdym razie mógłbyś sobie obejrzeć obrzędy, rodzaj happeningu, który w sezonie tam organizują. Co godzinę przychodzą do mumii kapłani egipscy w obłądnych strojach i kadzą jej prawdziwymi wonnymi kadzidłami oraz zanoszą modły do Horusa. Ich śpiewy liturgiczne są niesamowite. Za dopłatą złotówki każdy może dwa razy zakadzić mumii...

- Nie lubię kadzić nikomu - mruknąłem. - A zresztą, czy to mumii pomoże?

- Mumii nie, ale na zwiedzających robi to duże wrażenie.

- Nie na mnie - odburknąłem. - To jakieś zgrywy urządzone dla wyłudzenia forsy.

- Jak chcesz - Emeryk wzruszył szczupłymi ramionkami - możemy zrezygnować z odwiedzenia muzeum, a za to włączyć do programu Spałę i żubry w Smardzewicach, Sulejów z opactwem cystersów, baszty, obwarowania i arsenał. Ale to jeszcze nie wszystko. Na koniec moglibyśmy popływać w zalewie...

Roześmiałem się i wyskoczyłem z łóżka.

- Dobry z ciebie czaruś, Esiu... przepraszam, chciałem powiedzieć Emeryku... ale nie czaruj i nie zalewaj z tym zalewem. To wszystko zasłony dymne, a ty masz zgoła inny powód, żeby jechać w tamte strony.

- Niby jaki? - Emuś zaróżowił się lekko.

- Jedziesz, bo liczysz, że tam się coś ciekawego stanie.

- A cóż niby ma się tam stać?

- Wielka kradzież, może nawet kradzież stulecia u Wężerowiczów, a może także morderstwo! Zasmakowałeś w pracy detektywa, bo udało ci się zdemaskować magistra Lalucha w Melsztynie i ducha Nikodema w Nieklaju.

- Co ty powiesz?!

- Nie wykręcaj się. Nie jestem może nadzwyczajnie bystry, ale przecież nie jestem ślepy. Widzę, że po całych dniach zaczytujesz się w podręczniku dla detektywów Pinkertona. Kupiłeś nową teczkę plastikową w zieloną kratkę i umieszczasz tam wycięte z gazet artykuły sensacyjne. Godzinami je studiujesz, wczoraj zasnąłeś z nimi. Zauważyłem, że gangsterzy Waldo i Programator to twoje typy na ten weekend. Podejrzewasz, że będą im pomagać bliźniacy: Trend Włochaty i Trend Wygolony. Interesują cię także miejsca zagrożone napadem, zwłaszcza takie, gdzie były już próby napadu. I ubzdurałeś sobie, że najbardziej zagrożony jest pałac Wężerowiczów i przechowywane tam afrykańskie skarby.

- Wcale nie ubzdurałem sobie - oburzył się Emeryk - tylko wy... wywnioskowałem naukowo, czyli wyde... dukowałem.

- Aaa, więc jednak puściłeś farbę... Miałem rację. Myślisz, że dzisiaj u Wężerowiczów będzie gorąco?

W odpowiedzi Eśio sięgnął po teczkę w szkocką kratkę i wyciągnął wycinek z lokalnej gazety.

- Posłuchaj, przeczytam ci, a ty sam ocenisz, czy ubzdurałem sobie... - powiedział i zaczął czytać:

Jak się dowiadujemy, remont zespołu pałacowego Wężerowiczów w Szpitarach-Zdroju dobiega końca. Wszystkie roboty mają być zakończone na dzień powrotu Adalberta Wężerowicza i jego małżonki z Afryki, czyli na najbliższą sobotę. Trwają jeszcze prace nad instalacją alarmową. Po zakończonym dziś demontażu starej, już w sobotę zacznie działać nowa supernowoczesna z całodobowym monitorowaniem, co wyeliminuje wszelkie zagrożenia dla znajdujących się w zespole pałacowym dzieł sztuk plastycznych i innych drogocennych zbiorów.

Eśio odłożył wycinek i zapytał:

- No i jak ci się to podoba? Pokręciłem głową.

- Masz rację - powiedziałem. - Co za idiota dziennikarz! Przecież to gotowe zaproszenie dla złodziei! „Spieszcie się i korzystajcie z okazji, panowie rabusie, dokonajcie skoku w sobotę przed południem, kiedy gospodarzy jeszcze nie będzie, kiedy stara instalacja alarmowa będzie już zdemonstrowana, a nowa jeszcze nie zacznie działać. Śmiało, panowie złodzieje! Taka okazja już się nie powtórzy”. Tak - westchnąłem - ten dziennikarz, to zupełnie nieodpowiedzialny facet!

- Brawo! - rzekł z zadowoleniem Emeryk. - Czasami masz przebłycki inteligencji - przyznał łaskawie. - Ty też powinienes zostać detektywem.

- Dziękuję, jeden detektyw w rodzinie wystarczy.

- Ale ten jeden jedyny raz mógłbyś się zabawić razem ze mną. Zobacysz, spodoba ci się. To duża frajda utrzcć nosa prawdziwym gangsterom... Pojedynek ze sławnym Programatorem... Pomyśl tylko! Taką przygodę zapamiętasz na całe życie. A szansa, że ją przeżyjesz, murowana. Wszystko wskazuje na to, że gang rozpocznie operację o godzinie siódmej rano, sam przyznałeś, że to jest na dziewięćdziesiąt procent pewne! Wstawaj, nie mamy już dużo czasu!

- Nic z tego - powiedziałem. - Umówiłem się na ósmą z Liszeńcem. Wypróbujemy nowy wóz, mercedes. Irek i ja będziemy prowadzili na zmianę.

- Bujasz, na zmianę, ty i on?!

- Słowo, dostał kluczyki od ojca. Zrobimy małą rundkę. Pan Liszeniec wybiera się za granicę i chce mieć porządnie dotarty wóz.

- Mercedes się nie dociera - zauważył Emeryk.

- Nie wiem, ale chodzi o to, żeby przejechać pierwszy tysiąc kilometrów i mieć przegląd z głowy. My to mu załatwimy.

- Wyobrażam sobie - Emeryk pokręcił głową. - Ale dziwię ci się, dla głupiej przejażdżki z Liszeńcem rezygnować z pasjonującej rozgrywki z gangiem?!

Chrząknąłem nieco zmieszany. Oczywiście nie powiedziałem Emusiowi całej prawdy.

A prawda była wspaniała! Po krótkim testowaniu wozu na szosie warszawskiej i z powrotem mieliśmy podjechać do Walencina Leśnego pod Szpitarami i stawić się na planie filmowym u reżysera Klapsera. Niedawno dostaliśmy ja i Irek obłądną propozycję. Rzecz w tym, że stryj Irka jest zastępcą kierownika produkcji kręconego właśnie filmu „Dzieci kosmosu” i do jego zadań należy

między innymi werbowanie statystów. Zostaliśmy więc bez kłopotów zwerbowani. Mamy zagwarantowane co najmniej trzy dni zdjęciowe jako statyści, lecz bardzo możliwe, że wystąpimy także w epizodycznej roli dulonów, czyli niewolników nekrofagów zbiegłych z planety TJur, ukrywających się i odżywiających na cmentarzu szpitalarskim. Musielibyśmy wtedy wypowiedzieć dwa zdania: „Co z kolacją, bracie Mee? Zęby ostrzę”; „Mam niestrawność, bracie Bee, dzisiaj poszczę”. Dostałibyśmy wtedy znacznie wyższą gażę, już aktorską, ale nie byłaby to rola przyjemna i obawiam się, że śmieliby się z nas w szkole. Już lepiej być kosmitą panem niż dulonem, choć wtedy dosztukowano by nam wielkie brzuchy i zębiska; w ogóle wszystkie kostiumy kosmitów są podobno obrzydliwe. Jednak ścierpielibyśmy wszystko, byle zagrać! Mój Boże, serce mi załomotało, gdy wyobraziłem sobie, że mam szansę zobaczyć moją gębę w filmie, co z tego, że nieco krzywą, ale moją własną. Oczywiście Emerykowi o tym na razie ani słowa. To będzie dla niego niespodzianka! Więc odburknąłem tylko:

- To nie będzie zwykła przejażdżka. Mamy z Irkiem do załatwienia pewien biznes.

- Biznes?

- Poważny interes, Ejsiu, także i ciebie on dotyczy, ale nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Zarobimy kupę szmalu.

- Dla szmalu?! Poświęcać taką ważną sprawę? Będziesz spokojnie patrzył, jak gang Programatora będzie buszował bezkarnie po pałacu i rabował, co mu wpadnie w rękę? Naprawdę sumienie cię nie zaswędzi?

Chrząknąłem po raz drugi, wzmianka o sumieniu rozdrażniła mnie. Mój Boże, czy ja jeszcze mam sumienie? Jeśli tak, to mocno zababrane, zarosłe znieczulicą, nieskore do poruszeń jak zgniła woda w zabagnionej sadzawce... A przecież coś tam drgnęło, coś zadrżało. To fakt, że z tym fanatem należałoby coś zrobić, bo w istocie nie będzie to zbyt przyjemne hulać mercedesem z niewygodną świadomością, że w tym samym czasie, parę kilometrów dalej triumfuje przemoc, dwu przyemniaków, bezczelny tandem: Waldo i Programator kpią sobie z prawa w żywe oczy i dokonują „rabunku stulecia”, a może nawet morderstwa! Tak, coś należałoby wymyśleć... Ale zaraz pomyślałem o ekipie reżysera Klapsera. Ja będę chandryczył się z moim cholernym sumieniem, a tam już asystenci Klapsera sprawdzają listy statystów. Gdzie jest ten łebek Zenon Bum z listy młodzieżowej? Nie ma!

Akurat teraz gra w oko z Programatorem? Nie szkodzi. Weźmiemy kogoś z rezerwowych, a tego gnojka Buma wykreślić. Nigdy już nie zagra w filmie.

- No i co z tym sumieniem, Zenku? - naciska Emeryk.

- Nie mam sumienia - odpowiadam.

- I nic nie korci cię, dać małą nauczkę tym gangsterom? - pyta przykro zaskoczony Emuś.

- Nie korci mnie.

- I naprawdę nie czujesz potrzeby całą mocą przeciwstawić się...

- Nie czuję - wykrzyknąłem rozzłoszczony, chyba o całą oktawę za wysoko tym okropnym kogucim głosem, który wciąż jeszcze mi się wyrywa, gdy się zdenerwuję.

- Tak! - wykrzyknąłem nieszczerze, bo miałem przed oczyma wycelowaną w siebie kamerę i w uszach gromkie zawołanie reżysera Klapsera:

Attention, on commence!

Akcja! Action, do cholery, if you please!

I trzask klapsa przed kamerą.

Nie, do licha, nie mogę tracić takiej szansy! Nie mam żadnego obowiązku ratować mienia tych geszefciarzy Wężerowiczów. Od tego są ochroniarze i policja. Co mnie obchodzi jakiś tajemniczy skarb podejrzanego pochodzenia, skarb, którego na dobrą sprawę nikt nie widział, którego w rzeczywistości może nawet nie być!

- I ty mi tu nie czaruj, czarusiu - wysapałem. - Ty mnie nie bierz na sumienie, na czułe serduszko, na harcerską służbę i te rzeczy... bo wiem dobrze, o co ci chodzi. Za dużo oglądasz sensacji w telewizorze i sam chciałbyś zostać bohaterem. Proszę bardzo! Wyladuj swoją detektywistyczną pasję w budzie i na podwórku. Ale nie rób się na ochroniarza z własnego mianowania! Nie pakuj się w łapy prawdziwej bandy! Zrób to, co powinien zrobić porządny człowiek. Zaalarmuj odpowiednie służby... zadzwoń na policję...

- Już to zrobiłem - odparł pośpiesznie Emuś.

- I co?

- Dyżurna policjantka obraziła mnie - oświadczył i przygryzł wargi.

- Jak to obraziła? - zapytałem zaskoczony.

- Najpierw zapytała, ile mam lat - odparł Emuś - a kiedy powiedziałem, że trzynaście, kazała mi oglądać wieczorem dobranockę z Muminkami zamiast dreszczowców i horrorów, i nie zawracać głowy policji! Mimo że byłem obrażony, po godzinie zadzwoniłem powtórnie. Tym razem telefon odebrał jakiś bardziej grzeczny aspirant, nawet przedstawił się z nazwiska, ale nie zapamiętałem...

Wysłuchał spokojnie wszystkiego, co miałem do powiedzenia, i zgodził się ze mną, że sytuacja stała się kry... - Emuś przerwał w tym miejscu i sięgnął do kieszonki. Wyciągnął z niej notesik. - Zapisuję tutaj nowe trudniejsze słowa - wyjaśnił. - Już mam. Ten aspirant powiedział, że sytuacja stała się...

- Kryminogenna - odpowiedziałem, chwając się rozległością mej wiedzy lingwistycznej. - To znaczy rodząca przestępstwo.

- Dokładnie - Ęsio spojrzał na mnie z uznaniem. - Ale w wypadku Wężerowiczów nic na to się nie poradzi, ponieważ komenda w tej chwili nie dysponuje ani wolnym wozem, ani ludźmi, bo tak się złożyło, że akurat dzisiaj mają pełne ręce roboty.

- Dzisiaj będzie ten mecz Kapedenu z Moczydłem - przypomniałem. - Zawsze wtedy dochodzi do awantur i bójk między szalikowcami.

- No właśnie, a po drugie, szykuje się burzliwa manifestacja chłopów przeciwko zniesieniu jakichś ochronnych ceł... i policja musi ją zabezpieczyć, a na koniec co najmniej dwudziestu policjantów będzie potrzebnych do zdejmowania z drzew ekologów. Siedzą tam od tygodnia na gałęziach jak smutne ptaszyska i nie pozwalają ścinać starych buków i dębów, które rosną w miejscu, gdzie ma przebiegać autostrada. I jeszcze ten aspirant powiedział - dodał Emuś - że przecież Wężerowicze mają wynajętą prywatną ochronę, a w ogóle to wcale nie jest pewne, że jakiś napad mimo tych kry... kryminogennych warunków nastąpi... Sam widzisz, Zenku, że taka sytuacja na policji to kolejny punkt dla gangu Walda i Programatora. To ich jeszcze bardziej zachęci do napadu. I tu otwiera się dla nas pole do działania...

- Co, u licha, chcesz zrobić?!

- Po prostu być.

- Być?

- Być tam w tym samym czasie, co gangsterzy i spłoszyć ich.

- Oddaj mi klamkę, którą mi zabrałeś i stale nosisz...

- Nie dam ci! Zwariowałeś?! Chcesz ich spłoszyć klamką?

- A jak się nie spłoszą?

- To postraszyć ich.

- A jak się nie przestraszą?

- To zrobić im parę psikusów.

- O ile przedtem nie ukręca ci wścibskiego łebka - mruknąłem. - Ty zupełnie oszalałeś - zdenerwowałem się. - Tobie się zdaje, że to będzie fajna zabawa, a tymczasem zanosisz się na śmiertelną rozgrywkę. Ci panowie, to zawodowi przestępcy, wytrawni profesjonaliści. Nic im nie zrobisz, a możesz oberwać przy okazji. Z nimi nie ma żartów!

- Idź, poskarż na mnie rodzicom! - mruknął Emuś, pakując swój telefon komórkowy (ostatni cenny nabytek do wyposażenia detektywa).

Wzruszyłem ramionami.

- To dobrze, że bierzesz z sobą telekom - powiedziałem. - Jeśli się opamiętasz i zapragniesz dołączyć do nas, zadzwoń - nagryzmołem mu na kawałku papieru numer telefonu Irka Liszeńca, po czym ziewając poczłapałem do łazienki.

W drzwiach zatrzymałem się i obróciłem do Emusia.

- Ostrzegałem cię. Pamiętaj!

Zaraz po śniadaniu zabrałem się do pakowania plecaka. Pogoda nie zapowiadała się najlepiej, wprawdzie było jak na wrzesień stosunkowo ciepło, ale pochmurno.

Wziąłem więc z mojej szafki zapasowy sweter. Chciałem wziąć jakiś ciepły dres na wszelki wypadek, ale przypomniałem sobie, że wczoraj mama zabrała go do prania i na pewno jeszcze nie wysechł. Mój wzrok padł na pomarańczowy dres Emeryka, kupiony mu trochę na wyrost przez ciotkę Muszyńską na imieniny. Pomyślałem, że nic się strasznego nie stanie, jak pożyczę go sobie.

Punktualnie, jak było umówione, o ósmej, usłyszałem klakson samochodu Irka.

Wyskoczyłem z pokoju. Gdy przemykałem się przez jadalnię, zatrzymała mnie mama.

- A ty gdzie się wybierasz?

- Do pracy, mamó - odparłem z całą powagą.

- Do jakiej pracy? - zapytała zdziwiona.

- Do pracy w charakterze statysty, mówiłem mamie, że w sobotę muszę być w Walencinie Leśnym, bo tam kręcą plenery filmu i zaangażowali mnie z Irkiem na statystów przez protekcję jego stryja. Zapłacą trzydzieści złotych za dzień i dadzą żarcie z kotła.

Dźwięk klaksonu rozległ się ponownie.

Mama wyjrzała przez okno i zobaczyła Liszeńca. Wsiadł z wozu.

- Właśnie przyjechał po mnie.

- Nowym samochodem? Sam?! Taki smarkacz?

- Ma prawo jazdy, mamó. Nie wiem, jak je zdobył, ale ma. Oglądałem.

- Kupił pewnie - zauważyła zgryźliwie mama. - Nie podoba mi się to kolegowanie z Liszeńcem.

Mam złe przeczucie, że coś niedobrego się stanie.

- Ależ mamó, to tylko trzydzieści kilometrów, będziemy jechać ostrożnie.

Wybiegam z chaty i pakuję się do mercedesa. Odjeżdżamy w milczeniu. Irek wydaje mi się czymś zdenerwowany, wyraźnie spięty. Kładę to na karb tremy debutanta. W końcu pierwszy raz zasiadł za kierownicą takiego wozu. Ale dzięki tej tremie jedziemy wolno i ostrożnie. Czasu mamy sporo i nie spieszymy się. Więc najpierw zasuwamy warszawską szosą w stronę Rawy Mazowieckiej, zawracamy na dwudziestym kilometrze i przez Tomaszów pędzimy do Spały, a stąd do Walencina. Ten ostatni odcinek jazdy powinien sprawić mi sporo satysfakcji, ponieważ zgodnie z umową Irek oddał kierownicę w moje ręce. Droga jest łatwa, pustawa, typowa droga leśna, ale spisuję się fatalnie i omal nie rozbijam mercedesa o wielką sosnę, choć nie przekraczam szybkości trzydziestu kilometrów na godzinę. Wszystko dlatego, że cały czas myślę, co nas czeka u celu podróży. Myślę jak zwykle za dużo i niepotrzebnie, bo rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Boję się, żeby nie przebrali mnie w jakies koszarne kostiumy i nie kazali mi paradować z tym błazeńskim brzuchem i zębiskami jak u krokodyla, to by mnie położyło w budzie.

Małpi lud, który wałkoni się w naszej szkole, tylko czeka na okazję, żeby mnie ośmieszyć. Nie mógłbym już być w mojej paczce ani drugi, ani trzeci, ani nawet piąty po Bogu.

Ale rzeczywistość przynosi zgoła inne kłopoty. W miejscu obozowiska ekipy filmowej wita nas złowróżbna cisza i bezruch. Podejrżane okrzyki dochodzą natomiast z pobliskiego lasu. Popędziliśmy tam i ujrzelśmy gorszące widowisko.

Palono kukłę reżysera Klapsera. Dookoła ogniska biegali otuleni w koce jacyś półnaczy ludzie i wykrzykiwali niezrozumiałe hasła. Okazało się, że wczoraj wybuchł strajk ekipy. Drzewa i namioty zostały oflagowane. Powodem wzburzenia ekipy było obrzydliwe rzekomo pożywienie i fatalne warunki zakwaterowania. Sytuacja była nader poważna. Niemal u połowy ekipy wystąpiły gwałtowne objawy zatrucia pokarmowego, a druga połowa w mniejszym lub większym stopniu uległa przeziębieniu, gdyż mimo chłodnych jesiennych nocy kazano im spać w tropikalnych, w dodatku dziurawych namiotach i nie zaopatrzone ich nawet w byle jakie śpiwory. Jedynie reżyser Klapser i jego świta mieli do dyspozycji trzy nowoczesne i świetnie ogrzewane przyczepy kampingowe. Klapserowi podobno było tak ciepło, że widziano go stojącego w otwartych drzwiach przyczepy i zajadającego lody „Eskimo” w kąpielówkach, a asystent wachlował go zielonym ręcznikiem, podczas gdy szara reszta ekipy trzęsła się z zimna. Rozgoryczenie i złość filmowców potęgował choleryczny temperament i przykre usposobienie reżysera tudzież jego niesamowite pomysły. Miarka przepełniła się, gdy znieważył on wprawdzie tylko słownie (lecz słowami nie nadającymi się do powtórzenia w kulturalnym towarzystwie) wybitnego aktora Kazimierza Indora, gdy ten nie chciał włożyć kostiumu „psa galaktycznego” i chodzić na czworakach po lesie.

Obrażony Indor stanął na czele buntu i zagroził wywołaniem skandalu na skalę krajową, zwołaniem konferencji prasowej oraz zwrócił się do producentów filmu o zdjęcie Olafa Klapsera ze stanowiska reżysera, jeśli nie przeprosi obrażonych i nie odda przynajmniej dwu przyczep kampingowych na prowizoryczny szpital polowy, gdzie można by umieścić dotkniętych przejściową niemocą członków ekipy, oraz nie zaniecha prowokacyjnego wachlowania się ręcznikiem tudzież publicznego zajadania się lodami „Eskimo”, gdy inni trzęsą się z zimna.

W tej sytuacji Olaf Klapser zlecił asystentowi Czopkowi prowadzenie pertraktacji z buntownikami, a sam zabrał (jak to określił) zdrowe i zdyscyplinowane jądro ekipy do Szpitar-Zdroju, gdzie też były zaplanowane (lecz w terminie późniejszym) zdjęcia plenerowe. Okazało się, że kłopoty reżysera Klapsera otwierają przed nami nowe niespodziewane szanse (może na zasadzie, że tonący brzytwy się chwytą).

Otóż stryjek Irka pokazał mu fragmenty amatorskiego filmu nakręconego przez Czajduszę. W filmie tym graliśmy role dwu nieprzytomnych wariatów, którzy wtargnęli do budy podczas zabawy szkolnej i narozrabiali zdrowo.

Podobno nasze krzywe, nieszczerze uśmiechnięte gęby i nasza naturalna gra (czuliśmy się dobrze w tej roli), wszystko to zrobiło korzystne wrażenie na Klapserze i stryj Irka od razu to wykorzystał. Ten pan Jakub, stryj Irka to znakomity gość. Za jego podszeptem Klapser postanowił obsadzić nas w ważnej sekwencji inwazji kosmicznej jako agentów specjalnych Nr 101 i 102 w miejsce, jak się wyraził, zbuntowanych kabotynów i wpuścić do „zgangrenowanego” towarzystwa trochę zdrowej krwi (to znaczy oczywiście nas). Baliśmy się, czy podołamy zadaniu i mieliśmy tremę. Chodziło nam zwłaszcza o dość trudną i pikantną scenę porwania przez kosmitów pięknej śpiewaczki Mirabelli, podczas jej kąpieli w wannie. Irkowi zresztą chodziło głównie o wagę śpiewaczki, martwił się, czy udźwigniemy tę kobietę, ale pan Jakub zapewnił nas, że po ostatniej kuracji odchudzającej nie waży więcej niż sześćdziesiąt kilo i we dwóch na pewno damy jej radę. Dowiedzieliśmy się tego z listu zostawionego przez pana Jakuba dla Irka u asystenta Czopka. Na zakończenie prosił nas o stawienie się przed reżyserem Klapserem o godzinie czternastej w Szpitarach-Zdroju przy tak zwanych Łazienkach Głównych, gdzie w kabinie numer 17 założył prowizoryczną kwaterę.

Spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta.

- Zjadłbym coś - powiedziałem - bo właściwie nie zdążyłem wsunąć normalnego śniadania.

- Zjesz niedługo, ale w Końskich, bo jedziemy do Końskich.

- Po co do Końskich? Zobaczyć konie?

- Aleś dowcipny! - skrzywił się Irek. - Jedziemy do Końskich do jednej dzidzi.

- Po co do dzidzi?

- Dzidzia ma na imię Eugenia, ale wszyscy nazywają ją Enia. Właśnie obchodzi imieniny; poznałem ją nad morzem na wakacjach. Do spotkania z reżyserem Klapserem mamy prawie pięć godzin. Wpadniemy do Eni złożyć jej życzenia, a potem zabierzemy ją do Sulejowa i popływamy po jeziorze.

- To szalony pomysł - zauważyłem.

- Enia uwielbia szalone pomysły.

Zrozumiałem, że sprawa jest przesądzona. Ta dzidzia z Końskich musiała nieźle zawrócić w głowie Irkowi. Ciekawe, czy wzajemnie. No cóż... przekonamy się niedługo...

Niestety, moja ciekawość nie została na razie zaspokojona. Ledwie skręciliśmy z drogi leśnej w stronę Końskich na piotrkowską szosę, w kieszonce Irka odezwał się pisk telefonu. Irek podał mi aparat.

- Odbierz - mruknął.

Dzwonił mój znakomity braciszek Emeryk. I od razu zdjęły mnie złe przeczucia, że nasz rodzinny geniusz popsuje mi tak wspaniale zapowiadający się dzień; jest w tym, jak wiadomo wybitnym specjalistą.

- Co się stało, detektywie - nie mogłem powstrzymać się od sarkazmu. - Złapałeś za frak Wielkiego Programatora?

- Jednak dobrze by było, żebyś szybko przyjechał, Zenek. Tu się dzieją naprawdę niedobre rzeczy...

- Skąd dzwonisz? Ze Szpitar?

- Dokładnie to z trumny.

- Nie wygłupiaj się!

- Mówię poważnie. Leżę w sarkofagu egipskim w muzeum Węzerowiczów. Musiałem się schować, bo byłem w małych opałach, nakryli mnie...

- Kto cię nakrył?

- Śledziłem Programatora. Od razu go poznałem po tej łysinie i oczach zimnych jak lód. Jest tylko wyższy i chudszy, niż myślałem. Wszedł do budki ochrony przy bramie, w ręce trzymał tele-

fon. Nie spodobało mi się to. Gdzie, u licha, ochroniarze Wężerowiczów?.. Byli tam w środku. Uśpieni...

- Skąd wiesz?

- Stałem na palcach, zajrzałem przez szybę i zobaczyłem ich... dwóch... w otwartej szafie.

- W szafie?!

- Żeby było więcej miejsca, Programator wpakował ich do szafy... na stojąco.

- Na stojąco? Uśpionych?! Bzdury pleciesz.

- Wcale nie bzdury. Oni naprawdę stoją, tylko nie o własnych siłach, bo Programator podczepił ich do wieszaków.

- Żyją?

- Tak, ale to widok makabryczny, wyglądają na wisielców, z tym że jeden mruga co chwila oczami, a drugi... drugi ma tik i kręci nosem, jakby mu się to wszystko nie podobało. Horror! Ale wytrzymałem, nie uciekłem, bo byłem ciekaw, do kogo dzwoni Programator i co mówi. Włączyłem magnetofonik i udało mi się prawie wszystko nagrać. Nagrałbym więcej, ale on musiał coś zwężyć, bo nagle wyskoczył z budki, zobaczył, że podsłuchuję i rzucił się do mnie. Chciał mnie złapać, ale ja zaprawiłem go pieprzycą!

- Jaką znowu, u licha, pieprzycą?

- To mój specjalny preparat sporządzony na bazie mielonego czarnego pieprzu, czerwonej papryki i soli. Na parę minut wyłączyłem Programatora z programu - zaśmiał się Eśio - ale jego bolesny krzyk zaalarmował innych gangsterów. Musiałem uciekać. Muzeum było otwarte i puste, więc schowałem się w sarkofagu, nasunąłem wieko; leżę teraz w tej egipskiej trumnie jak żywa mumia i na razie jestem bezpieczny, ale wiem, że mnie szukają, w każdej chwili mogą tu zajrzeć i wyciągnąć mnie stąd za uszy.

- Niech cię kule biją! - zawołałem. - Nieźle narozrabiałeś!

- Ja narozrabiałem?! - oburzył się Emeryk. - Śledzę i in... inwigiluję bandytów, a ty to nazywasz rozrabianiem?!

- Zaraz, zaraz, spokojnie, nie gorączkuj się. Ten typek, którego bierzesz za Programatora, to może być normalny ochroniarz, który składał telefonicznie meldunki, a ci w szafie to właśnie obezwładnieni gangsterzy. Wszystko na odwrót, Eśiu. A w ogóle, daruj, ale ci faceci na wieszakach w szafie... to jakaś fantastyka. Czy nie poniosła cię wyobraźnia? Robisz sobie z tego dziecianną zabawę. Ja nie mam czasu na bzdury! Cześć!...

- Nie, Zenon, błagam, nie rozłączaj się! To śmiertelnie poważna sprawa! Sam się przekonasz. Posłuchaj, co nagrałem! Włączam!

W aparacie rozległ się stłumiony głos. Nagranie nie było pierwszej jakości, ale udało mi się zrozumieć prawie wszystko.

- Pserdoń? Co tam, do jasnej kanciastej, posnęliście wszyscy? - usłyszałem brzydkie przekleństwo. - Tu Szpitalary! Mówi Programator... panna Kimberley czeka niecierpliwie! Z wyniesieniem jej nie będzie problemów. Powtarzam: panna Kimberley czeka niecierpliwie! Chcę widzieć wszystkich chłopców tutaj punktualnie za godzinę! Jakies pytania? Odbiór!... Z ochroniarzami nie będzie kłopotu, już śpią i śni im się pewnie, że są pajacykami na choince, bo zawiesiłem ich w szafie. Kwadrans temu wypili piwko zaprawione przeze mnie pastylką. Powrót Wężerowiczów przewidziany jest na godzinę czwartą, ale mogą zjawić się już o trzeciej, jeśli konferencja prasowa w Warszawie nie odbędzie się, lecz zostanie przełożona na jutro, a jej miejscem będą Szpitalary. W rezydencji jest teraz tylko ta gruba kucharka Marychna. Niańka z niemowlęciem właśnie wyjechała na spacer do parku zdrojowego. Marychna za niecałą godzinę wyjdzie po zakupy; zawsze to robi o tej porze, ale gdyby się jej coś odmieniło, trzeba na wszelki wypadek przygotować numer z posłańcem i gazową bombonierką. Niech się zaraz tym zajmie Pupejko! I jeszcze co do Lidki, mój Pserdoniu. Nie powinieneś pozwalać, żeby się spoufalala z panną Kimberley. Waldo stanowczo nie życzył sobie tego. Żadnych zbliżeń, żadnych żartów na jej temat i dowcipów o King-Kongu! Pod tym względem nasz znakomity boss nie ma zupełnie poczucia humoru. Zrozumiałeś? Twoja Lidka ma się trzymać od panny Kimberley z daleka! To lepsza cwaniara. Skąd ty ją wytrzasnąłeś, Pserdoń?... No, tak rozumiem, wtyczka w roli pokojówki, niemniej jej słabość do biżuterii nie podobała mi się od początku; chciałem ją dzisiaj sprawdzić, niestety, bestia, ulotniła się stąd skoro świt. Czy jesteś pewien, że nie wyniosła czegoś na pamiątkę?... A jednak!... Co? Co mówisz?! A więc miałem nosa! Ile tego wyniosła? Cały woreczek?! Pół kilo? Co najmniej ćwierć - mówisz... Nieźle! Niech ją

szatan pieści! Czy jeszcze coś zwinęła? Mów prawdę, Pserdoń! Wiesz, że nie masz zbyt mocnej pozycji u bossa. Psujesz nasze misterne akcje, masz opinię brutala, a twoje zamiłowanie do puka-
wek i mokrej roboty napełnia nas obrzydzeniem. No, więc jak, Pserdoń? Nie... nie powiem Waldo-
wi, jeśli mi opowiesz... Mów... Cooo? Cooo takiego?! Ośmieliła się targnąć na Oko Proro-
ka?! Bezczelna dziewczucha! Twierdzi, że dostała w prezencie od Wężerowicza?! Odebrałeś jej,
mam nadzieję? No, nie!!! Nie opowiadaj mi takich rzeczy! Wpadła w ręce Tancerza?! Tego choler-
nego kulasa!?! Zabrał jej wszystko? Oko też? Psiakrew, tego jeszcze brakowało! Daję ci godzinę i
ani minuty dłużej na załatwienie Tancerza! Boss w żadnym wypadku nie może się o niczym do-
wiedzieć. Jest zakochany po uszy w pannie Kimberley i nie zniósłby, gdyby doznała najmniejszego
uszczerbku. Cacuszka muszą wrócić do panny Kimberley, inaczej nie ręczę za twoją głowę, łysoniu
Pserdoniu! Bierz się natychmiast do roboty!

- Wystarczy, Ęsio - przerwałem. - To rzeczywiście brzmi dość sensacyjnie - powiedziałem - ale
wbrew pozorom to raczej drobna historia, nie powinniśmy się w to angażować. Tu nie chodzi o tak
zwany skarb Wężerowiczów.

- Drobna sprawa?! Ależ Zenku - oburzył się Emeryk. - Czy nie rozumiesz? Willa Wężerowiczów
naszpikowana była wtyczkami gangstera Walda, który występuje pod ksywą Boss. Panna Kimber-
ley i ta Lidka, rzekoma pokojówka, przygotowały akcję od wewnątrz. Wspólnik Walda zwany
Programatorem unieszkodliwia ochronę i dyryguje całością...

- Ponoś cię fantazja - powiedziałem. - Jeśli chcesz znać moje zdanie tu wcale nie chodzi o
złodziejski skok na skarb Wężerowiczów.

- A o co? - zapytał Emeryk.

- Sprawa może wyglądać bardziej romantycznie.

- Romantycznie, co ty...

- Tak, to chyba właściwsze słowo.

Westchnąłem ciężko. Potwierdziło się to, czego najbardziej się obawiałem. Tym razem Emeryk
uległ pasji detektywistycznej, a to już nie zabawa, to w pewnych przypadkach może być bardzo
niebezpieczne - pomyślałem. W pewnych przypadkach, ale akurat nie w przypadku afrykańskiego
skarbu Wężerowiczów. Cała ta sprawa z montowaniem rzekomego skoku na ten skarb, to czysty
produkt chorobliwie podnieconej wyobraźni Ęsia. Tak pomyślałem, a głośno powiedziałem:

- To, co słyszałeś, wygląda strasznie tylko w twojej naciąganej interpretacji, jeśli wiesz, co to sło-
wo znaczy. Uroiłeś sobie wszystko. Wyciągnąłeś zbyt pochopne wnioski, a ta cała twoja hipoteza
jest diabła warta! Mógłbym na podstawie tych samych faktów ułożyć z miejsca zgoła odmienną,
wręcz przeciwną twojej.

- Przeciwną? - w głosie Emeryka dało się słyszeć szczerze zdziwienie.

- Zupełnie przeciwną - potwierdziłem. - Moim zdaniem wcale nie chodzi tu o złodziejski
skok na skarb Wężerowiczów.

- A o co?

- Cała rzecz może wyglądać bardziej romantycznie.

- Romantycznie?! Jak to?

- Tak, Ęsio. To chyba właściwe słowo. Sprawa łączy się oczywiście z panną Kimberley. Nie ma
żadnych podstaw, by uważać ją za agentkę i współpracowniczkę jakichś gangsterów. Ten człowiek, które-
go nagrałeś... Jak mu tam?... Programator, o ile pamiętam... Otóż ten Programator powiedział: „Z
wyniesieniem panny Kimberley nie będzie żadnych trudności”. Dlaczego mają ją wynosić. Wynosi
się kogoś, kto nie może wyjść o własnych siłach, albo nie chce. Własnej agentki się nie wynosi...

- Owszem, w niektórych przypadkach wyniesienie agentki może mieć miejsce - rzekł niestropi-
ony Ęsio. - Na przykład, kiedy agentka nie jest na chodzie.

- Co tobie chodzi po głowie? - zmarszczyłem czoło.

- Kucharka mogła ją pobić - oświadczył Ęsio.

- Kucharka pannę Kimberley?! Pobić?!

- Patelnią albo wałkiem do ciasta, albo pałą do mięsa. Kucharki dysponują bogatym asortymen-
tem sprzętu do bicia i kłucia. To znakomity oręż. Mogła więc nawet zadać tej Kimberley parę ran
kłutych nożem kuchennym, a potem nieprzytomną dziewczynę zawlokła na poddasze i przywiązała
do łóżka...

- No, nie... - chciałem zaoponować zde gustowany.

- Czemu nie? - przerwał mi Ęsio. - Być może w tym łóżku leży już teraz trup!

Wzdrygnąłem się. Mój brat miał makabryczne pomysły.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziałem - to są podejrzenia równie obrzydliwe, jak bezzasadne. Czemu kucharka miałaby to robić?

- To proste. Kucharka jest na usługach konkurującego gangu - odparł niezmiśniony Eşio. Miał na wszystko gotową odpowiedź. - Chciała się także dostać do Lidki, ale Lidka w porę uciekła, okradając na zakończenie Wężerowiczów z dostępnej jej części drogich kamieni.

- No, dobrze - wycedziłem rozdrażniony. - Wysłuchałem cię, a teraz ty wysłuchaj mojej wersji. Ta Kimberley to podfruwajka, postrzelona małolatka. Bliska krewna lub wychowanka Wężerowiczów. Wężerowiczowie przywieźli ją z Afryki. W każdym razie ich - podopieczna. Zadurzyła się po uszy w jakimś Robercie, prawdopodobnie kontrahencie handlowym Wężerowiczów, młodym przedsiębiorcy zwanym przez podwładnych Bossem. Zawrócił dziewczynie porządnie w głowie. Wężerowiczom to się nie podobało. Nie uważali Roberta za właściwego kandydata na męża panny Kimberley. Być może wiedzieli, że prowadzi niezupełnie czyste interesy i uważali go za podrzędne kombinatora-aferzystę. Dziewczyna groziła już parę razy, że ucieknie. Być może już uciekała, więc na czas swojej nieobecności w domu podjęli środki ostrożności. Zabronili nieszczęśliwej Kimberley opuszczania pokoju, nakazali pilnowanie jej przez agentów ochrony oraz zaufaną sekretarkę, pannę Lidkę. Krótko mówiąc, uwięzili biedną Kimberley niczym ową królową z bajki o szklanej górze. Ale Robert ani myślał skapitulować. Wraz ze swoim oddanym przyjacielem-asystentem znanym pod przezwiskiem Programator obmyślił plan uwolnienia dziewczyny. Czasu było niewiele, bo Wężerowiczowie mieli wrócić lada dzień, a na dodatek wyłoniły się dodatkowe trudności. Panna Kimberley z tych wszystkich zmartwień rozchorowała się i nie mogła pomagać w przygotowaniach do ucieczki, a Lidka, zamiast ją otoczyć opieką i pielęgnować, zmyła się, jak wiadomo, zabierając sporo biżuterii, w tym cenny brylant Oko Proroka. Prawdopodobnie część łupu gdzieś ukryła, a resztę z drogocennym Okiem zrabował jej Tancerz. Oczywiście Robert chciał dostać pannę Kimberley razem z przynależnymi jej walorami, toteż Programator postawił na nogi całą ferajnę, by je odzyskać...

- Dostyc - rzekł ostro Eşio. - Zarzucasz mi, że cię poczęstowałem wysaną z palca powiastką, ale naprawdę to ty, Zenon, układasz bajeczki dla grzecznych dzieci. Pomyśl spokojnie sam, gdyby chodziło tylko o zorganizowanie ucieczki tej smarkatej Kimberley, a Robert i jego ludzie nie byli zwykłymi gangsterami, czy posunęliby się aż do kryminalnych czynów... a oni działają jak wytrawni przestępcy. Obezwładniają agentów ochrony, fachowo demontują alarmowe urządzenia, przecinają kabel.

- O jakim kablu mówisz? - przerwałem zaintrygowany.

- Nie mówiłem ci? No więc posłuchaj, od rana pod willą Wężerowiczów stał wóz z napisem Zakład Energetyczny i namiot z takim samym napisem, a koło niego uwijali się ludzie w zielonych ubraniach... zobaczyłem, że mają torby i skrzynki z narzędziami, nożyce do przycinania drutów...

- Zaraz - podchwyciłem - powiedziałaś: w zielonych ubraniach? Coś się nie zgadza. O ile wiem, ludzie z energetyki w całym naszym województwie, a więc i w Szpitalach, noszą żółto-czerwone ubrania robocze. Ludzie w zielonych ubraniach to pracownicy wodociągów i kanalizacji.

- Otóż to! - nie speszył się bynajmniej Emeryk. - To właśnie świadczy, że mamy do czynienia z fałszywymi energetykami. Naprawdę są to przebrani gangsterzy, którzy dla zmylenia przechodniów odstawiają kino.

- Powiedziałaś „kino”? - ożywiłem się. - Niech cię Czajdusza pieści! Zapomnieliśmy o jednym! Skoro dziś Kłapser rozpoczął w Szpitalach zdjęcia do „Dzieci kosmosu”, wszystko co powiedział Programator, a co ty nagrałeś, Eşiu, może być po prostu kawałkiem filmu, a dokładnie, filmowego dialogu, wypowiedzianego przez aktora... ten twój Programator po prostu jest aktorem, a ty wzięłaś scenę filmową za rzeczywistość...

- Nie widziałem żadnej kamery - zauważył Emeryk.

- To mogła być próba bez kamery albo po prostu scena filmowana była ukrytą kamerą, by występujący tam autentyczni „prawdziwi” przechodnie i kuracjusze parku zdrojowego nie wiedzieli, że są filmowani i zachowywali się naturalnie. Coś ci powiem, Eşiu. Sprawdź najpierw dokładnie tych facetów w zielonych ubraniach i rozejrzyj się, czy nie kręci tam ekipa filmowa.

- Dobra, ale teraz nic nie mów - przerwał Eşio i ściszył głos niemal do szeptu.

- Słyszę spieszne kroki. Ktoś wszedł, a raczej wbiegł do sali... To młoda kobieta! Ma torbę konduktorę. Widzę przez szparę, akurat jest w polu mojego widzenia... Kto to? Czyżby to była Lid-

ka? Bardzo się spieszy. Czego tu szuka? Żeby tylko nie przyszło jej do głowy zbadać sarkofagi... Dreńwieję... i dostaję bolesnego skurczu w łydce... Ona... ona faktycznie idzie w stronę sarkofagów... ale nie do mnie. Zatrzymała się przy drugim, największym sarkofagu, odsuwa bezgłośnie wieko... czyżby było na rolkach? Dobrze nasmarowane? Pochyliła się i wyjmuję z wnętrza... czerwona deszczułkę. Czy to znaczy, że sarkofag ma podwójne dno? Lidka wyciąga z torby mały płaski pakunek... umieszcza w sarkofagu, potem wkłada z powrotem deszczułkę, zasuwa wieko i szybko odchodzi. Wygląda na to, że w sarkofagu zainstalowana jest skrytka i że Lidka przechowuje tam swoje złodziejskie łupy. Chyba opuszczę teraz ten niewygodny schowek, bo strasznie ścierpłem. Zbadam, czy masz rację z tą ekipą filmową. Rozłączam się...

- Zaraz, Emuś, poczekaj... Musimy się umówić... - krzyknąłem do telefonu, ale nie zdołałem dokończyć zdania, bo Irek przyhamował gwałtownie, a ja nie miałem zapiętego (przez świadomy bimbalizm i chojractwo) pasa, wskutek czego poleciałem do przodu i omal nie wybiłem dziury w szybie.

- Co ty wyrabiasz! - krzyknąłem wściekły, ale Liszeniec, zamiast odpowiedzieć, wymownym ruchem podbródka wskazał na łysego chuderławego osobnika o kulach, który niespodziewanie wtargnął na środek jezdni i rozpaczliwie wymachując aluminiowym szczudłem, próbował nas zatrzymać.

Wychyliłem łeb z wozu.

- Czego? - zapytałem niezbyt grzecznie.

- Panowie, błagam - wybelkotał kaleka. - Podrzucicie mnie do Szpitala.

Irek obrzucił kulasa niechętnym spojrzeniem. Jego powierzchowność nie budziła zaufania, stary płaszcz był wyraźnie brudny, podobnie jak buty nosił ślady błota, a przewieszona przez ramię sakwa była wyświechtana i ohydnie wyszmelcowana.

- Spływaj pan - mruknął Irek - to nie moja gabłota, stary łeb mi ukreści, jak zobaczy, że ktoś tu mu naświnił...

- Panie kierowco, bądź pan człowiekiem, ja się bardzo spieszę. Mam zagrać żebraka u reżysera Klapsera, umówiony jestem. Nie pobrudzę, a dobrze z góry zapłacę - poślinił palec i wepchnąwszy kule głębiej pod pachy, odliczył trzydzieści złotych w trzech banknotach dziesięciozłotowych. Podał je Irkowi, a widząc, że ten się waha, pogmerał w sakwie i westchnąwszy dołożył jeszcze dwa.

- Spełń miłosierny uczynek i zabierz człowieka - powiedziałem, a szeptem dorzuciłem: - nie bądź frajer, przyda się na benzynę. Pięć dych piechotą nie chodzi.

- Wskakuj pan! - warknął Irek, zgarnął banknoty i otworzył tylne drzwi.

Inwalida wrzucił do wozu prawe szczudło i podpierając się lewym sprawnie wtarabanił się do gabloty.

Muszę od razu szczerze wyznać, że już po dwu minutach zacząłem żałować, że namówiłem Irka, by zabrał tego człowieka. Nieprzyjemny był. Wiercił się cały czas nerwowo, skubał pokrowce foteli, raz po raz zerkał niespokojnie w tylne okno, wreszcie wyraźnie zniecierpliwiony umiarkowanym tempem jazdy chwycił Irka swymi szponiastymi rękoma za ramię i zaczął szarpać bezceremonialnie.

- Prędzej, kolego! - zaskrzeczał. - Nie jesteśmy na pogrzebie!

- Niech pan zdejmie łapę ze mnie - obruszył się Irek. - Jadę z prędkością, jaka mi odpowiada. A odpowiada mi zwykle prędkość najbardziej ekonomiczna dla danej klasy wozu!

- W tej chwili, kolego, najbardziej ekonomicznie będzie wcisnąć gaz do dechy - wysapał inwalida. - Czy nie widzisz tego faceta z czarną bródką na motorze? Przyjrzyj mu się, ten w żółtym kasku. To znana postać przestępczego świata, płatny morderca, człowiek z gangu Walda i Programatora. Nazywa się Izidor Głędos. On nas wyraźnie goni. Boję się, że ma złe zamiary...

- Zdaje się panu - mruknął Irek, zerkając w lusterko, ale przyspieszył ostro.

Z prędkością sto osiemdziesiąt na godzinę oderwaliśmy się dość łatwo od Głędosa (jeśli to naprawdę był on). Oczywiście Irek zrobił to, żeby się popisać przed nami i dla ubawu napędzić nam strachu. Nie będę ukrywał, że mu się to w pełni udało. Z nadmiaru emocji zaparłem się nogami o podłogę mercedesa, skuliłem się i zapiałem pas (wstyd powiedzieć, że dopiero wtedy).

Na szczęście ta kawalerska jazda nie trwała długo. Po pięciu minutach przyhamował nas zator na szosie. Jakaś poważna policyjna akcja. Założono blokadę. Dwa wozy służbowe, kolczatka na jezdni. Szczegółowe sprawdzanie samochodów. Zagłądano do środka, przypatrywano się kierowcom i pasażerom. Nasz kaleki pasażer zaklął szpetnie.

- Zmiana planu - wykrzyknął. - Skręcaj, koleś, w prawo, w tę dróżkę!

- Co pan?! To polna droga! - zaoponował Irek.

- Skręcaj, mówię! - rozkazał groźnym tonem kulas. - Chyba nie chcesz zapoznać się z moim żądłem. Szkoda by ciebie było. Taki ładny chłopiec - to mówiąc podniósł jedno z tych aluminiowych szczudeł, a ja z przerażeniem spostrzegłem, że z jego końca wysunął się nagle długi ostry kolec. Kaleka przyłożył go Irkowi do głowy. - Czujesz? - zapytał groźnie. - Rób, co mówię, chyba zrozumiałeś, że nie jestem dzisiaj usposobiony do żartów.

- Pan oszalał? - wykrztusiłem. - To są bandyckie zagrania! Zrobiliśmy panu grzeczność, a pan tak się odplaca? Kim pan jest właściwie?!

Kulas zaśmiał się nieprzyjemnie i powiedział:

- To pytanie za trzysta tysięcy dolców, ale na tyle was nie stać, więc ciekawość twoja, synku, nie zostanie zaspokojona. Ale masz rację, twój przyjaciel oddał mi przysługę, więc nie wypada potraktować go żądłem, oberwie tylko po uszach, jak mnie nie posłucha. - Kulas schował kolec i ryknął: - Słyszałeś, co ci kazałem?! - A gdy Irek nie spełnił żądania, trzasnął go szczudłem w głowę, chyba cokolwiek za mocno, bo Irek jęknął tylko i opadł bezwładnie na kierownicę, klakson włączył się na chwilę i załkał żałośnie.

Rozpędzony wóz zjechał w prawo z szosy i zaczął się toczyć po brzdach.

Zatrzymał się dopiero na wysokiej miedzy pod krzakiem polnej róży.

Kuternoga zaklął obrzydliwie, porwał swoją sakwę oraz inwalidzkie szczudła i wyskoczył z wozu.

Spojrzałem przerażony na kałużę krwi na podłodze i na nieruchomego Irka.

- Co z tobą, chłopie? - wykrztusiłem płacząco i spróbowałem ostrożnie podnieść mu głowę i obejrzeć zranioną twarz.

Irek jęknął boleśnie i złapał się za nos.

- Nic mi nie jest - zapewnił.

- Jak to nic... pełno krwi...

- To z nosa. Drań rozchrzanił mi kinol... Policzę się z nim. Gdzie jest ten oszust?

Był daleko w polu. Biegł w stronę domku z czerwonej cegły, oddalonego od nas o jakieś pół kilometra. Zasuwał zdrowo, nie posługując się zupełnie kulami. I zrozumieliśmy, zawstydzeni swoją naiwnością i wściekli, że ten fałszywy łotr tylko grał rolę kaleki. Ale kim był naprawdę? Z pewnością ciemnym typem, bandziorem większego kalibru, ale bandziorem w opałach.

Oto bowiem zniemacka zajeżdżał mu drogę ów brodaty motocyklista, nasz znajomy z szosy, jak się okazało nadzwyczaj wytrenowany w biegach przełajowych. Miał przy sobie drąg zakończony stalowym pazurem, podobny do strażackiego bosaka i zaatakował nim naszego łysonia, próbując podrapać mu twarz. Łysoni bronił się zajadle, operując sprawnie szczudłami, ale trzy sekundy później nadjechał polną drogą opel vectra, wyskoczyło z niego trzech drabów w czarno-żółtych dresach, każdy z żelaznym łomem w ręce i osaczyli kulasa jak myśliwskie ogary zająca. Od razu zauważyliśmy, że chodzi im tylko o pogruchotanie szczudeł ofiary, a nie o zadanie jej śmiertelnych ran. Wkrótce udało im się rozbroić kulasa i obalić go na ziemię. Gangster zwany Głędosem usiadł na nim i zdarł mu z szyi czarny woreczek. Pozostali napastnicy zabrali się do przeszukiwania mu ubrania, odwracając go to na plecy, to na brzuch, jak bezwładną kukłę. Najwidoczniej niezadowoleni z wyniku, utkwili wzrok w naszym wozie. To mi się raczej nie podobało.

- Przestań się gapić - mruknąłem do Irka. - Zmywajmy się lepiej szybko. To rozgrywka między gangsterami... Żeby tylko nie przyczepili się do nas!

Ledwie to powiedziałem, rozległ się głos:

- Stać! Mamy sprawę do panów!

To kierowca opla, elegancki facet w błękitnym garniturku z okrągłą twarzą okoloną bujną brodą, lecz bez wąsów, co nadawało mu wygląd mandryla. Zbliżał się do nas z kijem baseballowym w rączce i fałszywym uśmiechem przylepionym do twarzy.

- Spływamy! - warknął Irek i dał z całej siły do tyłu. Nie zważając na wertepy wykręcił wóz. Skacząc po dołach i brzdach wjechaliśmy na szosę i pognaliśmy w kierunku Szpital-Zdroju.

Obejrzałem się.

- Mandryla jakoś nie widać - zauważyłem - chyba zrezygnował z pościgu.

- Mylisz się - odparł Irek zapatrzonego w lusterko wsteczne. - On jedzie za nami, ale daleko. Przyjrzyj się dobrze.

- Tak, teraz widzę - powiedziałem. - Jedźcie za nami, ale bez pośpiechu. Nie wygląda na to, żeby nas ścigał.

Uspokojeni próbowaliśmy wrócić do interesującego nas tematu, to znaczy do filmu i głośno rozważaliśmy, czy wobec zmian zaistniałych na planie i wyraźnej niedyspozycji nerwowej reżysera Klapsera dojdzie w ogóle do kręcenia tego pechowego filmu i czy nie powinniśmy najpierw dobrze rozpatrzyć się w sytuacji, bo mogą zrobić nas w konia.

- Uwważaj! - krzyknąłem nagle do Irka. - Ktoś leży na drodze.

Irek przyhamował i zjechał na pobocze. Wyskoczyłem z wozu, Irek za mną. To była niesamowita scena, zupełnie... jak... no właśnie, jak w filmie. Zobaczyliśmy przewrócony motocykl, a obok niego nieprzytomną piękną dziewczynę z rozrzuconymi malowniczo jasnymi włosami. Oczy miała zamknięte, rozczapierzone palce z długimi, czerwono polakierowanymi paznokciami wpiły się w czarny asfalt, jakby w ostatnim przedśmiertelnym paroksyzmie. Irek przyłożył ucho do jej piersi, a ja ująłem ją za przegub ręki. Nie mogłem wyczuć pulsu.

Metr dalej na samym środku szosy kołysał się jeszcze czerwony kask motocyklistki.

Zatem śmierć nastąpiła dosłownie przed chwilą.

- Spróbujmy masażu serca - zaproponowałem.

- Zrobiłbym go z przyjemnością - uśmiechał się szelmowsko Irek - ale to zbędne. Ona nie umarła. Jej serce wciąż bije.

- Daj, teraz ja posłucham! - odsunąłem Irka i przyłożyłem ucho. Serce rzeczywiście biło... W tej samej chwili motocyklistka oprzytomniała nagle, usiadła i nie namyślając się zgoła, rąbnęła mnie w twarz tudzież z niespodziewaną siłą odepchnęła od siebie.

- Ty łobuzie, nie dotykaj mnie! - warknęła.

- Przepraszam - bąknąłem speszony - ja tylko sprawdzałem...

- Nie strugaj niewiniątka i uczynnego harcerzyka! Nie do twarzy ci z tym! W żaden sposób nie pasuje do twojej szczurzej gęby!

Usunąłem się urażony, a ona objeżdżała mnie dalej:

- To ty wtargnąłeś znienacka na szosę. To przez ciebie musiałam hamować gwałtownie i zarzuciło mnie!

- Pani się myli - przerwał Irek - kolega nie jest rowerzystą! Nadszedł ze mną tym samochodem - wskazał na mercedesa.

Dziewczyna powędrowała wzrokiem za jego palcem. Wóz musiał zrobić na niej zdecydowanie korzystne wrażenie, bo zdobyła się na sympatyczny uśmiech.

- Jeśli nie łiesz, to miło was poznać. Jestem Ala - przedstawiła się. - Mam coś do załatwienia w Szpitalach i właśnie tam jechałam. A wy dokąd jedziecie?

- My? - w oczach Irka zapaliły się wesołe iskierki. - My też do Szpitala.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Więc już nie do Końskich? Skarciłem go surowym wzrokiem. Przestał się uśmiechać i wbił wzrok gdzieś wysoko, w niebo. Wiedziałem, co to oznacza. Enia schodzi u Irka na drugi plan razem ze swoimi Końskimi. Liczy się tylko Ala, którą mu niebo zesłało.

- No to świetnie się składa - powiedziała Ala. - Podrzucicie mnie...

- Do szpitala?

- A idźże - obruszyła się. - Do „Zdrojowej” albo do „Dużego Dżona”. Muszę napić się kawy, to mnie postawi na nogi.

- A co z motorem?

- To stary grat, nie zależy mi... Zaraz nadjedzie reszta naszej paczki i zabrają go.

- Będą się martwić, gdzie się podziałas.

- Niech się pomartwią, to im dobrze zrobi.

- Jednakże w twoim stanie...

- Nic mi nie jest. Muszę tylko ogarnąć się trochę, bo o drugiej mam się zameldować na planie filmowym.

Na moment nas zatkało.

- Grasz u Klapsera? U tego reżysera, który tutaj kręci?

- Znaście go?

- Zaangażował nas do roli kosmitów.

Roześmiała się.

- Was? Do grania tych potworków? I zgodziliście się?
- Myślisz, że bylibyśmy złymi kosmitami?
- Ale skąd! Świetnie pasujecie. Moglibyście nawet zagrać bez charakteryzacji.

Był to wątpliwy komplement i uznaliśmy to za złośliwość z jej strony. I jeszcze te rozbawione i drwiące oczy, taksujące nas bystro. To nie było przyjemne i poczuliśmy się urażeni. Ale złość nam szybko minęła, gdy wjechaliśmy w ocienioną starymi kasztanowcami Aleję Zdrojową i Ala zaprosiła nas do kawiarni „Duży Dżon”.

- Zamawiajcie, co chcecie! Ja funduję - oznajmiła wyciągając portfel. Był bardzo gruby.
- Mowy nie ma! - unieśliśmy się honorem. - Niech pani nie myśli, że my...
- Nie myślę, natomiast wiem, że jesteście nadziani jak indyki wielkanocne i stać was na wykupienie wszystkich smakowitości, które tu widzimy, łącznie z lokalem, barmanem i kelnerkami, bo wasi starzy buszują w świecie dużego biznesu, ale, moi kochani, to ja mam dług wdzięczności i zrobię wam fundę na słodko.

Mimo naszych protestów prócz kawy zamówiła wielkie porcje lodów waniliowoczekoladowych, podlanych obficie rumem, mrożone kremy w trzech smakach pod nazwą ogólną Szpitalowy Rarytas, pół tortu orzechowego, dziesięć ptysi i tyleż eklerów oraz baterię soków i wód mineralnych, po czym zabrała się z apetytem do konsumpcji, zapraszając nas, byśmy poszli w jej ślady. Ja nie dałem się długo prosić, nie mogłem się oprzeć pokusie i uległem prędko, natomiast Irek, choć kiszki marsza mu grały, nie mógł się jakoś odprężyć. Bawiąc się nerwowo kluczykami od mercedesa, co chwila wstawał od stolika i zerkał przez szybę okna, czy ktoś nie dobiera się do wozu. Raz nawet wybiegł na ulicę.

- Irek, co się dzieje? - zapytałem w końcu.
- Jakies typy zaglądnę do mercedesa. Mam pomysł. Tu się zrobiło niebezpiecznie, nie wiem, co to jest, ale czuję złe fluidy. Jedźmy do Szpitala, zostawmy mercedesa na parkingu ekipy, jest dobrze strzeżony, a sami zrobmy mały wypad nad Sulejowskie jezioro. I tak mieliśmy to w planie, co ty na to? - zwrócił się do mnie.

Spojrzałem na zegarek.

- Mamy prawie cztery godziny - powiedziałem - ale co z dojazdem?
- O to się nie martw, co kwadrans kursują między zalewem a Szpitalami prywatne minibusy. Zabierze się pani z nami? - uśmiechnął się do Ali. - Boję się o wóz - wyjaśnił. - Mieliśmy już dziś nieprzyjemną przygodę...

- Doprawdy nie wiem - Ala wydawała się mocno zaskoczona propozycją.
- Być w tych stronach i nie zajrzeć do Sulejowa, to byłaby niepowetowana strata. Wrócimy przed czternastą. Więc jeśli nie przeszkadza pani towarzystwo małałów...

- Wolałabym zostać tutaj i poczekać na przyjaciół, powinni się wkrótce zjawić.
- Niech pani nie odmawia, pani Alu! To będzie dla nas mocne i ważne przeżycie. Przeżycie niezapomniane dla takich małałów jak my. Taka wspólna wycieczka. Pani wie, że w naszym wieku wszystko się mocno przeżywa i pamięta do końca życia. W pani towarzystwie moglibyśmy się szybciej rozwijać i dojrzewać. Nabrać kultury, ogłady i lepszych manier, bo jak pani sama widzi, dużo nam pod tym względem jeszcze brakuje.

Ala słuchała zdumiona i zbita z tropu.

- Czy ty nie zgrywasz się przypadkiem?
- Mówię poważnie - odparł Irek - najlepiej się czuję ze starszymi dziewczynami.
- W każdym razie jesteś zbyt przemądrzały i wygadany jak na małałata.
- Małałaty wychowane przy mercedesach nie mają zahamowań. Jako niemowlak zacząłem mówić, zanim mi pierwszy ząbek wyrósł. No, więc jak, pani Alu, robimy wypad nad jezioro?
- To może być niebezpieczna propozycja - odparła. - Właściwie się nie znamy.
- Pani mi nie ufa?
- No wiesz, jesteś spięty, niespokojny, rozbijasz się nowym samochodem bez rodziców, za to z podejrzanym kolegą (to o mnie). Gzy twoi starzy nie mają przypadkiem z tobą problemów?
- To ja mam problemy z rodzicami - odparł beczelnie mój znakomity koleś Liszeniec.
- Duży problem? - dopytywała.
- Zasadniczy. Po prostu ich nie mam.
- Jesteś sierotą?
- Dziennym.

- Co to znaczy?

- Odkąd przeszli z budżetówki na własne, nie widzę ich cały dzień. Są zajęci.

- Czymże to?

- Balansowaniem i żonglowaniem.

- Masz rodziców cyrkowców?

- W wielkim cyrku interesów. Ale najbardziej ich pochłania trzymanie się.

- Trzymanie?

- Kurczowe. Żeby ich nie wypchnięto z obiegu. Bo jak się już jest w obiegu, to trzeba się mocno trzymać. Rękami i zębami. Autobus jedzie szybko, konkurencja czyha, a tu trzeba zarobić na dziesiątą działkę, na piętnasty wóz, na nową filię w Rzępolinie i na agencję w Świergolinie. A reklama, a promocja?

- Czy nie ma jakiegoś odpoczynku?

- Nie ma. Jak jest koniunktura, trzeba wykorzystać koniunkturę, jak nie ma koniunktury, trzeba nakręcać koniunkturę.

- Chcesz powiedzieć, że starzy nie zajmują się tobą, ale chyba tobie w to graj!

Bo cię nie kontrolują. Jeździsz sobie drogim wózkiem i podrywasz dziewczyny, wabiąc je do mercedesa.

- Wabiąc? Pani chyba żartuje.

- Chcesz powiedzieć, że same lecą?

- Nie bawimy się w takie rzeczy. Jesteśmy dość młodymi, ale poważnymi ludźmi! No, cóż... widzę, że nie udało mi się pani namówić. Trudno. Dziękujemy za ciastka i lody. Chodź, Zenku - pociągnął mnie. - Zmywamy się.

- Stop! - powstrzymała nas. - Jadę z wami - zmieniła nagle zdanie.

- Mówi pani serio? - Irek zaskoczony zmarszczył brwi.

- Tak. Prawdę mówiąc, dawno chciałam zobaczyć Sulejów. Zostawię tylko wiadomość dla przyjaciół, żeby się nie martwili, co się ze mną stało. Zaczekajcie chwilę.

Podeszła do bufetu i napisała szybko parę zdań na kartce, którą usłudzie podał jej barman.

Na ulicy Irek z wyraźną ulgą stwierdził, że stoi tam gdzie go ustawił, w nienaruszonym stanie. Lecz gdy włożył kluczyk do zamka, znieruchomiał na moment i zaklął

-A niech to Czajdusza pieści!

Wóz był otwarty.

- Jesteś pewien, że nie zapomniałeś włączyć alarmu? - pytałem.

- Tu działali fachowcy, wytrawni profesjonalści, to pewnie ci, którzy kręcili się koło wozu, jak byliśmy w kawiarni. – uruchomił samochód – Sprawdzę, czy wszystko w porządku.

W powietrzu unosił się jeszcze zapach dymu. Irek pociągnął nosem.

- Jeden z nich chyba palił fajkę.

- Swoją drogą, taką zabawkę za pięćdziesiąt patyczków warto wyposażyć w nowoczesny system alarmu, odzalaować te parę tysięcy na skuteczną ochronę.

- To jest, święta racja - Irek westchnął i wznosił oczy do góry.

Zrozumiałem jego problem. Stary Liszeniec należy do tego typu skapców, którzy mogą utopić miliony w jakimś luksusowym nabytku, a będą żałować paru groszy na nowy zamek do drzwi.

- Jeszcze dziś zaprowadzę wóz do specjalistów od alarmów i blokad - zapewnił obłudnie Irek i odjechał spod „Dużego Dżona” szczęśliwy, że wciąż siedzi za kierownicą tego wspaniałego samochodu.

Ja też odczułem sporą ulgę. Szczerze mówiąc, miałem już dość tych niby drobnych, a denerwujących incydentów, które wiązały się z tym wozem.

A jednak odprężyliśmy się chyba za wcześnie. Nie ujechaliśmy nawet pół kilometra, gdy usłyszałem krzyk Ali:

- Boże! Trup na jezdni!

Zdenerwowany Irek zatrzymał samochód. Ja i Ala wysiedliśmy. Widok był niesamowity i przykry. Po jednej stronie leżącego mężczyzny widać było wielką kałużę białej cieczy, po drugiej czerwoną strużkę krwi. Sączyła się z ust i nosa nieszczęśnika, plamiąc jego spiczastą czarną bródkę.

- Poznaję tego człowieka - powiedziałem do Ali - to niejaki Izydor Głędos zawodowy morderca.

- Co też ty opowiadasz! - oburzyła się Ala. - To pan Markotny, portier i zaopatrzeniowiec pensjonatu „Kalina”, gdzie się zatrzymałam na czas zdjęć.

- Ale te rysy... ta bródka...

- Rysy ciężko rannego, prawdopodobnie przejechanego człowieka zmieniają się nie do poznania, a taką bródkę noszą tysiące mężczyzn. Patrz... jeszcze oddycha. Pomóż przenieść go do samochodu...

- Może lepiej wezwać pogotowie - zaproponowałem nieśmiało.

- Nie ma czasu - powiedziała rozgorączkowana Ala. - Pogotowie nie przyjedzie natychmiast, a pan Markotny ma krwotok wewnętrzny. Każda chwila droga... Biedak niósł mleko do kawy na podwieczorek... Patrz, on chce coś nam powiedzieć i nie może... pewnie numer wozu, który go potrącił.

Istotnie, skrwawione wargi rannego poruszyły się bezgłośnie. Patrzył na nas z ciężkim wyrzutem jednym okiem... drugie miał zalepione krwią. Może myślał, że to myśmy go potrącili?

Nie bez trudu dźwignęliśmy go z ziemi i ruszyliśmy do samochodu. Irek próbował oponować, ale Ala nagadała mu od bezdusznych picusiów, więc zrezygnowany wyścielił tylko tylną kanapę gazetami, by ranny jej nie zapaprał i w ponurym milczeniu przyglądał się, jak ładujemy nieboraka.

Z poczuciem dobrze spełnionego aktu miłosierdzia ruszyliśmy na głośnym sygnale do szpitala zdrojowego. Okazało się jednak, że nie wszyscy reagują prawidłowo na ten dźwięk, oto bowiem tuż za apteką zobaczyliśmy osobnika, który siedział na środku jezdni, trzymał się za kolano i pojękiwał z bólu, kiwając się rytmicznie.

Co za feralny dzień! Jeszcze jedna ofiara ruchu drogowego? Doprawdy, to już epidemia! Irek zwolnił i przyglądał się kontuzjowanemu. Ja też się przyglądałem z rosnącym coraz bardziej zdumieniem. Typ jakby znajomy... ten błękitny garniturek, ten pretensjonalny krawacik zawiązany w wielką muchę, ta okrągła pyzata twarz okolona złocistą brodą, ten gruby nochal... Nie, o pomyłce nie mogło być mowy! To przecież Mandryl, ten gangster z opla. Musiał nas minąć, gdy siedzieliśmy u „Dużego Dżona”.

- Pewnie ktoś go stuknął w nogi, kiedy biegł do apteki - powiedziała podniecona Ala. - Wygląda, jakby był w szoku. Wskoczę i zobaczę, co mu jest.

- Lepiej niech pani się nie rusza - mruknął Irek. - To prawdopodobnie niebezpieczny gangster. Niedawno widzieliśmy go w brutalnej akcji.

- Co ty z tymi gangsterami?! - zdenerwowała się Ala. - To już czysta histeria. Pewnie oglądasz za dużo horrorów w telewizji. Ogłupili cię.

- Mówię pani, że to gangster - upierał się Irek.

- Tak, proszę pani - poparłem go - to gangster, a nawet przywódca gangsterów.

- Gangster nie gangster, nie można tak zostawić cierpiącego, rannego człowieka. Zatrzymaj, obejrż go! - oświadczyła Ala i nie czekając, aż wóz całkiem stanie, wyskoczyła w pędzie i podbiegła do Mandryla.

Zamienili parę słów, po czym ranny z pomocą Ali podniósł się z jękiem i oparty na jej ramieniu przykuśtykał na jednej nodze do naszego wozu.

- No, nie! - zaprotestował Irek. - Tego już nie zmieścimy. Przykro mi, proszę pana - zwrócił się do Mandryla - ale nie mamy już miejsc... nie jestem karetką pogotowia, a na kanapce z tyłu leży już jeden pacjent z wypadku drogowego.

- Nie szkodzi - odparł ranny. - Położę się na tym biedaku, jakoś się obaj zmieścimy...

- Ale mamy przecież jeszcze pasażerkę. Panno Alu, jak pani sobie wyobraża jazdę z tymi panami? - Irek zirytowany obrócił się do Ali.

- Och bądź człowiekiem, to przecież tylko kilometr z kawałkiem. Przycupnę na podłodze.

- Dziękuję ci, dziecko - rzekł gangster do Ali. - Masz dobre serduszko. Idź w jej ślady, młody człowieku - zwrócił się do Irka - kształć wrażliwość na cierpienia swoich bliźnich, a zaskarbisz sobie nagrodę w niebie, a na tym padole wdzięczność ludzką. Ja też potrafię być wdzięczny - to mówiąc wyciągnął z kieszeni grubą plik pieniędzy, poślinił paluch i odliczył pięć banknocików. - Bierz śmiało, drogi chłopcze! I naprzód! Kierunek: zdrojowa przychodnia zdrowia. Mam chyba złamaną kość piszczelową i strzałkową. Muszę mieć szybko zrobiony rentgen!

Irek spojrział na banknoty, zawahał się przez moment, a potem szybko schował je do kieszonki.

- Wskakuj pan - rzekł do Mandryla i ruszył z kopyta, jakby chciał jak najszybciej wyrwać się z tej feralnej ulicy.

Bolesny jęk upewnił mnie, że Mandryl załadował się do wozu i całym swym ciężarem zwałił się na Głędos. Lecz w chwilę później to Mandryl zawył boleśnie, bo płatny morderca ugryzł go w palec u nogi.

Obejrzałem się. Sytuacja nie wyglądała sympatycznie. Obie ofiary wypadków żarły się. Ugryziony Mandryl usiadł na płatnym mordercy i zaczął oburącz go dusić, aż żyły mu nabrzmiały na skroniach z wysiłku. W odpowiedzi płatny morderca dał mu potężnego kuksańca w żołądek. Mandryl stęknął głucho. Przestał dusić Izydora Głędos, natomiast spróbował wycisnąć mu oczy z orbit, lecz z bolesnym skowytym musiał przestać, bo Głędos zaczął mu odrywać lewe ucho.

Na szczęście Ala czuwała, by nie zrobili sobie większej krzywdy. W krytycznym momencie otworzyła swoją torebkę i wyciągnęła z niej zdumiewająco pękaty flakonik. Gdy go odkorkowała, rozszedł się przyjemny zapach rumu.

- To na uspokojenie - wyjaśniła nam. - Pracuję w poradni zdrowia psychicznego i mam obowiązek wozić z sobą uspokajacze w specjalnych flakonach.

To mówiąc podsunęła walczącym gangsterom pod nos flakon. Istotnie, pociągnęli nosem i zaczęli oblizywać się. Wtedy dała im po łyku uspokajacza.

- Co pani robi! Pani im daje alkohol - oburzyłem się.

- To tylko taki zapach, inaczej nie chcieliby zażyć mikstury, więc dolewamy olejku rumowego - powiedziała Ala. - Zobaczcie, jak poskutkowało.

Istotnie. W zachowaniu bandziorów zaszła zmiana. Przestali być agresywni i pojękiwali już tylko cichutko na dwa zgrane głosy...

Słuchało się tego nawet przyjemnie.

Ale to nie był koniec niesamowitych niespodzianek drogowych w czasie tej piekielnej przejażdżki. Gdy dojeżdżaliśmy do ulicy Zdrojowej i należało skrócić w lewo, Irek przygryzł wargi i mruknął:

- Mam złe przeczucie, że za tym rogiem znów coś nas spotka...

- Fluidy? - próbowałem żartować, ale on nie był usposobiony do żartów.

- To jakaś bandycka gra, której jeszcze nie rozumiem, ale zobaczysz, jak Czajduszkę Kocham, ją rozszyfruję.

I rzeczywiście, fluidy Irka nie myliły. Ledwie wjechaliśmy w Zdrojową, już z daleka zobaczyłem jasną sylwetkę na ciemnym asfalcie. Nie ulegało wątpliwości, że leży tam człowiek. Irek przygryzł wargi i podjechał do niego ostrożnie.

Wyskoczył z wozu zdenerwowany. Ja za nim. I... obaj stanęliśmy osłupiali.

- No, nie! - wykrztusił Irek. - Tego już za wiele!

Istotnie! Wyglądało na to, że ktoś nam funduje darmowy teatr uliczny... albo, innymi słowy, ordynarnie robi nas w konia, po prostu kpi z nas w biały dzień i w żywe oczy. Nie trzeba było badań lekarskich, by stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że ten mały łysawy człowieczek w okularach i w nieskazitelnej eleganckiej wiatrówce nie jest ofiarą i nie odniósł najmniejszej kontuzji. Wyciągnięty swobodnie na asfalcie z tak pogodną miną, jakby to była wygodna miękka kanapa, z nogą założoną na nogę i z ręką podłożoną pod głowę spokojnie palił fajkę(!), wypuszczając co pięć sekund obłok pachnącego, niebieskiego dymu, zapewne tytoń w fajce był przedniej jakości. Na nasz widok wyciągnął spiesznie z kieszeni dużą chustkę z krwistymi czerwonymi plamami i ostentacyjnie obwiązał nią swoją głowę, po czym, nie wyjmując z ust fajki, wydał bełkotliwy jęk podobny do beczenia kozy.

Irek pokręcił głową.

- Nic z tego, panie Pupejko. Choćbyś pan beczał jak pacanowska koza, ten numer nie przejdzie, panie ładny.

Spojrzałem zdumiony na Irka. Pupejko? Skąd to nazwisko? Irek, jakby zgadując moje myśli, wskazał na leżącą przy fajczarzu otwartą aktówkę i rozsypane wydruki komputerowe oraz listy. Na paru z nich można było odczytać nazwisko: Pupejko.

Spostrzegawczy ten Irek!

Ja też chciałem się czymś popisać i zagadnąłem oszusta:

- No cóż, panie Pupejko, możemy pana zabrać na prześwietlenie, ale ostrzegam, zamiast do szpitala zawieziemy pana na komendę policji. Niech tam pana najpierw prześwietlą!

- Tylko przedtem musimy zadzwonić i zbadać..!

- Czy ma pan tam już założoną kartotekę - dokończyłem.

- I czy znajdzie się tam dla pana jakiś miły pokoik z ograniczonym widokiem - dodał Irek, wyciągając swój telefon.

Na ten widok Pupejko pyknął potężnie z fajki i nie zwlekając dłużej, zerwał się z jezdni i dał dyla w krzaki zdrojowego parku. Roześmialiśmy się, lecz nagle śmiech zamarł nam na ustach i zdrętwieliśmy jak sparaliżowani, bo oto stało się coś niesłychanego, coś nie do uwierzenia, coś, czego w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Usłyszeliśmy warkot zapuszczanego motoru! Warkot naszego mercedesa!

Spojrzeliliśmy i mowę nam odjęło. To Ala! Siedziała za kierownicą i próbowała wystartować.

- Stój! - krzyknęliśmy i rzuciliśmy się do wozu, lecz zabrakło nam dwu sekund.

Ala ruszyła ostro jak zawodnik „formuły 1”. Na pożegnanie pomachała nam rączką.

Goniliśmy ją beznadziejnie do zakrętu. Tam ostatecznie straciliśmy mercedesa z oczu, został po nim tylko mały obłoczek bladobłękitnego dymku. Irek zadyszany, dławiąc się z wściekłości, wypuł z siebie całe wiązanki przekleństw i epitetów:

- Diablica, podstępna żmija! Raszpla, blada gnida, małpa, kanciara szwindlerka, zgaga, ksantypa! A niech ją Czajdusza pieści!

Wzruszyłem ramionami.

- Daj spokój, stary! Złość tu niczego nie załatwi. A pretensje do tej spryciary są bezzasadne. Czy jeszcze nie rozumiesz? Twoja Ala to po prostu Lidka, agentka na usługach gangu. Była wtyczką w domu Wężerowiczów, gdzie zatrudniła się jako pokojówka. Niezła profesjonalistka, ale miała wadę: pracowała nie tylko dla gangu, pracowała także na własny rachunek, okradając systematycznie Wężerowiczów z drogich kamieni. Ostatnio udało się jej buchnąć sławny diament o brylantowym szlifie, znany jako Oko Proroka. Zrobiła się z tego heca wewnątrz gangu, bo sam wielki boss Waldo ostrzył sobie na ten kamień zęby. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy Lidka została sama z kolei obrabowana przez Tancerza...

- Wiem - jęknął. - Po co mi to mówisz?

- Żeby jasno przedstawić sytuację, zrozumieć, skąd wzięły się twoje kłopoty, uprzytomnić sobie, o co się otarliśmy i w co omal nie wdepnęliśmy... I zamiast złorzeczyć Lidce, powinniśmy dziękować Bogu, że uszliśmy z życiem i kości mamy całe. A co do Ali, odpuść sobie. Po prostu wykonała z nadmiarem zleczone zadanie. Miała odciągnąć naszą uwagę, aby przez ten czas jej kumple gangsterzy mogli zawładnąć wozem i udałoby się to im bez wątpienia, gdyby nie twoja wyjątkowa czujność.

- Fluidy? - Irek uśmiechnął się krzywo.

- Właśnie.

- I co z tego? - jęknął Irek. - Niewiele pomogło, ta cwaniara i tak mnie załatwiła, a ja jej znakomicie ułatwiłem zadanie.

- Do licha, nie chcesz chyba powiedzieć, że kluczyki...

- Niestety - mruknął ponuro - zostawiłem w stacyjce. - Głos załamał mu się nagle. - Jestem baran, tuman, ciemna masa, debil, pęta - zaczął obrzucać się błotem, wyszukując coraz bardziej obraźliwe i odrażające obelgi. - Jestem gnojkiem, jestem idiotą z zatwardzeniem mózgowym, jestem krety-nem z wodogłowiem czołowym, a w ogóle po prostu... po prostu jestem pitekantropem cierpiącym na alzheimera w ostatnim stadium...

- Zgadza się - przerwałem z niesmakiem to samobiczowanie.

- Co, co powiedziałeś? - Irek nastroszył się.

- To, co usłyszałeś. Zostawić kluczyki w wozie załadowanym gangsterami, to żałosna sprawa, ale nie musisz o tym trąbić i urządzać mi darmowy striptiz.

- Striptiz?!

- Duchowy czy, jeśli wolisz - psychiczny. W końcu widzę w twojej sprawie pewne okoliczności łagodzące - dodałem łaskawie. - Miałeś nerwy nadszarpnięte... no wiesz, ten incydent z Tancerzem, ta piękna dzidzia... a w ogóle cały czas mieliśmy do czynienia z zawodowcami, z doświadczonymi fachowcami, no może z wyjątkiem Pupejki.

- To kretyn!

- Nie całkiem może, ale źle obsadzony w tej roli. Zagrał zbyt teatralnie. Gangsterstwo tego typu wyraźnie mu nie leży. W każdym razie jestem pewien, że jeśli postanowili dobrać się do twojego wozu, wcześniej czy później by się im to udało. Niewątpliwie mieli w rezerwie jeszcze parę innych sposobów.

- Wiem. - Irek zapłakał gorzko i autentycznie. - Podpadłem beznadziejnie i ta dzidzia...

Patrzyłem na niego zaskoczony. Nigdy jeszcze nie widziałem płaczącego Irka.

- Weź się w garść - szturchnąłem go zawstydzony. - Nie rób widowiska!

Irek wyciągnął swoją wielką kraciastą chustkę, otarł wilgotne oczy i przeczyścił gruntownie drogi oddechowe.

- Ale może wytłumaczysz mi - rzekł płacząco - co to wszystko ma wspólnego z moim mercedesem.

- To proste - popisywałem się dalej moją detektywistyczną przenikliwością, której mógłby mi pogratulować nasz domowy geniusz Emeryk. - Bandytom udało się wprawdzie odebrać Tancerzowi woreczek z diamentami, ale nie odzyskano najcenniejszego okazu - brylantu znanego pod nazwą Oko Proroka. Nie było go przy Tancerzu, a zatem, pomyśleli, zdążył go gdzieś ukryć. Gdzie?! Najbardziej prawdopodobne, że w mercedesie, którego przez krótki czas był pasażerem dzięki głu...

- No, no - przerwał mi Irek - nie pozwalaj sobie! To ty nalegałeś, to ty byłeś głupi. Mów wyraźnie o swojej głupocie!

- Głupocie? Jakiej głupocie? Przesłyszałeś się, chciałem powiedzieć: dzięki głu... głuchocie na wewnętrzny głos ostrzegawczy i nadmiernej dobroci dwu znajdujących się w aucie wspaniałych chłopców.

Irek uspokoił się i kiwnięciem głowy zaaprobował wygłoszony przeze mnie tekst.

- Myślisz, że nie tyle im chodziło w tej kradzieży o mój wóz, ile o to, co w nim miało być jakoby schowane?

- Tylko o to. Chcieli po prostu spokojnie i dokładnie przeszukać wóz. W tym celu wydelegowano trzech gangsterów: Józefa Pserdonia, którego przewaliliśmy Mandrylem, Izzydora Głędosza, zawodowego mordercę i Pupejkę. Mieli działać dyskretnie, cicho, bez użycia broni palnej, żeby nie budzić czujności policji tuż przed planowanym skokiem na skarb Wężerowiczów. Ale nic zrazu nie wskórali, bo byłeś czujny. Gdy więc nie powiodły się próby uprowadzenia wozu w zwykły sposób, postanowili spróbować triku z ofiarą wypadku drogowego. Też bez powodzenia, ponieważ nie wysiadłeś z samochodu, a oni nie chcieli ryzykować siłowej akcji i czekali na lepszą okazję. No i nadarzyła się, gdy zdenerwował cię Pupejko i postanowiłeś dać mu popalić. Agentka Lidka natychmiast przytomnie skorzystała z okazji.

Na wspomnienie fałszywej Ali Irek bluzgnął na nowo złorzeczeniami pod jej adresem.

- No i co ja teraz zrobię - jęknął na końcu płacząco.

- Sprawa jest prosta i wcale nie beznadziejna. W końcu mercedes w Szpitalarach to nie igła w stogu siana. Idziemy na policję i składamy zawiadomienie o przestępstwie, tak to się urzędowo nazywa. Jest spora szansa, że ich znajdą, łotrów spod ciemnej gwiazdy. Być może są notowani w kartotekach. A my znamy ich wygląd, fizjonomię i ubiór! Zresztą w najgorszym razie twój wóz znajdzie się porzucony gdzieś niedaleko. Założę się...

- E, pocieszasz mnie tylko.

- Skądże! Zobaczysz, to samo ci powie policja. Weź się w garść, chłopie! Idziemy!

Irek potrząsnął smętnie głową.

- Nie! Sami musimy szukać. Policja nie może nic wiedzieć. Trzeba ją trzymać od tego z daleka.

- A to czemu? - zdumiałem się. Irek przygryzł wargi.

- Gdyby policja zaczęła tu grzebać, odkryłaby, że wziąłem samochód starego bez pozwolenia.

- Co takiego?!

- No, nie rób takiej miny. Po prostu pożyczylem sobie. Czy to takie przestępstwo?

- Kluczyki też „pożyczyłeś”?

- Nie... niezupełnie.

- Jak to niezupełnie?

- To... to są moje kluczyki... duplikaty... dałem takiemu specowi, ślusarzowi od kluczy, do zrobienia.

- Czemu okłamałeś mnie! Czemu nic mi nie powiedziałeś?!

Irek chrząknął.

- Chciałem, hm... jak to się nazywa? zapewnić ci komfort psychiczny...

- Ładnie powiedziane.

- Gdybyś znał prawdę, nie czułbyś się dobrze w tym wózku, ja cię znam, jesteś taki skrupulant... może nawet nie chciałbyś jechać ze mną, a mnie zależało, żebyś czuł się odprężony i towarzyszył mi na zupełnym luzie... bez stresu i miał ten no... komfort psychiczny.

- Naprawdę troskliwy z ciebie kumpel - skrzywiłem się - ale nie powinieneś praktykować takich szaleństw samochodowych, tym bardziej że szosy roją się teraz od różnych złoczyńców, wariatów i piratów. Może warto było spróbować dogadać się z ojcem. Skoro pozwolił ci chodzić na kurs samochodowy, może zgodziłby się, żebyś od czasu do czasu pojeździł sobie na bezpiecznych trasach.

- Od czasu do czasu... na bezpiecznych trasach - Irek roześmiał się nieprzyjemnie. - Co ty, czyżbyś nie znał mojego tatuśka? On nie daje nikomu nawet zbliżyć się do tej świętości, to rasowy oszołom, bracie. To pedant i czyścioszek. Trzęsie się o ten swój wózek, jakby był z pianki i porcelany. Chodzi koło niego, pielęgnuje... Jest w tym coś...

- Z macierzyństwa? - rzekłem, udając powagę.

- Z bałwochwalstwa - poprawił Irek. - To, co robi, to są prawdziwe obrzędy i ceremonie. To kult! Żebyś widział, z jakim nabożeństwem obmywa rano to bóstwo, jak kąpie w pachnących szampinach, wyciera, namaszcza kremami, smaruje pastami, poleruje, łaskocze szczoteczkami, pieści flanelowymi ściereczkami i specjalnymi irchowymi skórkami. Gdyby mi poświęcił choć ćwiartkę tej uwagi, co mercedesowi!... Mówię ci, to specjalne zadurzenie. Zapomniał, że ma syna! Zastąpił mu go całkowicie ten cholerny wózek!

- Do licha, Irek, ty jesteś po prostu zazdrosny! - zauważyłem złośliwie.

- Miałem jedną dużą satysfakcję - Irek uśmiechnął się szelmowsko. - Że dopuszczam się profanacji tego bóstwa. Z tatuśkiem poradziłem sobie łatwo. On wyjeżdżał często w interesach samochodem firmy i wtedy dobierałem się do mercedesa bez problemów, bo miałem duplikaty kluczy, a garaż nasz jest, jak wiesz, trochę oddalony od domu i z jego okien niewidoczny. To były jazdy... mówię ci... Na każdą przejażdżkę zabierałem inną dzidzię! Nawet mało znane...

- Nie bały się?

- Rzadko kiedy odmawiały. Przeważnie stały w kolejce. Najeździliśmy się sporo, ale teraz... - Irkowi nagle zwilgotniały oczy - teraz z tym koniec. Koniec i bomba! Bo starszy pan wraca jutro i jak się wózek szybko nie odnajdzie, to będą się dziać straszne rzeczy... mówię ci... Apokalipsa według świętego Jana. Nie wiem, czy czytałeś. Skóra mi cierpnie na myśl o jutrzejszym spotkaniu z tatuśkiem. Co ja mu powiem, biedna sierota?

- Powiesz, jak było. Ja poświadczę. Niefortunny zbieg okoliczności. Wpadliśmy w szpony gangu... Każdemu może się przytrafić. W dodatku był to gang Programatora i Walda. Otworzyli drzwi do garażu, akurat kiedy byłem u ciebie. Zauważyliśmy obaj podejrzanych facetów na dziedzińcu. Pobiegliśmy zobaczyć, co się tam dzieje i wpadliśmy prosto w ich ręce. Zapakowali nas jako zakładników do mercedesa i odjechali z nami. Na pierwszym postoju, korzystając z kłótni, jaka między nimi wybuchła, udało nam się uciec, niestety bez samochodu.

- Wiesz, to nawet brzmi dość prawdopodobnie - westchnął Irek - i niby wszystko trzyma się kupy, ale tatusiek, to stary wróbel i nie da się nabrać na takie plewy. Będzie Apokalipsa!

- Nie przesadzaj! Przecież ci głowy nie urwie!

- Oj, chciałby, ręka go będzie świerzbic, ale szanuje kodeksy, więc zemści się inaczej.

- Spierze cię?

- Gorzej. Zniszczy mnie finansowo.

- A cóż on może ci zrobić. Najwyżej cofnie ci miesięczne kieszonkowe. Tego się boisz?

- Boję się Kikutników - odparł ponuro.

- A cóż oni mają z tym wszystkim wspólnego?

- Pożyczyłem sporo forsy od chłopaków na rower górski, najwięcej od Kikutników. Miałem im oddać połowę na pierwszego, więc kapujesz, jak starszy pan nie zasili w tym dniu mojej kieszeni, Kikutnicy zrobią ze mnie mokrą plamę na ścianie z odpryskami na suficie i... - urwał nagle, bo w kieszeni zapiszczał mu telefon. Podniósł go do ucha.

- Kto? To do ciebie - podał mi aparat.

Usłyszałem zadyszany głos Emeryka; głos niespokojny, podenerwowany.

- Czemu nie przyjechałeś?! Prosiłem cię.

Chrząknąłem zakłopotany.

- Nie przyjechałeś - sapał Emuś - bo nie wierzyłeś, że Lidka, że Pserdoń, że taki Pupejko to ludzie gangu.

Milczałem.

- I wciąż jeszcze mi nie wierzysz - ciągnął rozżalony.

- Nie rozgoryczaj się - powiedziałem. - Spokojnie, Esiu, masz brata niedobrego, w dodatku pod względem umysłowym to pała zakuta, ale potrafi przyznać się do pomyłki. Wcale się tego nie wstydę. Najwięksi ludzie, najwybitniejsze umysły, niekwestionowani geniusze też się nieraz mylili. Owszem, przyznaję pokornie, gang Walda i Programatora faktycznie zaatakował. Odczuliśmy to na własnej skórze. Co do rozeznania w tej materii jesteś górą, Esiu, na razie górą, ale zobaczymy, co będzie dalej. Bo, mówiąc szczerze, znalazłeś się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Powiem brutalnie: siedzisz w pułapce. Sarkofag to nie jest ani wygodne, ani zdrowe pomieszczenie, oby się nie stał twoją trumną na zawsze!

- Jak zawsze drwisz sobie i bimbasz... Naprawdę to nie obchodzi cię nic, co się ze mną stanie - mówił wzburzony Emeryk - Esiu w trumnie, to może być dla ciebie jeszcze jeden ubaw... tylko ubaw! A rzecz wcale nie jest zabawna, zapewniam cię! Właśnie przed chwilą Programator urządził tutaj coś w rodzaju odprawy. Zwymyślał Pserdonia, Głędosia i Pupejkę, że nie znaleźli Oka Proroka...

- Ala... to znaczy Lidka też tam była? - przerwałem ciekawym.

- Lidkę zamknęli w piwnicy. Programator jej nie ufa. Natychmiast ją zamknęli. Wszyscy wciąż są pewni, że Oko Proroka znajduje się dobrze ukryte w samochodzie. Programator wyznaczył do powtórnego przeszukania wozu ludzi w zielonych ubraniach, o których już ci wspominałem. To złoczyńcy z gwardii osobistej bossa. Reszta ma rozpocząć dokładne przetrząsanie pałacu Wężerowiczów. Coś mnie w tym wszystkim dodatkowo niepokoi - dodał Emeryk. - Tam była mowa o mercedesie, czy to nie wóz Irka?... Tak mi się coś kojarzy...

- Dobrze ci się kojarzy - westchnąłem smętnie. - Sprzątnięto nam to cacuszko sprzed nosa. Teraz Irek ma kłopot, wiesz, jego stary...

- Wyobrażam sobie, ale uszy do góry. Wóz jest do odzyskania. Stoi na dziedzińcu wewnętrznym, niedaleko basenu, za pasieką. Będzie wprawdzie wybebeszony, ale chyba na chodzie.

- Twój wóz nie przepadł - mówię podniecony do Irka - stoi na dziedzińcu u Wężerowiczów.

Irek ożywia się.

- Zapytaj, czy jest pilnowany.

Pytam.

- Jest pilnowany - odpowiada Emeryk i nagle ścisza głos. - Do licha, ktoś tu idzie... To Głędos z Pupejką! Kłóca się o coś... nie mogę zrozumieć... A... już wiem... Głędos zarzuca Pupejce, że do spółki z Lidką skrucili na lewo niebagatelną garść diamentów skradzionych przez Lidkę Wężerowiczom, że nie podzielili się z nim, nie dopuścili go do spółki i gdzieś schowali przed nim. Pupejko zaprzecza, jeśli ktoś kombinuje z Lidką, to Pserdoń, to jego protegowana, to on ją tu sprowadził. Bajtując w ten deseń zbliża się coraz bardziej do drzwi i daje nogę. Głędos wybiega za nim. Mam teraz okazję wyleźć z sarkofagu. W tej sali muzeum nikogo już nie ma... Stop! Nic z tego. Znow słyszę kroki. Widzę Pserdonia. Rozgląda się czujnie po sarkofagach, jakby w którymś z nich krył się niebezpieczny wróg. W ręce ściska ogromny pistolet. Magnum?! Czyżby coś zwęszył, coś podejrzanego usłyszał? Boże, on idzie prosto do mnie... Mamo!

Na tym słowie moja łączność z Emusiem się urwała. W telefonie zapanowała przerażająca cisza.

- Esiu, czemu przerwałeś - wykrztusiłem przez ściśnięte gardło. - Odezwij się, co z tobą? Powiedz coś...

Odpowiedziało mi złowróżbne milczenie.

- Coś nie w porządku? - zapytał Irek, odbierając mi aparat. - Co tak struchlałeś?

- Emuś wpadł w ręce Pserdonia - wybełkotałem.

- O, choina!

- Daj mi aparat!

- Po co?

- Dzwonię na policję.

- Już powiedziałem ci, to wykluczone! Oni zanotują, kto dzwoni, sprawdzą nas, wezmą na spytki, dowiedzą się wszystkiego o mnie, o mercedesie...

- Irek, nie wygłupiaj się, bądźże człowiekiem. Mój mały brat jest w rękach złoczyńców, grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo! Czy to jeszcze nie dotarło do ciebie?

- Twój brat sam sobie winien. Od początku można było przewidzieć, że to się tak skończy! Głupi nadęty szczył! Przemądrzały szczurek, stuknięty w przysadkę.

- Nie mów tak o moim bracie - warknąłem. - Emuś wcale nie jest głupi! Jak chcesz wiedzieć, to jest bardziej inteligentny niż chłopcy w jego wieku. Nieprzeciętnie inteligentny i dużo wie. I nie myśli tylko o przyjemnościach, jak inni, mnóstwo rzeczy go interesuje.

- Właśnie. Cokolwiek za dużo. Po prostu lubi wtykać nos w nie swoje sprawy - powiedział Irek. - I ty też jesteś taki - dodał z gniewnym grymasem. - Wszyscy cię znają od tej strony. Miłosierny Zenon na cudzy rachunek. Uczynny Zenio cudzym kosztem!

- Ja?! Cudzym kosztem?! - zatkało mnie z oburzenia.

- Przez ciebie straciłem wóz, to ty mnie wplątałeś w rozgrywki między gangsterami! Zmusiłeś mnie, żebym przyjął na pokład tego cholernego Tancerza.

Doprawdy Irek ma czasem odzywki zdolne замуrować samego Demostenesa! Dopiero po dłuższej chwili zdołałem przejść do kontrataku.

- Podtrzymaj mnie, bo padnę z ubawu! - zaśmiałem się teatralnie. - Ja przyjąłem na pokład Tancerza?! To ty złakomiłeś się na głupie pół seciuchy i dałeś się przekupić przez tego gangstera... tak, właśnie prze-ku-pić! To ty wpakowałeś nas w tarapaty przez swoją znaną ogólnie słabość...

- Moją słabość?! Jaką słabość? - oburzył się Irek, który chciał uchodzić za mocnego człowieka.

- Słabość do dzidzi - powiedziałem spokojnie. - Zauważyłem, że podoba ci się każda. Cóż dopiero taki wamp jak piękna Lidka. Od początku wpadła ci w oko. Wpatrywałeś się w nią jak sroka w cielecy gnat...

- Cielecy gnat?!

- Oczka ci błyszczały zielono jak kotu, któremu trafiła się mysz, co chwila czyściłeś okulary, żeby ją lepiej widzieć! No i urządziła cię, złodziejka! Nie... nie mam do ciebie pretensji - zaznaczyłem szybko widząc, że zamierza protestować. - Bestia była cwana agentką i jeszcze lepszą aktorką. A w ogóle dajmy spokój tym rozrachunkom, to nic nie da! Cześć!

- Dokąd idziesz? - zapytał niespokojnie.

- A jak myślisz? - przyspieszyłem kroku.

Dogonił mnie.

- Nie powiesz nic o samochodzie? - wysapał. - Nie musisz.

- Nie muszę - zgodziłem się.

- Tym razem mogą ci uwierzyć na komendzie - zamruczał. - Dobrze wyglądasz, wiesz? Na twarzy masz wypisane ciężkie przejścia. To powinno zrobić na policji odpowiednie wrażenie.

- Być może - zgodziłem się - tylko że ja nie idę na policję.

- Nie idziesz?! - Irek spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Przemyślałem to - powiedziałem. - Z chwilą gdy gang ma w swoich rękach Emusia, sytuacja uległa zmianie. Uprzytomniłem sobie, że gdyby w sprawę wmieszała się teraz policja, Emuś mógłby przyplacić to życiem, bo bandyci wzięliby go na zakładnika... Nie, tu trzeba działać inaczej!

- To co chcesz zrobić?

- Spróbuję uwolnić Emusia.

- Jak?

Wzruszyłem ramionami.

- Coś wymyślę - powiedziałem. - Bóg pomoże - westchnąłem i spojrzałem w niebo.

W milczeniu skręciliśmy w ulicę Dworkową, do której przylegała część gospodarcza zespołu pałacowego Wężerowiczów. Gdy znaleźliśmy się pod bramą (szczęśliwie otwartą), powiedziałem do Irka:

- Zanim się rozstaniemy, zrób jeszcze coś dla mnie. To ostatnia rzecz, o którą cię proszę! Spróbuj połączyć się z Emusiem.

Pokręcił głową.

- Na co liczysz? Że nie odebrali mu aparatu? To pierwsza rzecz, którą na pewno zrobili. Byłby cud, gdyby ten biedak go jeszcze miał.

- Wierzę w cuda - odparłem twardo.

- Spróbuj sam - Irek wyciągnął telefon.

Wybrałem na tarczy numer Emeryka. Serce zabiło mi mocno, kiedy odezwał się sygnał. Przycisnąłem nerwowo aparat do ucha, ktoś cicho zakaszłał.

- Emuś?

Mój głos zabrzmiał dziwnie obco.

- Kto mówi? - usłyszałem słaby szept.

- To ja, Zenek. Gdzie jesteś?

- Tym razem w beczce. Dokładny adres to piwnica w lewym skrzydle pałacu, tam gdzie przechowują miód.

- Jesteś wolny?

- Tak jakby...

- Mój Boże - odetchnąłem nieco. - A już bałem się, że nakrył cię Pserdoń. Mówiłeś, że podchodzi do twojej trumny ze sfluwą.

- Mała pomyłka optyczna. Podszedł do sąsiedniego sarkofagu, podlubał w nim i wyjął z niego mały pakunek, takie płaskie pudełeczko, chyba to, co Lidka schowała. Myślę, że oni są w zмовie, dobrana para gangsterów, pracująca niby w gangu Programatora, ale w rzeczywistości na własny rachunek.

- To czemu przerwałeś rozmowę, czemu umilkłeś i nie odpowiadałeś na moje pytania?

- Ze strachu zdrętwiałem. Ty byś też zdrętwiał. Bałem się ruszyć, bałem się mówić - wyznał Emuś. - A potem, jak tylko Pserdoń wyszedł, wtargnęła do muzeum duża grupa turystów z przewodnikiem. Od razu zrozumiałem, że to dla mnie duża i może ostatnia szansa. Skorzystałem z tego, że najpierw w pierwszej salce oglądali totemy plemienne i amulety, wyskoczyłem z sarkofagu, nasaunałem z powrotem wieko i udałem, że jestem członkiem grupy. Na ulicy trzymałem się blisko dwojga starszków z kilkuletnią wnuczką. Byli trochę poirytowani, że pętam się im natrętnie pod nogami, ale trudno, musiałem robić wrażenie, że należę do ich rodziny. Byłem pewny, że najbliższy teren naszpikowany jest agentami Programatora, którzy znają mój rysopis.

- Naprawdę, Emuś, dziwię ci się - powiedziałem zdenerwowany. - Zamiast smarować prosto do domu szczęśliwy, że unosisz całą skórę z tej detektywistycznej przygody, ty mimo oczywistego zagrożenia wystawiasz się na cel gangsterom, wałęsasz koło pałacu...

- Wcale się nie wałęsałem, szukałem tylko kuchennego wejścia do obiektu.

- Po jakie licho, Esiu!

- Jak to, Zenon... Przecież nie dokończyłem akcji. Miałem skapitulować? Po trzech godzinach leżenia w egipskiej trumnie? Myślisz, że było tam wygodnie? Moje cierpienia miały pójść na marne? O, nie! Opracowałem skuteczny plan działania! Pokrzyżujemy złoczyńcom ich podłe zamiary! Zagramy im na nosie. Zjaw się tu jak najprędzej z Irkiem, już ci mówiłem, gdzie będę na was czekał, powtarzam jeszcze raz: piwnica w lewym skrzydle... z ulicy wchodzi się przez zielone drzwi z napisem „wejście służbowe tylko dla personelu”. Czekam!

To powiedziawszy bestia rozłączył się! Powtórzyłem Irkowi te słowa.

- I co zrobisz? - zapytał.

- Co zrobię? - zasapałem zirytowany. - Pójdę i wyciągnę smarkacza za uszy z tej piwnicy.

Spiesznie przekroczyłem bramę. Irek za mną.

Na bramie jako herb widniał wielki znak firmowy Wężerowiczów. Nie wiem czemu, fascynował mnie. Była to jakby rycerska tarcza: trzy splecione z węży literki „W” otaczały trzydzieści chyba złotych gwiazdek, które znajdowały się w środku. Pod spodem na obłej krawędzi tarczy umieszczono napis Capricornum Juvet!

Na dziedzińcu wewnętrznym rozstałem się z Irkiem. Irek pobiegł w stronę pasieki, gdzie według Emusia miał stać jego wóz, ja zaś ruszyłem w prawo do czarnej furty z kutego żelaza, zdobnej w dole w złote wijące się węże, a u góry w skrzydlate orły. Chciałem tędy na skrót przedostać się korytarzem do lewego skrzydła. Był to pomysł poroniony. Furta była zamknięta, natomiast od razu pojawił się gangster w panterce, a raczej w gepardce, sądząc po kształcie i kolorze plam na jego bojowym stroju.

- Przejścia nie ma - warknął. - A dokąd to? - spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Do muzeum.

- To budynek przy lewym skrzydle, musisz okrążyć front pałacu, a stąd zmykaj!

Czmychnąłem szybko bez dyskusji, bojąc się, by wartownik nie stał się zbyt dociekliwy. Korzystając z osłony krzaków dotarłem na drugi koniec dziedzińca, gdzie otwierał się widok na piękny basen i na doświadczalną pasiekę z ulami o daszkach jak czerwone kapturki. Ale przede wszystkim interesował mnie porwany mercedes. Czy rzeczywiście tam stoi? Zrobiłem jeszcze dwa kroki i zza

szpaleru cisów faktycznie wyłonił się wóz pana Liszeńca! Ale widok był przykry. Auto było wybebeszone. Wymontowano fotele i kanapę tylną, pozdzierano dywaniki, podsufitki i pokrowce. Czterech drabów w zielonych ubraniach pracowników wodociągów i kanalizacji dokładnie sprawdzało każdy element wnętrza. Jednak nie to było najgorsze, ale to, co zrobili z Irkiem. Leżał na brzuchu na kanapie wyjętej z mercedesa, a dwu gangsterów okładało go policyjnymi pałami. Za każdym uderzeniem biedak krzyczał obrzydliwie i całkiem nie po męsku.

- Dość już - rzekł zdenerwowany najgrubszy z bandziorów, zatykając sobie uszy; widać był specjalnie wrażliwy. - Dać szczyłowi kopa i niech się zmywa.

Pałkarze podnieśli Irka z kanapy i zaaplikowali mu po jednym kopniaku na pożegnanie. Irek z ohydny wrzaskiem wylądował na stercie detali wydłubanych z samochodu. Przez chwilę grzebał się niezdarnie wśród porzucanego żelastwa, wśród części zapasowych i narzędzi samochodowych, wreszcie postępując wstał i powłókł się przed siebie.

Podbiegłem do niego z niepokojem.

- Nie uszkodzili cię chyba za bardzo?!

- Za bardzo to nie - otarł oczy i wyprostował się. - Grunt, że wykradłem im kluczyki. Umyślnie darłem się i jęczałem, żeby potwierdzić nadzwyczajną skuteczność zabiegu, któremu mnie poddali i żeby nie wpadło im do głowy zastosować czegoś gorszego.

- Cieszę się, że humor cię nie opuszcza.

- Humor? A dajże spokój, jestem wściekły - Irek wybuchnął złorzeczeniami pod adresem gangu.

- Ja im jeszcze pokażę... Ja im pokażę, nie pozbijają się!

- Co im zrobisz?

- Zobaczysz - mruknął przez zęby. - Widzisz to? - pokazał mi klucz do kół. - Celowo upadłem na to miejsce, gdzie leżały rozrzucone narzędzia. Mam ten klucz i nie jestem już bezbronny.

. - Będziesz z niego strzelał? - zakpiłem.

- W każdym razie to lepsze od twojej klamki! Wystarczy, że zrobię tak - przyłożył mi klucz do brzucha. Poczułem chłód metalu i zgąłem się odruchowo jak scyzoryk.

- Taki klucz może imitować pistolet - uśmiechnął się.

- Przecież każdy się pozna...

- Nie będę atakował z przodu... ale jeśli zajdę draba od tyłu i znienacka przystawię mu zimną końcówkę klucza do pleców, to w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto gość przerazi się, będzie wolał nie ryzykować i podniesie łapy do góry. Tylko, powtarzam, to musi być atak znienacka, gdy nikt z nich nie będzie się spodziewał, atak wewnątrz budynku. Jak się tam dostać? Twój brat podpowiedział mi drogę. To będzie droga przez piwnicę. Przy odrobinie szczęścia uda mi się sterroryzować kogoś z gangu i odebrać mu broń, a wtedy porozmawiamy inaczej, panowie oprychowie spod znaku Walda i Programatora! - zakończył Irek buńczucznie. - Idziemy razem, czy każdy osobno? - mruknął do mnie zachęcająco.

- Na razie jest nam po drodze - odburknąłem.

Okazało się, że odnalezienie drzwi, o których wspominał Emeryk, bynajmniej nie jest proste. Gdy po obejściu pałacu, przeciskając się przez tłum zwiedzających, dotarliśmy do lewego skrzydła, stwierdziliśmy, że znajduje się tu czworo drzwi i każde z napisem „wejście służbowe, obcym wstęp wzbroniony”. W które wszedł Emuś?

W tej sytuacji postanowiłem zasięgnąć języka. Smarkacz przez swój wygląd i zachowanie powinien zwrócić na siebie uwagę. Może ktoś go zapamiętał. Szanse były niezbyt duże, pierwsze trzy zagadnięte osoby nie były w stanie udzielić nam żadnej informacji. Już chciałem zrezygnować z dalszych indagacji, gdy zauważyłem parę starszusków z kilkuletnią dziewczynką. To o nich chyba wspominał Emuś. Stali u wejścia do budynku muzeum i galerii i słuchali objaśnień przewodnika.

- Przepraszam - odezwałem się do nich - czy państwo nie widzieli przypadkiem samotnego chłopca, dwanaście lat, kręcił się po tej uliczce z telefonem komórkowym. Ruchliwy, bardzo szczupły, trójkątna twarzyczka, nerwowo...

- Owszem - odparła starszuszka. - To nie całkiem normalny chłopiec. Natrętny i powiedziałabym lepki. Przez kilka minut dosłownie deptał nam po piętach, a w pewnym momencie wziął mnie za rękę i powiedział: „mamusiu”. Wzburzona wymierzyłam mu klapsa...

- I co było potem? - zapytałem.

- Na szczęście, kiedy przechodziliśmy chyba koło ostatnich czwartych drzwi pałacowych w tym skrzydle, odczepił się od nas i wdarł się przez te drzwi do pałacu, mimo napisu, że wstęp wzbroniony. Ale czemu go szukacie? - zapytała ciekawie.

- Bo uciekł ze szpitala, gdzie obserwowali go psychiatrzy. Ma niedobrego brata, wszystko pewnie dlatego - westchnąłem obłudnie.

Zostawiając starszków w stanie lekkiego oszołomienia ostrożnie, rozglądając się na boki, po-deszliśmy do tych czwartych drzwi. O dziwo, nie były zamknięte na klucz, gdy Irek nacisnął klamkę, ustąpiły lekko. Wsunęliśmy się na palcach do sieni. Schodów do piwnicy nie było widać. Musiały być dalej, po lewej stronie, koło kuchni, skąd dolatywały apetyczne zapachy pieczonego mięsa. Przeprowadzenie tam wydawało się trudne, bo drogę zagradzał drab wielkiej postury i tuszy, ubrany w strój ochroniarza. Stał rozkraczony bokiem do nas z litrową, zdobną w kolorową etykietę butlą i popijał z niej powoli, za każdym razem ocierając wierzchem dłoni duże sine usta. Był już chyba dobrze zaprawiony, bo kiwał się to w przód, to w tył, ale wciąż wbrew prawom fizyki zachowywał doskonałą równowagę, niczym doświadczony cyrkowiec na linie. Spożywanie wysokoprocentowego alkoholu pochłaniało go do tego stopnia, że na nas nie zwrócił zupełnie uwagi. Los dawał nam niesamowite fory. Niespodziewany handicap!

- To łagodny gość - szepnął Irek. - W sam raz dla ciebie. Wiesz, co masz robić? - podał mi klucz i popchnął w stronę dryblasza. #V Powoli zaszedłem go od tyłu, podniosłem klucz, ręka mi jednak zeszywniała.

Poczułem się jak sparaliżowany. Spojrzałem na Irka. Przyglądał mi się z rosnącą pogardą. Wziąłem się w garść i przyłożyłem klucz dokładnie pod lewą tłustą łopatkę złoczyńcy.

- Policja! - wymamrotałem. - Jesteś aresztowany. Łapy do góry!

Oczekiwałem spodziewanego efektu, lecz efekt nie nastąpił. Grubas spokojnie pociągnął z butli i otarł usta.

Wzruszyłem bezradnie ramionami i spojrzałem wymownie na Irka.

Pokręcił głową, odebrał mi klucz i powiedział:

- Robiłeś to bez ikry, ślamazarnie. Pokażę ci, jak to robi prawdziwy mężczyzna.

To mówiąc energicznym ruchem stuknął kluczem opryszka pod żebro.

- Policja, draniu! Nie próbuj sztuczek. Przestań pić, ręce na kark i pod ścianę.

Dryblas beknął bezwstydnie w odpowiedzi i dalej kołysał się popisowo na swoich pulchnych kulach. „Prawdziwy mężczyzna” Irek, już nieco zdenerwowany, wbił mu z rozmachem żelastwo pod łopatkę.

- No, teraz poczułeś chyba, ty bawole!

Istotnie oprych coś musiał poczuć, bo podrapał się leniwie w to miejsce, jakby ukąsił go komar, siorbnął z butelki i to było wszystko.

- Alkohol go znieczula - orzekł Irek. - Oddaj flachę - powiedział do grubasa - za dużo wypiełeś, to ci szkodzi. - Odebrał mu trunek.

Pozbawiony flachy, złoczyńca stracił jakby niezbędny czynnik równowagi i zaczął zataczać się od ściany do ściany, wykonując jakiś obłądny balet, ale wciąż jeszcze trzymał się na nogach. Irek przyglądał mu się zafascynowany.

- To Tancerz - stwierdził. - Ale ja mam sposób na tancerzy. - Chodź, stary - doskoczył do gangstera - nauczę cię piruetów! - to mówiąc wziął grubasa w obroty i zakręcił z nim szalonego walca, po czym, rozpędzonego jak bąk, puścił nagle.

Opryszek siłą rozpędu obrócił się jeszcze trzy razy, a potem runął ciężko na podłogę i... znieruchomiał.

Irek z westchnieniem ulgi siadł na nim okrakiem i zaczął go przeszukiwać.

- Niech go diabli - mruknął zawiedziony - nie ma żadnej broni, albo to jakaś gangsterska ciura, albo... O, do licha - urwał nagle i wyciągnął z kieszeni oprycha zwiniętą w kółko niewielką stalową linkę czy może raczej... strunę. - Rany! Zenku, czy wiesz, z kim mamy do czynienia? To Fred Dusiciel! Płatny morderca zawodowy. Podobno dusi szybko i bezboleśnie. W pracy używa tylko gołych rąk i fortepianowej struny, dlatego zwany jest także Strunowcem albo Stroicielem. Widziałeś jego łapy? Ma warunki, chłopisko, ale wpadł w szpony alkoholizmu - Irek czasami mnie przeraża. Powiedział to takim tonem...

- Żałujesz, że facet może zmarnować talent? Talent dusiciela?

Irek zrozumiał, że się zagalopował.

- Ja tylko tak ogólnie... o budowie fizycznej typu. Żal mi człowieka.

- Nie rusza się - zauważyłem z lekkim niepokojem. - Czy nie załatwiłeś go zbyt skutecznie?

- Nic mu nie będzie, ma twarde łeb! - mruknął Irek. Zresztą, zaraz go sprawdzimy! - Sięgnął po butlę i przystawił ją do ust gangstera.

Oprych, nie otwierając oczu, zaczął ją ssać zupełnie jak dziecko pierś matki.

Po tym eksperymencie ruszyliśmy w lewo korytarzem zastawionym starymi gratami w stronę kuchni i schodów. Lecz już po kilku krokach stanęliśmy jak wryci, bo ujrzelśmy makabryczny widok. Na podłodze przy schodach leżała na wznak z rozrzuconymi rękami kobieta w średnim wieku, ubrana w biały fartuch i czepek.

Zapewne kucharka. Na twarzy zastygł jej wyraz przerażenia, w prawej dłoni trzymała kurczowo za skrwawioną szyję wielką oskubaną gęś.

- Uśpili ją fałszywymi czekoladkami w bombonierce - szepnął Irek.

- Były wypełnione gazem? Myślisz, że... - zamruczałem przejęty.

- Raczej środkiem nasennym. Zaczął silnie działać, gdy niosła z zamrażarki w piwnicy gęś na przyjęcie z okazji powrotu Wężerowiczów. Akurat zadzwonił telefon ścienny. Chciała go odebrać, ale już nie zdążyła. Powaliło ją. Popatrz na słuchawkę!

Spojrzałem. Dyndała na sznurze.

- Czy chciała dzwonić na policję... - nie dokończyłem i szybko cofnęliśmy głowy za szafę, bo z przedsionka kuchni wyłonił się szczupły opryszek w mundurze listonosza. W jednej ręce trzymał kufel piwa, w drugiej udo indycze albo gęsie i obgryzał je łapczywie. Widać było, że jest bardzo wygłodniały.

- Nie, cholera... nawet smaczne, ale nie na moje zęby - oświadczył do kogoś w kuchni. - To kuchenne babsko mogło potrzymać ptaka na ruszcie choć pół godziny dłużej.

- To twoja wina - odparł głos z kuchni. - Za wcześnie uszczęśliwiłeś ją tą spreparowaną bombonierą.

Oprych w mundurze pocztowym wychylił resztę piwa, podrzucił kufel do góry jak piłkę i kopnął z rozmachem. Zaśmiał się ucieszony z wyczynu, rozejrzał się dookoła, jakby nagle zdjęty niepokojem, że ktoś go może podglądać.

Odwiesił z powrotem słuchawkę na widelki, popchnął nogą ciało kucharki pod ścianę. Przez moment wpatrywał się w gęś, którą wciąż trzymała, a potem nagłym ruchem wyrwał ptaka z jej ręki, obejrzał z zadowoleniem i zawiązał w starą gazetę.

- Tę gąskę zabiorę - powiedział głośno do kumpla w kuchni - jest mięsista i dobrze utuczona. Podzielimy się po połowie...

Irek mrugnął do mnie i zacisnął dłoń na kluczu. Zrozumiałem. To ostatni moment, żeby zaatakować typa. Był ustawiony tyłem. Irek podkradł się cicho do niego i wycedził, przyciskając mu zimny koniec narzędzia do pleców:

- Policja! Koniec zabawy! Ani słowa, jeśli chcesz żyć! Jesteście skończeni. Wydano was! Obgryzaj dalej spokojnie tę nóżkę i rób, co ci każę: trzy kroki naprzód do sieni! Tak... znakomicie, nie oglądaj się, bo zginiesz. Jesteś na muszce! Teraz biegiem przez sień do kuchni!

Opryszek posłusznie pobiegł wystraszony. Irek skoczył za nim i szybko zamknął drzwi kuchenne na klucz. Wycofał się na korytarz i zamknął drzwi do sieni na zasuwę.

- Przez pewien czas mamy ich z głowy - rzucił do mnie. - Teraz biegiem do piwnicy.

Zbiegliśmy błyskawicznie po schodach. Było ciemno. Ktoś wykręcił żarówki albo korki. A może w ogóle cała instalacja wysiadła. Powoli oczy oswajały się z ciemnością. Przez małe zakratowane okienko sączyła się blada poświata.

Odsunęliśmy zasuwę do dużych drzwi piwnicznych. I zajrzeliśmy ostrożnie. Stały tu w dwu rzędach beczki. Włożyłem ostrożnie rękę do pierwszej z nich i stwierdziłem, że jest wypełniona wodą.

- Daj mi telefon - powiedziałem do Irka. - Obawiam się, że Emusia tutaj nie ma i że pomyliliśmy drzwi...

- Owszem jestem - usłyszeliśmy głosik mojego brata.

- Nie widzę cię - rzekłem, czując radosne bicie serca. - Ciemno tu jak w piekle podczas remanentu.

- Na wszelki wypadek wykręciłem korki, to znaczy bezpieczniki.

- Głos słysząc, a osoby nie widać, gdzie jesteś, zbuku?

- Tutaj jestem.

- A dokładnie to gdzie, bo wciąż nie widzę.
- Dokładnie to jestem w beczce.
- Z wodą?
- Nie... niezupełnie. W beczce z miodem!
- Zaraz... jak to z miodem, nie chcesz chyba powiedzieć...
- Niestety tak. Przykry wypadek, siedzę po uszy w miodzie. Duża baryła w rogu, na prawo od wejścia.

Obijając się o różnego rozmiaru i kształtu beczki, antałki, kadzie i baryły (których ilość świadczyła o znakomitym zaopatrzeniu pałacu we wszelkiego rodzaju trunki), podeszliśmy do wielkiej beki, skąd wydobywał się piskliwy głos Ęsia.

Wspinając się na palce zajrzałem do ogromnej beczki. W jej głębi dostrzegłem mojego brata, wynurzył się, jak tylko mógł wysoko. Ociekający gęstym miodem, wyglądał niesamowicie; tak rysują dzieci biednego śniegowego bałwanka, który roztapia się w wiosennym słońku.

- Coś ty najlepszego zrobił?! - wykrzyknąłem. - Co to za pomysł!

- To nie był pomysł - oświadczył Ęsio.

- Kto ci kazał skakać do beczki z miodem? Po jakie lichy to zrobiłeś?!

- To wszystko było tak nagle... nie miałem czasu sprawdzić - tłumaczył Emuś. - To znaczy sprawdziłem, jak wchodziłem do tej piwnicy, co jest w beczkach... Była woda. Szukałem suchej, żeby ukryć się chwilowo, odsapnąć i jeszcze raz wbić sobie w głowę plan działania, który ułożyłem. Zapomniałem, że w porządnie prowadzonym gospodarstwie suchych drewnianych beczek nie ma, zawsze są czymś napełniane, żeby się nie rozeschły... Więc napełniają je zwykle wodą. Aż tu nagle słyszę kroki i głośną rozmowę. Ktoś idzie tutaj. Pospiesznie wspiąłem się do beczki, która stała najbliżej. Byłem pewien, że jest w niej woda... A tu miód! Kto by pomyślał! Taki pech! I tak dobrze, iż nie zapomniałem o telefonie i trzymałem go cały czas w... zębach. Może za bardzo pospieszyłem się z tym skokiem... - ciągnął podniecony. - Może źle zrobiłem, pewnie wystarczyło kucnąć za tą baryłą, bo tych czterech, co weszło do piwnicy, wcale mnie nie szukało. Wynieśli tylko parę skrzynek whisky, Johnnie Walker, White horse i coś tam jeszcze, a na koniec wytoczyli antałek tokaju. Tak, to był pech z tym miodem, ale pocieszałem się, że jest gęsty i nie przemoknę w nim od razu...

- I, jak widać, doskonale pobudza do gadulstwa - zauważyłem złośliwie. - Dość tego. Wylaż zaraz. Zabieram cię do chaty. No, prędzej, czy mam cię wyciągnąć za uszy? Wolałbym się nie paprać...

- Co ty, Zenku, zwariowałeś?! Teraz mamy się wycofać, kiedy mam już gotowy plan...

- Plan? Jaki plan?! - przeraziłem się.

- Już wspominałem ci... wspomniały plan akcji obrzydzania.

- Obrzydzania?..

- Obrzydzania gangsterom tej nieproszonej wizyty. Nie... nie możemy się wycofać, siedzę już w tej aferze po czubek nosa i wy razem ze mną! Tkwimy w niej mocno, a nawet wykonaliśmy już pierwszy punkt naszej wspianej akcji dywersyjno-obronnej. Zajęliśmy ważny strategicznie teren, usadowiliśmy się w świetnym miejscu do wypadu... Patrzcie, tam na prawo są schody, stare schody z artystyczną poręczą z kutego żelaza. Czy wiecie, dokąd prowadzą? Prowadzą do samego centrum pałacu... prosto do panny Kimberley!

- Chcesz powiedzieć - ożywiłem się - że panna Kimberley jednak naprawdę istnieje?

- Oczywiście, Zenku, pod tym względem miałeś rację. To o nią toczy się gra! Jak słusznie podejrzewałeś, ta bogata kuzynka wraz ze swą kolekcją biżuterii jest pod prawną opieką Wężerowiczów. Pod bardzo czujną opieką, należałoby raczej powiedzieć, że znajduje się pod groźnym dla intruzów dozorem. Tak, dozór to najważniejsze słowo w tym wypadku.

- Chodzi o jakichś specjalnie przeszkolonych agentów ochrony? - zapytał Irek. - Myślisz, że oprócz nas ktoś tu jest i jeszcze czuwa nad tą Kimberley?

- Dokładnie. Chodzi o opiekunów zupełnie specjalnych, wobec nich Programator i cały gang właściwie nie mają szans, tym bardziej że, jak się zorientowałem, mają błędne rozeznanie w sytuacji. Wystarczy, że wykonamy jeden mały, ale zdecydowany ruch i koniec sprawy! Dlatego powtarzam: niemądrze byłoby się teraz wycofać.

- To wszystko, co mówisz - zauważyłem - jest dosyć ciekawe, ale wciąż niejasne; dlaczego nie powiesz wprost, o co właściwie chodzi?.

- I tak wam już za dużo powiedziałem - mruknął Emuś. - Ruszcie sami trochę głową. Jedno wam tylko podpowiem. W tej sprawie na początku pomógł mi znak firmowy Wężerowiczów. Czy pamiętacie, jak wygląda?

- Owszem - powiedziałem. - To tarcza usiana gwiazdami i... i węże...

- Tak, wijące się węże - wtrącił Irek - węże ułożone tak, że tworzą kształt potrójnej litery W.

- Dwa W na górze, jedno pod nimi - uzupełniłem.

- Czy wiecie, co oznaczają te litery? - egzaminował nas dalej Emeryk.

- To chyba od Wężerowiczów. Ale dlaczego trzy W, trudno powiedzieć - burknąłem.

- Dwa od imion i jedno od nazwiska Wężerowiczów: Wiktoria i Wojciech Wężerowicz... - powiedział Emeryk.

- Pan Wężerowicz ma na imię Albert albo Adalbert, o ile dobrze zapamiętałem, więc skąd ten Wojciech?

- Ponieważ Wojciech to polski odpowiednik używanego na Zachodzie Europy imienia Adalbert. Po powrocie do kraju Wężerowicz postanowił się spolszczyć.

- A te gwiazdy? - zainteresował się niespodziewanie Irek.

- Widzę, że zaciekałem was - ucieszył się Emeryk. - Ale to jeszcze nic... to dopiero mały wstęp, zobaczcie teraz, jak będzie wyglądało obrzydzanie gangsterom ich niecznego zawodu i bandyckich poczynań. Do roboty, panowie! Opuszczamy szybko nasz posterunek, tym bardziej że robi mi się zimno - Emuś zadzwonił zębami. - Wprowadźcie ubrałem się grubo, ale chyba zaczynam przemakać. Pomóż mi wydostać się z tej beki!

- Wstrzymaj się! - syknąłem nagle. - Ktoś tu idzie! Chowajmy się! - Bez namysłu wskoczyłem do beczki z wodą.

Irek Liszeniec natomiast zdradził wyraźny wstręt do kąpielii i przykucnął za antałem z napisem „Kacsfurdó bor 1981”.

Mój alarm nie był bezpodstawny. Okazało się, że nasz rzekomo bezpieczny punkt wypadowy i wspaniała kluczowa pozycja były tromtadacją mojego znakomitego braciszka. Chwilę później mieliśmy już gości: do naszej piwnicy wkroczyli jacyś ludzie. Moja ciekawość przemogła strach; ostrożnie wychyliłem łeb z beczki... i zaraz go spiesznie schowałem. Nie podobało mi się wcale... to, co zobaczyłem. Potykając się w mroku, do mojej beczki zbliżał się... Programator w towarzystwie jakiegoś chłystka, który raz po raz zapalał nową zapalną, żeby choć nieco rozświetlić ciemności; zdążyłem zauważyć, że miał na twarzy urodzaj pryszcz, które starał się zasłonić lichą, bardzo rzadką bródką. W rękę trzymał baseballową pałą i to mnie już zupełnie zaniepokoiło. Było jasne, że przyszli tu zapolować... i na pewno nie chodziło im o szczury, tylko o nas.

- Co z tym światłem! - denerwował się Programator.

- Te szczyle musiały wykręcić korki - zachrypiął Pyszcz - Pserdoń mówi, że sprawdzał i wszystko było w porządku.

- Ach, Pserdoń - Programator splunął z niesmakiem. - Uprzedzałem Walda, że ten typ położy moją akcję! To gbur i cham bez krzty inteligencji. I ci ludzie, których przyprowadził, z tym cholernym Pupejką włącznie! Obmierzłe grubasy, lenie, niedojdy, ochlapusy! Dziady uliczne!

Zapisał telefon.

- To właśnie Pupejko, szefie, chce z panem mówić - usłyszałem głos Pyszczatego, a potem gniewny bas Programatora:

- Czego chcesz? Tak... dobrze słyszałeś. To twoja ostatnia robota. Pojedziesz do Pikliszek. Tak... dobrze usłyszałeś, awansujemy cię. Akurat brakuje korytkowego w świńskiej farmie bossa. Nie będziesz się nudzić. Dostaniesz do towarzystwa Pserdonia, z pewnością zechcecie razem powspominać wasze dzisiejsze wyczyny... Co? Co takiego... Czy jeszcze nie dotarło do twojej zafajczonej łepetyny, żeś mi, głupcze, położył całą akcję, zniweczył precyzyjnie opracowany program... To mógł być doskonały skok, który w zdumienie wprowadziłby Europę... Kto widział trzy razy powtarzać ten sam numer z wylegiwaniem się na szosie... Pomysł Pserdonia? Niewątpliwie, ale czemu położyłeś się z fajką. Czemu nie wypadła ci ze śmierdzącej gęby... Czemu, zgrywając się na ofiarę, pogodnie ćmiłeś ją dalej, jak gdyby nigdy nic! A jeśli już musiałeś małpować ten nieszczęsny numer, czemu nie do końca, partaczu! Jak już leżałeś, trzeba było leżeć i pojękiwać, a ty... a ty, co zrobiłeś? Wciąż z fajką w zębach poderwałeś się wystraszony i uciekłeś. Zrobiłeś najgłupszą rzecz, jaką mogłeś zrobić! Szczyle od razu poznały, żeście robili ich w konia, i odstawili kiepski cyrk... No i mamy ich teraz na karku! Paczkę niewygodnych świadków! Żywych, wolnych i groźnych!

Rozbroili Janysia, ogłuszyli Ochlapusa, ciężki przypadek zamroczenia! Nie wiadomo, co im jeszcze strzeli do głowy, do wszystkiego są zdolni! To nie jakaś paczka zagubionych maminsynków, poznają po ich zagraniach... - wzburzony Programator oddał aparat Pryszcowi.

- No właśnie, szefie, co to za typki? Kim naprawdę są? - denerwował się Pyszc.

- Zapytaj Pserdonia - warknął Programator - albo jeszcze lepiej tej jego Lali, tej malwersantki, tej szachrajki. Całe nieszczęście zaczęło się od niej... Gdyby nie zwinęła Oka Proroka, akcja przebiegłaby bez zakłóceń i te skubane małolaty nie wmieszałyby się do sprawy! Pserdoń ich zlekceważył. To był błąd. Nie zrozumiał, że mamy do czynienia ze zorganizowaną bandą złodziejasków, łobuzy teraz myślą, że trafił im się grubszy kęsek i na własną rękę chcą dobrać się do skarbu. Są ruchliwi, działają błyskawicznie, a my nic o nich właściwie nie wiemy. Nawet, ilu ich jest.

- Janys twierdzi, że jest ich około dwudziestu - wtrącił Pyszc.

- Arytmetyka głupiego tchórze! - rzekł pogardliwie Programator. - Nawet gdyby było ich stu, wszyscy muszą być wyłapani! Obawiam się, że wiedzą coś, czego my nie wiemy i dlatego poczynają sobie tak śmiało. Mogli zdobyć bliższe wskazówki, gdzie szukać tego cholernego worka szczęścia z afrykańskim grochem.

- Tu ich nie ma - stwierdził Pyszc. - Rozejrzałem się dobrze.

- Zajrzyj jeszcze do tej dużej kadzi.

- Nie sięgnę...

- Posłuż się pałą - poradził Programator.

Dreszcz mnie przeszedł. Ze strachu nabrałem powietrza jak balon, ścisnąłem palcami nos, dałem nura pod wodę i rozpląszczyłem się jak nędzny płaz na dnie.

Jak długo tak wytrzymam? Drgnąłem nerwowo, kiedy kij Pyszcza dotknął moich pleców. Dziękować Bogu, było to tylko lekkie muśnięcie, ale co będzie, jak łotr powtórzy sondowanie i opuści kij choćby tylko o dwa centymetry głębiej? Widać jednak uznał, że to zbyteczny wysiłek i marnowanie cennych minut, bo powiedział:

- Niepotrzebnie tracimy czas. Tu tych fafli nie ma, są już na pewno na górze. Zobaczę, jak tam wygląda sytuacja, szefie.

- Idź! - powiedział Programator. - Sprawdź, czy ci nicponie znów nie melinują się w kuchni. Zagnaj ich do poszukiwań. Wiesz, jak to ma wyglądać? Znasz moje polecenia.

- Przetrzęsamy mieszkanie dokładnie i systematycznie, po kolei, krok za krokiem, centymetr po centymetrze - wyrecytował Pyszc.

- Tak jest, Pyszc! Należy zwrócić szczególną uwagę na pościel, poduszki i pierzyny, także na wszystkie meble... w szufladach mogą być podwójne dna.

Wszędzie mogą być ukryte caczuszka. - Programator przypomniał swoje dyrektywy. - I zostaw mi swoją pałę - dodał na zakończenie - ja tu jeszcze pobawię się trochę.

- Zostawię szefowi także mojego gnata, tak na wszelki wypadek - Pyszc chciał wręczyć Programatorowi swój pistolet, ale Programator odsunął go zdecydowanym ruchem ręki.

- Zabierz tę armatę. Wiesz, że nigdy nie biorę na akcję żadnych pukawek.

- Jednakże...

- Nie, mój chłopcze, nie znoszę hałasu pod wszelkimi postaciami, a już najbardziej - huku. Gardzę mokrą robotą i brzydę się morderstwami; niestety, teraz coraz częściej zdarzają się w naszym fachu, napęlniają mnie głębokim niesmakiem. Głupcy! Myślą, że ułatwią sobie robotę. Nic bardziej zwodniczego! Wierz mi, najbardziej udane akcje, których sprawcy do dziś pozostali nieznanymi, odbyły się bez jednego wystrzału. Wszystko zależy od inteligentnego zaprogramowania i profesjonalnego wykonania scenariusza!

- Ale z uwagi na wyjątkową sytuację i tych szczyłów, którzy nam się tu pętają...

- Nie! Już powiedziałem. Żadnych efektów akustycznych. Pracujemy w skupieniu i ciszy. Od tego zależy powodzenie akcji. Schowaj więc swoją maszynkę i postaraj się nie korzystać z niej, chyba że w obronie własnej.

Usłyszałem oddalające się kroki. Pyszc odszedł. Co teraz robi Programator?

Zrobił to, czego się najmniej spodziewałem: zastygł w ciszy. Nadsluchiwał... i... i usłyszał, co chciał usłyszeć: małe pluśnięcie wody, lekkie skrzyknięcie podłogi, szmer w beczce z miodem... wszystko było słyhać w tej ciszy.

- Wychodzić z beczek! - zagrział jego głos. - Z rękami podniesionymi do góry ustawcie się pod ścianą. Od tej chwili jesteście moimi zakładnikami. Przykro mi, ale nie trzeba było wtykać nosa w nie swoje sprawy!

- To ty ustawisz się pod ścianą i będziesz naszym zakładnikiem - usłyszałem odpowiedź Irka. Wyszedł zza swojej tokajskiej beczki z pistoletem wymierzonym w gangstera. - Mamy pełną zgodność poglądów co do efektów akustycznych, strzelamy tylko w samoobronie i brzydzimy się mokrą robotą. Więc nie utrudniaj nam zadania; byłoby nam bardzo przykro, gdybyś dostał kataru, bo musielibyśmy potrzymać cię w beczce z wodą. Naprawdę tego nie chcemy. Podnieś rączki!

- I bez żadnych numerów! - Uprzedziłem.

- Nasz scenariusz przewiduje, że będziesz grzeczny - dodał Emeryk.

Widocznie jednak scenariusz Programatora nie przewidywał nic z tych rzeczy, które mu proponowaliśmy, bo gangster sięgnął po telefon.

- Rzuć aparat! - krzyknął Irek. - Będę strzelał!

Ale złoczyńca nie przejął się tą groźbą.

- Alarm! - zawołał. - Nakryłem bandę wyrostków na dole...

Nie dokończył, bo piwnica zatrzęsała się od strzałów. W ciemności to wyglądało szczególnie widowiskowo, pistolet Irka pluł raz po raz ogniem, a wskutek oszukańczego echa i przedziwnej akustyki podziemi huk strzałów powielał się wielokrotnie. Odnosiło się wrażenie, jakby strzelano w kilkunastu miejscach naraz. Odruchowo zacisnąłem powieki. Kiedy je otworzyłem i wychyliłem się ostrożnie z beczki, Programatora już nie było. Rozpłynął się jakby w powietrzu.

Irek stał w rozkroku, wciąż zaskoczony tym, co się stało, w opuszczonej ręce nadal trzymał pistolet.

- Chyba wygłupiłem się - wymamrotał. - Coś mi przeszkodziło go zabić... Gdy sobie wyobraziłem, że pada, że krew go zalewa, nie mogłem...

- Strzeliłeś przecież - mruknąłem.

- W ścianę - odparł jakby zawstydzony. - Najgorsze, że zmarnowałem wszystkie kule, nie mam już ani jednej w pistolecie.

- Nieważne - powiedział Emeryk. - Grunt, że przepłoszyłeś Programatora, co nam daje szansę rozpoczęcia akcji na górze.

- O, Boże - przeraziłem się. - Jakiej akcji?

- Dywersyjnej. Wyciągaj mnie z tego miodu! Chyba nabrałem na całe życie wstrętu do tego wyrobu pracowitych pszczółek!

Podąłem mu rękę, po dwu nieudanych próbach wydostał się z kadzi i nie czekając na mnie i na Irka (a miałem mu coś niecoś do powiedzenia), rzucił się do schodów na górę. Pognaliśmy za nim. Emuś spieszenie otworzył drzwi łazienki. Otworzył i jeszcze szybciej zamknął, przerażony, bo zobaczył koło wanny Goryla, który z nożem w zębach grzebał w pudełkach z proszkami do prania. Dookoła walały się wybebeszone pudełka po kosmetykach, wyciśnięte pasty do zębów, rozprute tuby z kremami, pokrajane na plasterki jak pomidory mydła. W powietrzu czuć było silny zapach dezodorantów i wód po goleniu. Na widok chłopca Goryl porzucił zajęcie i zdumiony zagapił się w ociekającego miodem intruza.

- Hej, ty, skąd się tu wziąłeś?

Ale Emuś był już na schodach prowadzących na piętro. Tu jak bomba wpadł w otwarte drzwi, które, niestety, okazały się drzwiami sypialni. To co tam zobaczyliśmy, warte było kamery. Na podłodze siedzieli Pserdoń z Pupejką i bebeszyli nerwowo wszystkie poduchy, poduszki i pierzyny w poszukiwaniu ukrytych diamentów. W powietrzu unosiły się tumany puchu. Rozpędzony Emeryk nie zdążył wyhamować i zderzył się z zaskoczonymi złoczyńcami. Odepchnięty przez nich runął na rozprute bety, przez dłuższą chwilę grzebał się w nich, kaszląc i krztusząc się, a kiedy wreszcie zerwał się z podłogi, stanęliśmy osłupiali. Nie było już Eśia, było puchate białe ptaszysko, a raczej duże świeżo opierzone pisklą, jeszcze bez piór w ogonie i w skrzydełkach. Wydając niezrozumiałe głosy właściwe ptakom błotnym minął łazienkę, gubiąc po drodze parę piór.

- Zaczekaj - krzyknąłem za nim. - Umyj się!

- Nie mamy czasu - wykrztusił. - Zresztą już mi ciepło w tym puchu.

To mówiąc wbiegł do kuchenki przy schodach i porwał stamtąd w biegu dwa słoje z grochem.

- Co robisz? - dopędziłem go wraz z Irkiem.

- To amunicja, wy też łapcie, co popadnie! - zadyszał. Porwaliśmy po woreczku grubej kaszy i po dwie butle oleju, po czym pognaliśmy za Emusiem na górę.

Za nami wciąż kaszłąc i spluwając, z drogami oddechowymi podrażnionymi unoszącym się ciągle pierzem w pokoju, popędzili Pserdoń i Pupejko, a za Pserdoniem i Pupejką miotając przekleństwa wielkimi susami smarował Goryl.

- Stać! Będę strzelać! - ryknął wściekle Pserdoń i oddał ostrzegawczy strzał w kierunku chłopców.

- Co ty wyrabiasz - jęknął Pupejko. - Miało być bez trupów.

- Zamknij się! - Pserdoń strzelił ponownie.

- Nie rób hałasu! - zaprotestował płacząco Pupejko. - Zaraz cała ulica się zleci. Szef kazał przeprowadzić operację cicho!

- Tak jest! - potwierdził Goryl. - Operacja ma być bezdźwiękowa, a kule trzeba oszczędzać. Czekaj nas jeszcze ciężka przeprawa. Ci spryciarze Wężerowicze pochowali wszystko chyba w mysich norach, Bóg wie, gdzie tego szukać! Cholerne chomiki. Jesteśmy w niedoczasie. Zaraz nadejdzie druga zmiana ochroniarzy... I co wtedy?

Ale Pserdonia opanowała już strzelecka mania. Trzymając oburącz spluwę celował uważnie w naszą stronę, a ściśle mówiąc - we mnie. Tak mi się przynajmniej zdawało i zimny dreszcz przeszedł mi po grzbiecie. Za moment rozlegnie się wystrzał i to będzie ostatni dźwiękowy efekt, który odnotują moje uszy.

Zacisnąłem powieki, lecz nagle, rzecz zupełnie nie do wiary, zamiast wystrzału usłyszałem piekielny łomot, brzęk tłuczonego szkła i dziwny stukot, a potem mrozący krew w żyłach krzyk. Spojrzałem. To wrzeszczał Pserdoń, bo Emeryk cisnął mu pod nogi swoją „bombę”. Szkło z rozbitego słoja i groch rozsypały się po schodach, a Pserdoń na tym grochu jak niewprawny zawodnik na rolkach zachwiał się, stracił sterowność, wymachując rozpaczliwie rękami wykonał jakiś niesamowity

piruet, a potem na łeb na szyję przekoziółkował w dół pięć metrów po stopniach aż do punktu startu i wylądował na perskim dywanie Wstrząśnięty upadkiem kumpla Goryl, trawiony żądzą odwetu wydał straszliwy okrzyk, podobny do ryku Tarzana, i ze zdwojona energią ruszył naprzód. Lecz jego goryla główka pracowała By zabezpieczyć się przed poślizgiem przezornie trzymał się mocno poręczy. Za jego szerokimi plecami, ssąc nerwowo fajkę, posuwał się ostrożnie Pupejko.

Druga bomba rzucona przez Emusia tylko na chwilę zwolniła tempo posuwania się gangsterów, a trzask miażdżonego grochu dowodził, że dwustukilowy ciężar ciała plus twarde buciory stanowią skuteczne zabezpieczenie przed Ęsiowymi bombami.

- Wasza kolej, teraz olej! - mój brat nie tracąc humoru ustąpił nam miejsca na schodach, acz podejrzewam, że był to humor wisielczy, bo sytuacja wyglądała mówiąc delikatnie nie najlepiej. Zajęliśmy więc „stanowisko ogniowe” i chlusnęliśmy w Goryla olejem z butli. Niestety pierwsza „salwa” niewiele dała Opryskany olejem Goryl otarł rękawem twarz i uparcie - jak robot pchał się w górę.

- Celujcie w nogi - krzyknął Emuś. - W nogi! W schody i w poręcz!

Nie były to głupie wskazówki. Podchwyciliśmy je w lot! Nie szcędząc oleju chlapnęliśmy solidnie w buciory napastnika, obryzgaliśmy również niemiłosiernie kunsztowne poręcze i elegancie dębowe schody. Dało to niespodziewanie natychmiastowy efekt. Zaskoczony Goryl od razu wpadł w poślizg, próbował ratować się łapiąc za (może zbyt nerwowo) ociekającą olejem poręcz, ale dłoń ześlizgnęła mu się bezsilnie. Runął w dół, zmiatając po drodze Pupejkę oraz tłustego Głędosa, który sekundę wcześniej nieopatrznie dołączył do pościgu.

Rozgoryczony spojrzałem z góry na pobojuwisko. Goryl zleciał najdalej. Nie pomógł mu perski dywan, na którym w końcu wylądował. Leżał bez ruchu z rozłożonymi ramionami i pojękiwał cicho. Wyglądało na to, że odniósł poważne obrażenia i został na dobre wyeliminowany z akcji, podobnie jak Głędos, który doznał chyba złamania piszczeli, bo zwijając się z bólu ścisnął prawą nogę.

Tylko jeden Pupejko wyszedł chyba z upadku bez większego szwanku, bo gramolił się powoli, pykając ze swojej niezniszczalnej fajki...

Lecz groźne niebezpieczeństwo wciąż wisiało nad nami. Usłyszałem ostrzegawczy głos Irka.

- Uwaga! Nad nami Programator!

Zadarłem głowę do góry. Istotnie, na górnym podejściu pojawił się typ z czarną brodą, w którym rozpoznałem Programatora. Towarzyszyli mu wciąż ci dwaj drągale, bliźniacy Trend.

- Co tam się dzieje?! - zdenerwowany szef gangu spojrział w dół schodów. - Pupejko, Głędos... Co z wami! Do kata i cholery!

Z dołu odpowiedział mu jęk.

- To ci grandziarze rozrabiają! Skubane chmyzy! - wysapał Programator. - Wciąż gdzieś tu są!.. Trzeba przeczesać ten miły domek. Sy-ste-ma-ty-cznie!

Spojrzelismy jeden na drugiego wystraszeni. Amunicja się skończyła, a za chwilę dopadnie nas tu Programator z bliźniakami.

- Co teraz? - przyłapałem się na tym, że odruchowo spojrziałem na Emeryka (jakby przyznając, że tylko on może w tej sytuacji wymyślić coś mądrego).

Istotnie, mój młodszy brat nie zastanawiał się długo. Rozejrzał się dookoła i wzrok jego padł na terrarium z węzami.

- Nie ma co kombinować - mruknął. - Dawaj tę klamkę...

- Jaką klamkę?!

- Tę, którą mi odebrałeś.

- Co chcesz zrobić?

- Rozbić szybę terrarium.

- Oszalałeś?! Przecież węże... - wybełkotałem. - Tam jest sto jadowitych węży z całego świata.

- Dwadzieścia dziewięć - sprostował z zimną krwią Emeryk. - Ale to zupełnie wystarczy, żeby przestraszyć braci Trend, a nawet samego Programatora. Wypróbujemy jego dzielność, gdy stanie oko w oko z tymi uroczymi stworzonkami. Liczę zwłaszcza na kobry królewskie i grzechotniki. Chrobotanie, terkotanie i chrzest grzechotników mało kto znosi spokojnie, zwłaszcza gdy widzi, że w jego stronę pełnią dwudziestu takich sympatycznych osobników z grzechotkami na ogonie i z jadem śmiertelnym w zakrzywionych ząbkach... Daj mi klamkę - zakończył ostrym tonem.

Lecz ja postanowiłem pokazać, co potrafię i walcząc z dławiącym mnie strachem powiedziałem, zgrywając się na mocnego człowieka, umyślnie wolno (dla większego efektu i przyprawiając rzecz makabrycznym humorkiem):

- Sam to załatwię, a wy obaj lepiej od razu bierzcie nogi za pas, bo wcale nie jest pewne, w którą stronę popełnie to szlachetne, lecz wyposzczone bractwo i na kogo będzie miało apetyt.

To powiedziawszy wyciągnąłem żelastwo.

- Oosobiście mam wstręt do gadów - wymamrotał Irek. - Chyba masz rację, le... lepiej oddalę się - dodał i faktycznie nie kryjąc „wstrętu” oddalił się.

Emeryk spojrział na mnie zaskoczony i powiedział:

- Rób, co chcesz, ale bądź ostrożny!

Cofnął się dwa kroki i obserwował mnie podejrzliwie. Chyba niezupełnie mi ufał.

To mnie trochę rozzłościło. Podniosłem żelastwo do góry i z rozmachem uderzyłem nim dwa razy z całej siły w grubą szybę terrarium...

- Tam są! Widzę ich - krzyknął Programator do braci Trend. - Brać ich, szczytów!

Bliźniacy rzucili się do schodów, zbiegli na nasze piętro, lecz nagle usłyszeli grzechotanie i zatrzymali się z niepokojem.

- Co się wam stało, do kata i cholery?

- Słyszemy grzechot, szefie.

- Nie opowiadajcie głupstw! Tu nie ma małych dzieci ani grzechotek. Niemowlę Wężerowiczów pojechało na spacer i z pewnością zabrało swoją.

- To nie jest grzechotanie grzechotki dziecka, szefie, to jest grzechotanie grzechotek grzechotników. Wielu grzechotników. Słyszysz szef?

- Ładnie grzechoczą na różne głosy - zauważył Programator. - Ale właściwie to nie jest grzechotanie, to jest, powiedziałbym raczej, trzeszczenie, a mówiąc ściśle to cykanie. Tu zagnieździły się świerszcze albo cykady, które Wężerowicz przywłókł niechcący w bagażu z Afryki.

- Cykady?! Ależ szefie... o pomyłce nie ma mowy. Byliśmy na kursie ofiologicznym dla ochroniarzy i potrafimy odróżnić grzechotkę grzechotnika od cykania... - zapewnili bracia Trend. - Wycofujemy się!

- Co takiego?! Stać, do kata i cholery!

- Akcja miała być cicha... bez użycia broni, nie zabraliśmy nawet naszych spluw, w ogóle wszystko miało być nie tak. Bez szarpania nerwów, bez węży i bez smarkaczy, którzy wciąż tutaj się pętają pod nogami... To oni musieli rozbić terrarium i wypuścić te gady... Pełźnie do nas sto rozdrażnionych jadowitych bestii...

- Jadowitych be... bestii?! Bez przesady, panowie...

- O pomyłce nie ma mowy... rozpoznajemy je dokładnie. Pierwsze zasuwiają krajowe zmije... poznajemy po zygzakach... to ich znak: kainowa wstęga! Za nimi import: kobry królewskie, wszystkie odmiany, z okularnikami naja-naja włącznie i... i... grzechotniki, a na końcu najbardziej jadowite ze wszystkich i największe - czarne mamby! Czy słyszy szef, jak syczą? Przepraszamy, ale w umowie nie było, że mamy walczyć z węzami, za walkę z węzami są zupełnie inne stawki! Wycofujemy się przez poddasze po kominiarskiej drabinie. Radzimy podążyć za nami... Za dwie sekundy będzie za późno.

- Tchórze, śmierdzące patałachy!... - zawarczał Programator.

To były ostatnie słowa, jakie do nas dotarły z piętra. Potem usłyszeliśmy już tylko syk. Czy był to syk węży, czy też syk ukąszonego Programatora, nie zdążyłem już ustalić, bo Emeryk szarpnął mnie energicznie za ramię.

- Co się tak zagapiłeś, zmywamy się! Do samochodu! To dobra okazja. Póki Programator i bliźniacy nie odetną nam drogi, a ci złoczyńcy na dole nie pozbierają się, jest dla nas szansa, żeby się wycofać z tej afery i ocalić skórę.

Uśmiechnąłem się w duchu z gorzką satysfakcją. „A więc, Esiu, chodzi już tylko o ocalenie własnej skóry; to coś nowego, Esiu!” Spojrzałem w dół. Pserdoń siedział po turecku na dywanie i spokojnie przeglądając się w lusterku, rozczesywał swoją „kolistą” brodę mandryla, racząc się jakimś płynem z płaskiej butelczyny (zapewne znieczulaczem). Twarda sztuka! Wyglądało na to, że nie bardzo śpieszy się do swej gangsterskiej roboty.

Obok Pupejko wykonywał (nader ostrożnie) przysiady, niewątpliwie, żeby sprawdzić swą dalszą przydatność w akcji. Po każdym przysiadzie pykał rytmicznie z fajeczki i macał sobie po kolei żebra, czy któreś wskutek upadku nie poniosło szwanku.

- Widzisz, jak są zajęci - mruknął Emeryk. - Przemkniemy koło nich cicho... Zanim się zorientują, będziemy już na dworze.

- I wpadniemy prosto w ręce braci Trend! - dokończyłem.

- Przebijemy się.

- To wyszkoleni wszechstronnie agenci. Co im zrobisz? Dasz sójkę w brzuch? Oni mają kamizele ochronne, a my nie mamy żadnej broni, więc z czym do gości? Z kławką w kieszeni?

Emeryk rozejrzał się nerwowo.

- Kamyki! - powiedział krótko.

- Kamyki? - wytrzeszczyłem oczy. - Jakie kamyki? Co ci przyszło do głowy... skąd tu kamyki?

- Z terrarium - odparł. - Są duże i ostre. Nabierzemy ich pełne kieszenie i ciśniemy gangsterom w oczy, jak spróbują nas zatrzymać.

- I myślisz, że to ich powstrzyma? Biedny Esiu, to żaloszny pomysł!

- A masz lepszy? - zapytał spokojnie. Nie miałem.

- No to ładuj! - mruknął, pakując co większe kamyczki.

Ze wstrętem nabrałem parę garści „żwirku”. Był brudny i lepki, zalatywał ohydny odorem...

Ostrożnie, na palcach zeszliliśmy na dół. Tu dołączył do nas Irek. Cicho wypętlzył (jak wąż!) spod wielkiego antycznego łóżka.

Pierwszy zauważył nas (w swoim lusterku chyba) Pserdoń, zwany przez nas także Mandrylem.

- To oni! To ci nikkzemnicy! Ta wszawa smarkateria! Łapać ich!

Pupejko z wrażenia przewrócił się, wykonując kolejny przysiad i miał trudności z pozbieraniem się. Jeszcze gorzej poszło Mandrylowi. Chciał podnieść się, ale nie dał rady. Dwa razy próbował bezskutecznie, dopiero za trzecim, przysunawszy krzesło, dźwignął się i stał jak bocian na jednej nodze.

Nieszczęsny skacząc i kuśtykając na przemian ruszył za nami. Błagał, byśmy stanęli i oddali się w jego ręce, łamiącym się głosem zaklinał łkając, że przez nas straci pracę.

Doprawdy, żal nam się zrobiło człowieka, ale smarowaliśmy wytrwale dalej; na skrót przez pa-siekę do samochodu. Wybawienie było tuż tuż...

Przez moment zrobiło się nam żal Pserdonia, ale z przykrością muszę stwierdzić, że Pserdoniowi bynajmniej nie zrobiło się żal nas. Widząc, że nie ma szans w pościgu, próbował zrobić jeszcze raz zbrodniczy użytek ze swojej pukawki i oddał w naszą stronę trzy strzały, wszystkie na szczęście chybione. Nie był jeszcze w formie po tym upadku ze schodów. Chciał strzelać, drań, dalej, lecz usłyszeliśmy tylko tępy dźwięk iglicy; skończyła się amunicja.

Wbiegliśmy już na teren ogrodowy; jego centrum zajmował basen kąpielowy, a po prawej i lewej stronie stały, jak już wspominałem, ule ze stożkowymi daszkami.

Obejrzelśmy się. Pserdoń i Pupejko, choć kontuzjowani, wciąż, jak wytrwałe ogary, biegli za nami. To było denerwujące i wszyscy trzej kombinowaliśmy, jak się ich pozbyć. Pserdoń i Pupejko też kombinowali i postanowili wziąć nas w dwa ognie. Rozdzielili się, Pserdoń pobiegł ścieżką wzdłuż lewej strony basenu, a Pupejko wzdłuż prawej. Tymczasem odległość między nim a Emusem, który biegł za Irkiem i za mną, wyraźnie się zmniejszała. To się stawało zgoła niebezpieczne.

Czyżby Emuś słabł?

- Co z tobą? - wysapałem zwalniając i przybliżając się do niego wraz z Irkiem.

- Nic - odparł. - Przyszedł mi tylko do głowy pomysł, jak się pozbyć tych draniów, może być bardzo skuteczny, ale uprzedzam, że trochę niebezpieczny i ryzykowny.

- Mów! Szybko i bez wstępów!

- Wyprzedźcie mnie i smarujcie dalej, a jak nadbiegnie z tamtej strony Mandryl, zróbcie dokładnie to, co ja zaraz zrobię z Pupejką.

Było zbyt mało czasu, by dyskutować lub pytać o szczegóły, i zrobiliśmy, co proponował: wyprzedziliśmy go o jakieś dziesięć metrów, a potem obejrzelśmy się z niepokojem. A było na co popatrzeć! Wszystko rozegrało się dosłownie w ciągu dwu sekund. Gdy zziąjany Pupejko znalazł się pięć kroków od Eśia, mój mały brat zrobił coś zgoła niespodziewanego (i muszę przyznać, że było to kapitalne zagranie). Podpuściwszy Pupejkę na tę „kontaktową” odległość, jednym nagłym ruchem zerwał z najbliższego ula ów kapturkowy daszek i czmychnął szybko. To było faktycznie ryzykowne, mógł sam być zaatakowany przez rozgniewane pszczoły, ale miał łebek to szczęście, że prysnął pod wiatr (świadomie?) i gdy rój rozgniewanych pszczoł poderwał się z plastrów, to zaatakowały one nie Eśia, lecz nadbiegającego akurat Pupejkę.

Niemal w tej samej chwili z przeciwnej strony nadciągnął kuśtykając Pserdoń.

Irek i ja załatwiliśmy go podobnie, jak Emeryk Pupejkę. Irek zerwał daszek z jednego, a ja z drugiego ula i dwa roje rozwścieczonych owadów rzuciły się na zaskoczonego Mandryla.

Zaatakowani złoczyńcy zaczęli biegać nieregularnym zygzakiem to w jedną, to w drugą stronę, wymachując rękoma oganiali się rozpaczliwie, ale miało to tylko ten skutek, że rozjuszone jeszcze bardziej pszczoły żądliły ich z podwójną zaciekłością... w głowę, w szyję, w twarz, w oczy... Ogłupieli z bólu, półprzytomni i niemal zupełnie oślepieni w pewnym momencie zderzyli się z sobą i do reszty stracili orientację. Odrzucony siłą zderzenia Pupejko wpadł do basenu.

Od razu z krzykiem przerażenia poszedł na dno. Krztusząc się wynurzył się po chwili; bezładnie młóćąc wodę rękami, próbował utrzymać się na powierzchni i bulgotliwie wzywał słabym głosem pomocy. Chyba nie umiał pływać, w przeciwieństwie do swojej fajki, która kołysząc się na fali spokojnie żeglowała w dal...

Ten Mandryl, Pserdoń, po zderzeniu też wylądował nie najlepiej, bo w środku pasieki. Zataczając się jak zalany w pestkę gość weselny, kompletnie oszołomiony, potykając się między ulami (dwa z nich wywrócił) zaczął wykonywać obłędny taniec, podobny do rytualnych płaśów afrykańskich fetyszystów. Wtem padł na trawnik i już nie mógł się podnieść, tylko pojękiwał cicho. Chyba był uczulony na jad pszczeli i powoli tracił przytomność...

Wyglądało, że tych panów mamy pomyślnie z głowy, ale sytuacja ogólna była wciąż poważna. Oto bowiem przy basenie pojawiły się te wielkoludy, bracia Trend! Na moment przystanęli, jakby chcąc rozejrzeć się w sytuacji.

To była pełna napięcia chwila. Patrzyliśmy na nich uważnie gotowi do ucieczki, a gdy się nie uda, zdecydowani drogo sprzedać skórę. Oni też popatrzyli na nas, a potem na ciapiącego się rozpaczliwie Pupejkę tudzież na powalonego Pserdonia. I nagle zdecydowali... Ku naszemu zaskoczeniu Trend Wygolony rzucił się do basenu. Klasycznym delfinem, wyrzucając daleko w przód ręce i zgarniając pod siebie potężne masy wodne, dopłynął w trzech „suwach” do tonącego Pupejki i przyholował go do brzegu w widowiskowym stylu, wydmuchując jak wieloryb fontanny wody z ust.

W tym czasie Trend Włochaty porwał ochronną siatkę pszczelarską wiszącą przy pierwszym ulu i ruszył na pomoc Mandryłowi Pserdoniowi... O nas jakby zapomnieli.

Zrozumieliśmy. Bracia Trend mają swoją hierarchię wartości i tacy smarkacze jak my przestają się liczyć, gdy chodzi o życie koleżków z gangu. Pięknie! To nam bardzo odpowiada. Mamy nieco luzu i czasu na odsapkę, ale nie odpoczywamy.

Korzystam ze sposobności, zaciągam Emusia pod prysznic przy basenie i pomagam mu zmyć miodową powłokę i pierze. Zamiast wielkiego opierzonego pisklęcia mamy teraz małego dygoczącego z zimna chłopczyka. Mnie i Irkowi też robi się zimno.

- Biegiem do wozu, panowie! - zadzwonił zębami Irek. - Tam są dresy: taty i mój, a także roboczy fartuch i... i aspiryna na przeziębienie.

Jeszcze nie skończył, a Emuś puścił się biegiem do mercedesa, rozcierając sobie zmarznięte ręce.

- Poczekaj, chłopie, nie masz kluczyków! - zawołał za nim Irek, ale mój znakomity braciszek nie słuchał, wkrótce zniknął nam z oczu za rzędem gęstych złocistych tuj.

Na brak zaskoczeń nie mogliśmy narzekać tego dnia. Gdy podbiegłem z Irkiem do jego wspaniałego wozu, czekało nas jeszcze jedno: za szybą ujrzeliśmy twarz... Emusia. Jak zdołał otworzyć wóz?! Nagle usłyszałem bolesny okrzyk. Doprawdy, w tym mercedesie działy się dziwne rzeczy. Kto tak krzyknął?! Emuś?! Szarpnąłem za klamkę drzwi i zdumiony zobaczyłem, że miła buzia Emusia zniknęła, a zamiast niej ukazało się szpetne, porośnięte żółtą szczecina oblicze... Programatora.

- Szukacie kogoś? - zapytał drwiącym głosem.

Muszę pochwalić się, że tym razem ja pierwszy wyszedłem ze stanu osłupienia, odzyskałem rezon i zdolność mowy.

- Gdzie mój brat?! - wykrztusiłem zdenerwowany i zajrzałem do wozu, ale na siedzeniu widać było tylko zmięte zielone ubranie robocze pracownika wodociągów i kanalizacji. - Nie widzę go... Co pan z nim zrobił! Nie pozwolę, żeby mu się coś stało! Gdzie on jest!...

- I co, u licha, robi pan w moim wozie? - Irek zmierzył gangstera surowym wzrokiem.

- Twoim? - gangster uśmiechnął się szyderczo. - A pokaż no, chłopaczku, dowód rejestracyjny i swoje prawo jazdy.

- Nie muszę panu nic pokazywać - powiedział hardo Irek.

- I najlepiej będzie, jak od razu zadzwonimy na policję - dodałem groźnie.

- Zobaczymy wtedy, kim pan naprawdę jest - wycedził Irek - kto panu pozwolił włożyć dres mojego ojca i rozwalać się na fotelu w naszym wozie?! - sięgnął po aparat.

Programator roześmiał się sztucznie.

- Nie radzę - zmienił nagle ton i pogroził nam palcem. - Mam zakładnika! Czy to przypadkiem nie twój braciszek? - zapytał, mierząc mnie zimnym wzrokiem. - Zerknij no, chłopaczku, na niego.

To mówiąc ściągnął z siedzenia obok siebie te zielone łachy, a ja zobaczyłem pod nimi... Emusia. Leżał skulony z podwinętymi nogami. Oczy miał zamknięte. Czyżby spał? Niemożliwe!

- Dostał dreszczy - wyjaśnił Programator - więc przykryłem go tym, co było pod ręką. Poznajesz go? Uciał sobie drzemkę, biedaczysko.

- Mój brat nigdy nie śpi o tej porze. I nie usnąłby zresztą w takich warunkach. Był podniecony, a nie senny. Co pan mu zrobił? - zaniepokoiłem się nie na żarty.

- Nic takiego.

- Nie wierzę panu... Jeszcze przed chwilą widziałem go w oknie, normalnie siedział, a teraz się nie rusza... leży jak trup - łzy stanęły mi w oczach.

- No, no, tylko nie próbuj się rozbeczeć - warknął złoczyńca. - Twojemu braciszkiemu nic nie będzie... Ukaralem go tylko za wścibstwo, nieposłuszeństwo i brak szacunku dla starszych.

- Pan nie miał prawa! - wykrzyknąłem.

- Zrobiłem mu ciach-mach! Mam taki cios, lekki, lecz skuteczny - uderzył kantem dłoni w kierownicę. - Ciach w skroń i po zmartwieniu! Uspokoił się od razu. Za parę minut, jak będziecie grzeczni, dam mu klapsa w policzek i obudzi się zdrowy; ale jak wykręcicie mi jakiś numer, albo jak policja się w miesza, to go tak trzepnę, tak go zaprawię, że dostanie skrzydełek i przeniesie się do krainy aniołków bezpłatnie i bezboleśnie. Rozumiemy się?

- Pan kłamie! - wybuchnąłem. - Pan już go zabił!

Programator uśmiechnął się z politowaniem.

- Uważasz mnie za głupka? Po co miałbym to robić? Zakładnik w mało przyjemnej i, powiedzielibym, nieeleganckiej postaci trupa wart jest mniej od zdechłego szczura. A tak wyjedziemy sobie obaj spokojnie z tego niegościnnego miejsca. Nie mam zamiaru nadstawiać karku za tych kretynów, którzy spaprali tak świetnie przygotowaną akcję. Dałem się nakłonić do niej jako programator w imię sprawiedliwości, chłopcy. Uważałem, że Wężerowiczowie powinni podzielić się z kimś takim jak ja, z utalentowanym, inteligentnym, pomysłowym człowiekiem, któremu brakło w życiu szczęścia - westchnął ciężko. - Niestety zawiodłem się, tacy jak oni nie grzeszą uczynnością. Złożyłem im nader korzystną ofertę współpracy, solidnej ochrony ich skarbów, za skromnym wynagrodzeniem, lecz odrzucili ją w niegrzecznej w dodatku formie...

Słuchaliśmy tych zwierzeń i opinii z bardzo mieszanymi uczuciami. Ten człowiek nie tylko nie poczuwał się do winy i odpowiedzialności za dzisiejsze kryminalne wyczyny, lecz jeszcze uważał się za pokrzywdzonego. Jego rozgoryczenie było tak wielkie, że czuł neodpartą potrzebę wywnętrznienia się i wyżalenia przed całym światem, przed jakimkolwiek audytorium, nawet tak niepoważnym jak my... A w ogóle w tej chwili obchodziło mnie tylko jedno: czy Emusiowi nic się nie stało, czy ten mędrkujący, zawiedziony w swych rachubach złoczyńca nie wyładował na nim swojej wściekłości.

- To ładnie, że pan odchodzi - powiedziałem - ale proszę wysadzić mojego brata. Odjedzie pan sam.

- Uwielbiam mieć towarzystwo, zwłaszcza gdy podróż ma trwać długo - uśmiechnął się krzywo Programator.

- W ogóle pan nie odjedzie - wtrącił Irek. - Nie dam panu kluczyków.

- Nie potrzebuję, szanowny kierowco małolacie - oświadczył złoczyńca. - To nie pierwszy wóz, który pożyczam sobie bez kluczyków. Żaden problem. Wystarczy połączyć kabelki pod stacyjką.

- Jeśli nie brakuje kabelków pod maską - Irek próbował zaśmiać się szyderczo, tak jak robią mocni ludzie w sensacyjnych filmach, ale nie bardzo mu wyszło.

- Nie chcesz chyba powiedzieć... - Programator zmarszczył brwi.

- Owszem, byłem przewidujący i wymontowałem je na wszelki wypadek. - Irek rozpaczliwie blefował.

- A w kole tylnym nie ma powietrza - dodałem. - Właśnie je spuściłem.

- Wy, łobuzy! Uduście, do kata i cholery! - krzyknął Programator.

Wyskoczył z wozu i chciał nas dopaść. Rzuciliśmy się do ucieczki wokół mercedesa. Za trzecim okrążeniem poczułem, że słabnę. Cholerny Programator miał chyba zaprawę sprinterską, bo zasuwał jak po medal olimpijski. Gdybym miał jakąś broń! Boże, obejrzałem się. To twarz mordercy - pomyślałem. - Goni nas morderca - psychopata!

Udusi, jak nic... Odruchowo sięgnąłem do kieszeni, ale namacałem tylko tę nieszczęsną Emusiową klamkę i... kamyki z terrarium. Nie namyślając się wiele, nabrałem ich pełną garść i... cisnąłem je gangsterowi w oczy. Miał, bestia, szczęście, w ostatniej chwili odwrócił głowę i w rezultacie dostał „tylko” w ucho. Ale w końcu, to też wrażliwy narząd. Programator zaskowyczał boleśnie i rozglądał się, jakby nie mając pojęcia, co go ugodziło. Nagle znieruchomiał i utkwivszy wzrok w asfalt przyglądał się kamykowi, który w promieniach słońca pobłyskiwał ostro... mojemu kamykowi! Jednemu z tych, którymi próbowałem go ugodzić.

- Skąd to masz? - kucnął i podniósł z ziemi błyszczący kamyk i jeszcze kilka podobnych, które leżały na ścieżce

- Nie pana rzecz - odburknąłem.

- Zaraz... przecież już to gdzieś widziałem... Boże, gdzie to było... pełno kamyków. Mów! - wrzasnął do mnie. - Wziąłeś to z terrarium? Prawda? - i nie czekając na moją odpowiedź pognął do willi.

- Idioto - huknął na mnie Irek - czy ty wiesz, co zrobiłeś? Cisnąłeś w tego łotra diamentami! Pokaż, dużo jeszcze masz tego w kieszeniach? Emuś też powinien mieć sporo.

- Daj mi spokój! Co mnie teraz obchodzą diamenty - rzuciłem się do Emusia.

Wciąż leżał bez ruchu. Wydało mi się nawet, że nie oddycha. Złapałem go za przegub ręki, ale nie mogłem wyczuć tętna.

- On umiera - krzyknąłem do Irka. - Nie wiem zupełnie, co robić. Jechać do szpitala na ostry dyżur, czy dzwonić na pogotowie.

- Czekaj, zobaczę, co z nim jest - Irek pochylił się nad Emusiem i przyłożył dwa palce do jego tętnicy szyjnej, a potem ucho do piersi.

- Serce bije, tętno wyczuwalne, chociaż słabe - orzekł podnosząc się. - To chwilowe omdlenie. Trzeba ocucić go. Daj mu coś do powąchania. - Pogrzebał w kieszeni pokrowca fotela i wyciągnął stamtąd małą płaską flaszeczkę.

- Co to jest? - powiedziałem nieufnie.

- To ciecz... to znaczy napój trzeźwiący.

- Pokaż!

Podał mi buteleczkę, był na niej napis: „Uciecha bobasa”.

- Co ty, Emuś nie jest niemowlęciem.

- To tylko etykieta. Dziadek, jak był na odwyku, przelewał swoje „ziółka” do takiej buteleczki, żeby babcia mu nie konfiskowała. Potem mój tato też stosował „Uciechę bobasa”, żeby nie usnąć za kierownicą.

Powąchałem.

- To pachnie jak koniak - zauważyłem.

- To tylko mała domieszka, żeby przyjemniej było zażyć Uciechę, bo sama Uciecha, mówię ci - skrzywił się Irek - to coś wstrętnego, to znaczy, te ziółka, mdłe to jak... no, jak kaszka z mlekiem dla bobasów.

- Spróbuję - powiedziałem z ciekawości i pociągnąłem z butelczyny. Świat zawirował wokół mnie, a może to ja sam zawirowałem.

- Dostyc dziwnie się czuję - wybełkotałem.

- Co ty, oszalałeś, to się pije kropelkami albo tylko wacha. - Irek wyrwał mi ciecz. - Babcia, pamiętam, podstawiała to dziadkowi pod nos, jak nie mogła wypędzić go z łóżka do pracy. I zawsze pomagało, Esiowi też pomoże. Chcesz się założyć? - to mówiąc jedną ręką przytknął flaszeczkę do nosa Emeryka, a drugą sięgnął mu do kieszeni i wyciągnął z niej garść kamyczków.

- O rany, to prawdziwy kimberlit! Potrzymaj! - rozgorączkowany wsadził mi w rękę „Uciechę bobasa”, a sam zabrał się do oglądania kamyczków. Niektóre skrobał scyzorykiem i wydawał jęki zachwyty:

- Boże, błyskają... iskrzą... autentyczne kimberlity z diamentami! Czemu nie poznałem się od razu! Co za cymbał ze mnie. A przecież wiem wszystko o tych drogocennych skałach i zawartych w nich diamentach. Ale kto by się spodziewał, że będą w terrarium? Wężerowiczowie umyślnie je tam wsadzili. Specjalnie dla diamentów urządzili to terrarium, a nie dla węży. Węże, śmiertelnie jadowite węże miały tylko odstraszać intruzów. One pilnowały tego skarbu... to była tajemnica wielkiego afrykańskiego skarbu Wężerowiczów! Ten ostrzegawczy napis!.. Mogłem domyślić się. Ten pomysł urządzenia tak wielkiego terrarium z niebezpiecznymi okazami w mieszkalnej willi! To mogło dawać do myślenia! Choć z drugiej strony trzeba przyznać, że umiejętnie zamaskowano te diamenty. Dla niepoznaki pobrudzono je ziemią, posypano popiołem... No i w końcu głupio wyszło. Obiektywnie jesteśmy złodziejami, takimi samymi jak gang Walda i Programatora. Jeśli teraz je odniesiemy, wpadniemy w łapy Programatora. Wiesz co, Zenon? Oddamy je Wężerowiczom dopiero wtedy, jak wrócą... Ale czy uwierzą? Muszą uwierzyć. W końcu to myśmy pomieszali szyki bandzie... Tak, muszą uwierzyć i jeszcze nam podziękują. Może pozwolą nam zatrzymać na pamiątkę choć po pięć takich kamyczków... Co o tym myślisz, Zenon?

- Daj mi spokój! Nie widzisz, co się wyrabia?

- Co niby?

- Z Emusiem coraz gorzej. Oczy postawił w ślup!

- Niemożliwe.

- Zobacz! I dostał drgawek!

- Miałeś dawać mu krople trzeźwiące do wachania, to znaczy... hm... „Uciechę”.

- Tak. Dałem mu tę Uciechę Bobasa i właśnie od tej „uciechy” dostał drgawek. Rzucało go... to znaczy mówiąc ściślej, odrzucało.

- Odrzucało od uciechy? Niemożliwe.

- Jeszcze teraz go odrzuca... nie widzisz? - denerwowałem się.

- Faktycznie, wzdryga się... jakby miał czkawkę. Więc jednak kropelki podziałały. Odrzuca go, to znaczy, że otrzeźwiał.

- Gadasz bzdury! - wybuchnąłem. - Czy ty nic nie rozumiesz? To jest ostatnia faza zapalenia brzucha... przewodu pokarmowego.

- Brzucha?!

- A drgawki wskazują, że... - słowo nie chciało mi przejść przez gardło. - W jednej książce było... czytałem... to... to są drgawki przedśmiertne!

- Przenieśmy go na tylne siedzenie - powiedział Irek. - Niech ma głowę niżej od tułowia, to często pomaga.

Zrobiliśmy, jak proponował, ale niewiele to pomogło, nieregularne drgawki ustąpiły, ale za to nasiliły się dreszcze, no i ta czkawka...

- Zaraz zamontuję z powrotem kable i zawiozę go do szpitala - powiedział Irek i ruszył w pobliskie krzaki hortensji, gdzie, jak przypuszczał, rzucili je gangsterzy, gdy rozbierali auto „na części”, ja zaś zacząłem rozcierać Emusia i odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że jego ciało robi się coraz zimniejsze.

- Emuś, drogi, nie rób mi tego! Nie umieraj, otwórz oczy, pokaż, że żyjesz. Nie zostawiaj mnie! Nie możesz tak po prostu uuu... umrzeć! - uniosłem jego głowę i przytuliłem do siebie. - Wiem, że byłem okropnym bratem, zabrałem ci hełm strażacki, dziennik pokładowy, stempel i medal. I klamkę... psułem ci wszystkie zabawy, przeżywałem cię Ęsiem, tresowałem cię, krępowałem, dusiłem cię i zakładałem ci nelsona... pompowałem. Gdybym mógł wszystko naprawić! Gdybyś dał mi szansę... gdybyś poczekał Emu-siu, to przyrzekam ci...

- Słyszysz syreny? Nadjeżdża policja. - Irek wsadził głowę do wozu. - Znalazłem twój plecak a w nim dres. Przebierz szybko małego, bo mustang gotów do jazdy! - oznajmił. - A w ogóle co tam z nim? - wskazał na Emeryka.

- Niedobrze... boję się, on jest taki... taki jakiś lodowaty i... i kościsty. Chyba ustaje mu krążenie...

- Nie panikuj - skrzyczał mnie Irek. - Głupcy z nas. Chłopak po prostu skostniał z zimna, bo utracił dużo ciepła, jak siedział w piwnicy w miodzie... Ty byś też przemarzł. A potem ta bieganina w mokrej odzieży. W końcu to już nie lato! - zdjęliśmy mu mokrą koszulę i założyli dres, a oprócz tego przykryliśmy go kocem. - A teraz odsuń się - Irek odepchnął mnie od Emusia, wytarł o spodnie lusterko i przyłożył mu do ust.

- Popatrz! - wykrzyknął radośnie. - Na lusterku osadza się para! On oddycha! Popatrz, uśmiecha się łobuz.

Patrzyłem z niedowierzaniem. Istotnie, Ęsio westchnął głęboko, uśmiechnął się i otworzył oczy! A ja... ja zamiast ucieszyć się z takiego obrotu rzeczy, wpadłem w gniew.

- Ty oszuście, ty draniu! - wysapałem. - Udawałeś cały czas trupa, a ja się wyglupiałem. Cały czas byłeś przytomny, a ja się jak baba roztkliwiałem. Słyszałeś wszystko i nawet nie poruszyłeś się, za to pewnie skręcałeś się w duchu z ubawu!

- Nie poruszyłem się i nie otworzyłem oczu, bo mówiłeś do mnie takie przyjemne rzeczy! - szepnął Ęsio. - Pierwszy raz w życiu! Tak było dobrze cię słuchać! Ty naprawdę martwiłeś się o mnie i bałeś się, że umrę. Zrozumiałem, że mnie jednak kochasz - patrzył na mnie, jakby wciąż jeszcze nie dowierzał i dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach. - A ja myślałem, że masz mnie po uszy! Wiem, że mogłem ci zaleźć za skórę. Byłem uparty jak osioł, przemądrzały, drażniący...

Tak mówił, a mnie robiło się coraz bardziej nieswojo, by nie powiedzieć - głupio.

W naszym małym dębrowskim światku, nie mówiło się głośno takich rzeczy. Takie zwierzenia nie należały do fasonu i żeby trzymać fason należało obrócić wszystko w żart i wykpić Emusia, że dał się nabrać na słówka.

- Słuchaj, Ęsio - chrząknąłem. - Nie bierz tego wszystkiego tak poważnie, bo doprawdy wstyd mi... To przecież były tylko... takie... takie zgrywy.

- Zgrywy?! - Emuś zamarł w bezruchu.

Wyobraziłem sobie, że jesteśmy na planie filmowym u reżysera Klapsera i wymyśliłem takie teksty. To była fajna scena i gdyby naprawdę Klapser kręcił coś podobnego, na pewno dałby mi do grania właśnie teksty w tym stylu.

- Jaki głupek, jaki fafel wciąż wyłazi ze mnie - Emuś westchnął ciężko. - Ty żartowałeś tylko, a ja myślałem... wciąż daję się nabierać - spojrzał na mnie z jakimś beznadziejnym smutkiem.

Przygryzłem wargi i odwróciłem głowę. Poczułem niesmak i złość na siebie. Nie mogłem znieść tego spojrzenia. Pal sześć fason! Powiem, jak Puzon w pokoju Rezusa: niech się święci prawda! tak pomyślałem, a głośno rzekłem:

- Ej, Esiu, Esiu, nie można nawet przy tobie zażartować, wszystko bierzesz tak poważnie. - Poklepałem go po chudych łopatkach. - Jak mógłbym nie kochać takiego brata?!

Emeryk westchnął.

- Mógłbyś - powiedział. - Bo prawdę mówiąc jestem nieznośny, uparty, przemądrzały, drażniący i wpadam w różne manie. Pan Cykut miał rację: jestem maruda i męczydusza!

- I zapomniałeś jeszcze dodać, że jesteś strasznym gadułą - przerwałem - ale przymknij się na chwilę i posłuchaj brata: - To fakt, jesteś męczydusza i maruda, przemądrzały i doprowadziłeś do perfekcji sztukę grania mi na nerwach, tak, to wszystko się zgadza. Jesteś trudnym... zupełnie niemożliwym bratem, ale to ma niewiele do rzeczy, Emusiu, to pestka. Kocham cię głuptasie za to, że j e s t e ś, że cię mam! No i w końcu trochę za to, że jesteś taki niezwykły, po prostu, genialny!

- Genialny? Co ty, Zenek, przecież widzisz, jak w końcu się wygłupiłem. W roli detektywa wypadłem zupełnie żałośnie. Z łowcy sam stałem się ściganą zwierzyną. Tym razem to ty miałeś rację. Przeholowałem. A na was ściągnąłem straszne niebezpieczeństwo. Wszystko wyszło inaczej niż zaplanowałem i cała moja akcja skończyła się w beczce miodu...

- I bardzo dobrze - powiedziałem. - Bo mogłeś wplątać się w całkiem zbójceckie historie i stracić życie. Nie warto prehandlować go za parę chwil emocji, uwierz mi...

- Nic by się nie stało ani mnie, ani wam, gdybym trzymał się planu, a nie improwizował... Ale schowanie się w sarkofagu wydało mi się bardziej zabawne.

Czy prawdziwy detektyw powinien wybierać to, co mu się wydaje zabawne, czy to co bezpieczniejsze?

- Nie przejmuj się. Zawsze tak bywa. Nigdy nie da się wszystkiego dokładnie zaplanować. Zawsze wyskoczą jakieś niespodziewane rzeczy. Stale tak bywa. Temu gangsterowi Programatorowi też inaczej wyszło, niż sobie umyślił. I to ty właśnie pokrzyżowałaś mu plany. Z jego punktu widzenia to on poniósł klęskę, a ty wygrałaś.

- Ja? A dajże spokój... patrz, jak wyglądam, to żalosne...

- Ale. Przecież osiągnąłeś swój cel. I to tylko się naprawdę liczy. Przez ciebie całe to gangsterskie bractwo wylądowało w pudle.

- Ale znalazłem się w takiej matni, że sam potrzebowałem pomocy i gdybyście nie przyszli mi z odsieczą... och, boję się myśleć, co by było...

- To właściwie przypadek Esiu, szczęśliwy zbieg okoliczności, że zabraliśmy na pokład autostopowicza, który okazał się gangsterem i że przez niego spiknęliśmy się z całym gangiem Walda i Programatora. Natomiast nie jest przypadkiem, że wyszliśmy z tego żywi i cali. Stało się to możliwe tylko dzięki twoim pomysłom. Ten pomysł z grochem i olejem w zdawałoby się beznadziejnej sytuacji był doskonały.

- Przedni był też pomysł z wypuszczeniem węży z terrarium - rzucił Irek.

- Iz kamykami - dodałem - a już najlepszy był z rozwścieczonymi pszczołami.

- Wszyscy odstawiliśmy niezły numer, ale w pomysłach najlepszy był Emeryk - orzekł Irek Liszeniec. - Powiedźże nam na koniec, jak domyśliłeś się, że...

- Że panna Kimberley to kryptonim? - uśmiechnął się Esiu.

- No właśnie, skąd ci przyszło do głowy, że to kryptonim diamentowego skarbu, którego pilnowały jadowite węże w terrarium?

- Pomógł mi znak firmowy Wężerowiczów. Zastanowiło mnie, czemu gwiazdy w tym znaku są umieszczone w środku monogramu, a nie otaczają go, jak to zwykle bywa. I czemu tych gwiazd jest dwadzieścia dziewięć, czy to przypadek. Nie, pomyślałem, w tym znaku nic nie jest przypadkowe. I zwróciłem uwagę na napis - dewizę biegnącą półkolem po obrzeżu znaku. Przyjrzyjcie się dobrze. Napis brzmi: „Capricornum juvet!” Nie znam łaciny, ale słowo wydało mi się znajome. Domyśliłem się, że Capricornum to koziorożec, bo po angielsku zwrotnik na południowej półkuli ziemi nazywa się Capricorn. I uwaga moja skupiła się na geografii. Od razu wpadło mi do głowy, że dwadzieścia dziewięć gwiazdek może oznaczać dwudziesty dziewiąty stopień szerokości południowej. A co jest pod tym stopniem? Zajrzałem do wielkiej mapy świata wywieszanej w muzeum i stwierdziłem, że pod tą szerokością leży w Afryce miasto Kimberley, ośrodek kopalnictwa diamentów. I zrozumiałem, co znaczy panna Kimberley w języku gangu Programatora. To nie osoba... To

po prostu diamenty... diamentowy skarb Wężerowiczów. Stała się też dla mnie jasna wymowa ich znaku firmowego. Skoro gwiazdy są diamentami, a otaczają je węże wijące się wokół liter „W” monogramu, to znaczy...

- Że węże pilnują diamentów - dokończyłem. - A ponieważ z niedyskretnych gazet dowiedziałeś się jeszcze przedtem, że oczkiem w głowie Wężerowiczów jest terrarium z jadowitymi węzami, zacząłeś pytać. Są węże, więc powinny być i diamenty, gdzież więc są? Czy już wtedy wiedziałeś, że leżą sobie w terrarium, lekko podmalowane ochronną farbą koloru afrykańskiej ziemi i jej skał...

- Nie, skądże. Za ledwie podejrzewałem. To można było sprawdzić dopiero w akcji, No i sprawdziliśmy.

- Tak jest! Była szopka nie z tej ziemi! - przyznał Irek.

- Ale najbardziej emocjonujący występ dopiero przed nami - spojrzałem na zegarek. - Dokładnie za pół godziny musimy być na planie! I ty też - obróciłem się do Emeryka.

- Ja? Na planie? Na jakim planie? - zdumiał się zaskoczony Emuś.

- Na planie filmowym - rzekłem.

- Nic nie kapuję.

- No, tak... bo zapomniałem ci powiedzieć, że wystąpisz w tym nowym kiczu Klapsera.

- Co ty... Klapser nie widział mnie na oczy i nic nie wiem...

- To się zaraz dowiesz. Jak był nabór statystów, prócz naszych fotografii dałem stryjkowi także twoją do pokazania Klapserowi i muszę ci Emusiu powiedzieć, że zrobiłeś na nim duże wrażenie, w pewnym sensie zafascynowałeś go. „To jest twarz, która mi się śni po nocach, gdy idę spać ze zbyt obciążonym żołądkiem” wyznał z właściwą mu bezpośredniością.

- Co ty...

- Słowo! Niech Irek potwierdzi. To wielka szansa dla ciebie Esiu. Wyłączą cię z szarego tłumu tuzinkowych statystów i awansujesz od razu na statystę wyróżnionego, to znaczy, że będziesz miał co najmniej dwa zbliżenia. Chodzi o pokazanie twojego brzuszka i zębów.

- Nie bardzo rozumiem - zaniepokoił się Emeryk. - Czemu mają to filmować?

- Ponieważ to się może okazać ciekawe dla widzów. Wystąpisz w odpowiednim kostiumie. Będziesz miał dosztukowany wielki brzuch i spiczaste, sterczące zęby.

- Ale po co?

- Nie wiem, pewnie Klapser tak sobie wyobraża kosmitów.

- Ja nie chcę...

- Nie grymas - zganilem go. - Wszyscy w budzie będą ci zazdrościć... Co ty wyrabiasz! - podniosłem głos, bo zobaczyłem, że Esiu wygrzebuje się z koca.

- Zrobiło mi się gorąco - odparł - i w głowie mi szumi.

- To od tej „Uciechy bobasa”, ale nie ściągaj z siebie wszystkiego, bo zaziębisz się.

Mimo moich protestów ściągnął z siebie sweter i z zaciekawieniem przyglądał się czerwonemu dresowi, który miał na sobie.

- To... to przecież mój dres! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Skąd się tu wziął? Zabrałeś go dla mnie? Skąd wiedziałeś, że będę mokry?

Chrząknąłem zakłopotany.

- No, cóż... po prostu... przewidziałem.

- Ty? Przewidziałeś?!

Wzruszyłem ramionami.

- Ktoś musi być przewidujący w rodzinie - odparłem, naśladując pryncypialny Esiowy ton.

Emuś zmarszczył brwi, spojrzał mi w oczy i obaj jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem. (Był to, jak mniemam, śmiech zdrowy i zwiastował nowy etap w naszych braterskich stosunkach).

Syreny policyjne ucichły nagle. Przez krzaki cisów widać było w oddali przemykających funkcjonariuszy. Irek rozglądał się niespokojnie.

- Lepiej zmywajmy się póki czas. Mogą spenetrować także to miejsce. Wolałbym nie spotkać się z nimi i nie tłumaczyć... Zrobiłaby się większa afera. Wystarczy, jak wytłumaczę się przed moim starym z kluczyków i z tej cholernejszej... hm... skazy w błotniku. Coś trzeba będzie wykombinować. W każdym razie zaofiaruję tacie całe honorarium z filmu... To złagodzi jego ból.

- My też dołączymy do tego naszą gażę - oznajmiłem.

- O, to by bardzo złagodziło jego ból! - oświadczył pokrzepiony naszą ofiarnością Liszeniec. - A jak dołączę do tego dwa błyszczące kamyki, to w ogóle nie będzie sprawy. Właściwie to należy nam się nagroda od Wężerowiczów za spłoszenie gangsterów i ocalenie „panny Kimberley”. W końcu niewiele brakowało, a stracilibyśmy życie. - Mrugnął szelmowsko okiem. - Powinniśmy dostać po dziesięć kamyków na łebka, albo zatrzymać to, co już mamy w kieszeni... Co tak patrzycie? - zaśmiał się sztucznie. - Nie bójcie się. Żartowałem tylko...

Ale nie wierzyliśmy mu. Nie policzyliśmy przecież tych kamyków ani tych w kieszeni, ani tych rozsypanych, którymi rzuciłem w Programatora, a które Irek Liszeniec pozbiarał. Kto mu udowodni, ile ich miał? Możliwe, że kilka zachowa dla siebie. Ba, niemal na pewno to zrobi, a nas będzie uważać za frajerów.

- Nie musisz nic kombinować z kamykami - powiedziałem po chwili. - Powiemy, że działałeś w stanie wyższej konieczności. Ęsio telefonował, że jest ścigany przez gangsterów. Jego życie było zagrożone, każda chwila była droga. Wsiadłeś do wozu i pognałeś wraz ze mną na ratunek Ęsiowi. Zeznania bandy to potwierdzą!

- Nie, nie, panowie - Irek wyraźnie przestraszył się. - Dziękuję, nic z tych rzeczy! Nie ruszajmy w ogóle tego tematu. Starzy źle znoszą takie wyczyny młodzieży. To ich przeraża... I do tego Emeryk, którego zawsze uważali za ideał, Emeryk wzór roztropności, czempion wszelkich cnót, chluba rodu. I taki przykładowy Emuś uwikłany w gangsterskie rozgrywki? Emuś w becze mi-odu? Emuś wypuszczający jadowite węże?! Grzeczny Emuś buszujący w rezydencji szanownych Wężerowiczów, Emuś w sarkofagu egipskim?! Idealny Emuś rzucający „bomby” i rozwalający ule?! A dajcie mi spokój! To by dopiero było! Niebo by się nad Bumami zaważyło! Nie, nie wolno nam niszczyć ideału, mącić ustalonego obrazu Emeryka, wyjątkowo odpornego na młodzieńcze pokusy wielkich emocji i przeżyć.

- Jednakże można by spróbować...

- Żadnego próbowania - uciął Irek. - Wierz mi, nasze przygody nie znalazłyby w ich oczach uznania, wręcz przeciwnie, wiem coś o tym!

- Szkoda - mruknąłem - bo przecież byliście wspaniali.

- Ho, ho! Jeszcze jak wspaniali! - Irek westchnął głęboko, uśmiechnął się i dodał gazu.

Emeryk spuścił głowę.

- Irek ma rację - szepnął - lepiej nic nie mówić, jeszcze nie teraz, tym bardziej że sprawa nie jest zamknięta.

- Co to znaczy? - zaniepokoiłem się.

- Ja tu wrócę - mruknął Emuś.

- Co takiego?! - dosłownie zdębiałem.

- Mam powody sądzić, że Wężerowiczowie to nie są aniołki, to są lepsze ptaszki i gdyby im zajrzeć pod pióra i trochę poskrobać...

- Poskrobać Wężerowiczów? Daj spokój, Ęsiu, nie rozbestwiał się. Dość już narozrabiał, nie bądź taki zachłanny, zostaw coś dla policji - usiłowałem żartować, ale naprawdę to smarkacz przerażał mnie. - Proponuję byś zakończył popisy. I tak zrobiłeś w tej sprawie więcej niż ktokolwiek... Rodzice powinni być z ciebie dumni.

- Powinni, ale nie będą, już wam wytłumaczyłem - powiedział Irek. - Wierzcie mi, wiem coś o tym. Dlatego o wizycie u Wężerowiczów ani mru-mru i o awanturze z gangsterami! Idziemy na zaparte.

- Zaraz... zaraz, to nie takie proste - próbowałem protestować, ale zagłuszył mnie.

- Nie daj się starym nabrać na zwierzenia. Pamiętaj ani mru-mru! Nasze przygody nie znalazłyby w ich oczach uznania, wręcz przeciwnie! Nie bądź głupi, Zenon!

- To ty jesteś głupi - odpaliłem brutalnie. - Tej sprawy nie da się przecież ukryć. Ęsio dzwonił parę razy na policję, policja zna jego numer telefonu i nazwisko, wie, że był w Szpitalach i na pewno skontaktuje się z rodzicami. Cała historia dostanie się do gazet, radia i telewizji. Będą robić z tego wielką sensację, mogą publikować niestworzone rzeczy i zrobić nas na szaro. Niech więc lepiej już teraz Ęsio dobrze się zastanowi, co odpowie rodzicom, jak będą pytać, skąd ich ideał ma... podbite oko. Oczywiście trzeba będzie coś na ten temat zasunąć, naturalnie oględnie, żeby nie pospadali z krzesel, faktycznie oni mają słabe nerwy.

- Może będą pytać, może nie będą - mruknął Irek. - W każdym razie z niczym nie wyjeżdżajmy. Zagadnięci, odpowiadamy krótko: zwiedzaliśmy muzeum i zostaliśmy napadnięci przez gangste-

rów, może potrzebowali zakładników, ale udało nam się uciec. Strugamy niewinne i mało zorientowane ofiary, nic o diamentach! Nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi. Nie chwylimy się, jak to sprytnie załatwiliśmy facetów. Nie popisujemy się odwagą, nie chęłpimy się inteligencją i brawurą. Ani słowa, panowie!

- Nie bójcie się - powiedział Ęsio. - Pocieszę was. To wszystko da się ładnie opowiedzieć we właściwym czasie, jak sprawa się uspokoi, a nasi rodzice ochłoną. Zresztą - dodał po chwili - i tak nam nie uwierzą...

- Faktycznie, bardzo nas pocieszyłeś - zauważyłem uszczypliwie.

- Czekaj, nie skończyłem zdania - zamruczał Emeryk. - Nie uwierzą nam, chyba że... - zrobił efektowną pauzę - chyba że przyniesiecie im w zębach Oko Proroka! Wtedy odpuszczą nam wszystkie grzechy.

- Czy to możliwe?.. Znaleźć Oko? - Irek spojrział z niedowierzaniem na Ęsia. - Strzelasz w ciemno, czy naprawdę coś wiesz?

- Mamy 50% szans, że go znajdziemy w jednym miejscu, a nawet sporo więcej, bo deszcz przestał padać i pokazało się słońce.

- Co to ma do rzeczy?

- Ma! Mokry diament szlifu brylantowego w słońcu lepiej się skrzył!

Rzeczywiście skrzył się pod krzakiem głogu, w pobliżu miejsca, gdzie gangsterzy zaatakowali Tancerza. Był prawdopodobnie schowany w aluminiowej rurce szczudła.

Gdy napastnicy brutalnie i niemądrze połamali je Tancerzowi, diament wypadł, i potoczył się w stronę głogu. Póki nie zaświeciło słońce, był zupełnie niewidoczny w gęstej trawie.

Dziwne, nie rzuciliśmy się do niego, lecz staliśmy nad nim dłuższą chwilę, onieśmieleni i wciąż jeszcze niepewni, jakbyśmy się bali, że ten brylant u naszych stóp, to tylko złudzenie. Wpatrywaliśmy się w niego, aż oczy nam zwilgotniały od blasku, a może raczej od wspaniałego uczucia, że tego dnia znaleźliśmy coś więcej od błyszczącego kamyka, coś znacznie więcej...

Spis treści

Duch zamku i prawo Archimedesesa

Alarm na poddaszu

Nikodem, czyli tajemnica gabinetu

Pożegnanie z Grynderem

Kto Sesse, a kto Pfeffe?

Sekret panny Kimberley